# MIEDZIORYSY

## Ludzie i tradycje Polskiej Miedzi

Kwartalnik nr 1 (9) 2015

Egzemplarz bezpłatny
ISSN 2353-1304

FUNDACJA
KGHM
POLSKA MIEDŹ

# MIEDZIORYSY

Ludzie i tradycje Polskiej Miedzi

FUNDACJA

KCHM

# MIEDZIORYSY

## Ludzie i tradycje Polskiej Miedzi

FUNDACJA
KGHM
POLSKA MIEDŹ

**MIEDZIORYSY**
**Ludzie i tradycje Polskiej Miedzi**

Kwartalnik wydawany przez Fundację KGHM Polska Miedź
w ramach Społecznej Odpowiedzialności Biznesu (CSR)
KGHM Polska Miedź S.A.
**ISSN 2353–1304**

**Redaktor Naczelny**
Krzysztof Kułacz

**Redakcja**
Maria Kuncaitis, Krystyna Nikończuk, Zbigniew Szarmach, Jadwiga Wardach

**Wydawca**
Fundacja KGHM Polska Miedź
ul. Skłodowskiej-Curie 48, 59-301 Lubin
tel. 76 747 81 23
e-mail: krzysztof.kulacz@kghm.com
www. fundacjakghm.pl

**Druk**
Miedziowe Centrum Kształcenia Kadr Sp. z o.o. w Lubinie
Poligrafia: 59-300 Lubin ul. Budziszyńska 6A

**Nakład** 3500 egzemplarzy

Fotografie ze zbiorów redakcyjnych i archiwalnych
W tekstach nadesłanych i przeznaczonych do druku Redakcja zastrzega sobie prawo zmian i skrótów.

**Okładka:** Rok 1967. ZG Lubin. Brygada montująca kotwiarkę RBD-8. U góry (od lewej): Adam Firliciński, Jacek Głodowski, sztygar Zatorski.

COPYRIGHT © BY FUNDACJA KGHM POLSKA MIEDŹ
ALL RIGHTS RESERVED • WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

## spis treści


Słowo wstępne 7

Na „Lenie" prawie do końca - Stanisław Szcześniak 9

Kopalnia zamiast okrętu - Bolesław Banaś 18

Zwyczajny los „miedzianego człowieka" - Zbigniew Frączkiewicz 24

Oglądaliśmy palmy od spodu - Jerzy Turlej 31

Pół wieku w hucie - Lech Berkowski 39

Byłem człowiekiem nomenklatury - Ferdynand Błauciak 45

Urodziłem się z wkrętakiem w ręku - Jan Rolnicki 52

Strzelaliśmy pokazówkę dla wiceministra - Jacek Głodowski 59

Coś się we mnie uruchomiło i wypaliłem - Spiro Gagaczowski 66

Gwiazdki oficerskie zobowiązują - Henryk Radek 73

Ratował pod ziemią, leczył na pustyni - Roland Szczepaniak 80

Postęp rodzi się na dole - Aleksander Kosior 85

Urządzałam innym świat - Teresa Peter 92

Moje ślady na Miedzi - Aleksander Łozowski 99

Bez automatyki ani rusz - Jerzy Hallala 106

Przecinaliśmy wieżowce - Witold Dobrut 113

Stabilizatory nie tylko dla górników - Janusz Bielawski 118

Naradzaliśmy się w lesie - Ryszard Kurek 125

Międzynarodowo w Wilkowie - Jerzy Nadolny 131

Malarz od świętej Barbary - Edward Michalczyk 139

Słownik terminów 147

# Wstęp

Z wielką radością i satysfakcją przekazujemy Państwu kolejne Miedziorysy, w których opisujemy losy ludzi związanych z Polską Miedzią. Troska o pielęgnowanie tradycji jest jednym z ważnych elementów realizowanej przez KGHM polityki społecznego zaangażowania. Utrzymywanie relacji z byłymi Pracownikami Polskiej Miedzi rozumiemy też jako jeden z aspektów kultury wartości pracy i etyki w naszej firmie.

KGHM liczy blisko 55 lat działalności. Przez pierwsze lata budowy firmy, kolejne - dynamicznego jej rozkwitu, a także późniejsze - stabilnego rozwoju, tworzyła się wielowątkowa historia jednego z najważniejszych podmiotów gospodarczych w Polsce. Wartość KGHM opiera się nie tylko na surowcach, technologiach, rachunkach ekonomicznych, ale także na pracy zespołów ludzi i ich doświadczeniu. Opisani przez nas bohaterowie, zdobywając wiedzę i nabierając bezcennych kompetencji w dziedzinie geologii, górnictwa, hutnictwa, przetwórstwa, handlu, badań i rozwoju, potrafili w sposób optymalny osiągać zamierzone cele i z optymizmem patrzeć w przyszłość. Pracując dla KGHM, wspólnie dali mu najcenniejszy zasób, jakim jest dzisiaj wiedza. Budowali markę KGHM, ale jednocześnie tworzyli silne więzi pomiędzy sobą, które stanowią dzisiaj o jej tożsamości. Pochodzą z różnorodnych środowisk, ściągali tu z całego kraju, a nawet zza granicy; niektórzy mają za sobą dramatyczny bagaż doświadczeń wojennych. Są wśród nich pracownicy KGHM, a także ludzie spoza firmy, w różny sposób związani z Miedzią. Dla większości z nich Zagłębie Miedziowe jest spełnieniem życiowych oczekiwań. Chętnie opowiadają o okolicznościach podejmowania pracy na Miedzi i o związanych z nią trudach, o swoich sukcesach i porażkach. Nie unikają wspomnień o tragicznych zdarzeniach, które mimo upływu czasu, wciąż pozostają w pamięci i budzą emocje. Mówią także o swoich prywatnych sprawach: zakładaniu rodziny, dzieciach, wnukach.

Odbieramy od naszych Czytelników wiele pozytywnych opinii wskazujących na duże zainteresowanie wspomnieniami. Mamy również nadzieję, że kolejny zbiór wspomnień zainspiruje innych, byłych Pracowników Polskiej Miedzi, do podzielenia się z nami swoimi historiami, przeżyciami a także dokumentacją fotograficzną.

**Redakcja**

**Naukowcy uznali, że szlamy spełniają normy środowiskowe i można je stosować do poprawy struktury gleb piaszczystych. Do eksperymentu wytypowano jeden z pegeerów. Na „Lenie" zaczęła się więc eksploatacja stawu: ładowarka wrzucała szlam na taśmociągi, a te transportowały go do wagonów. Nikt jednak nie przewidział, że szlam ma właściwości tiksotropowe. W stawie utrzymuje zwartą strukturę, można po nim chodzić a nawet jeździć, ale w wagonach na skutek wstrząsów zamieniał się w płynną maź.**

*Stanisław Szcześniak, hydrogeolog; główny hydrolog w ZG Lena i w ZG Konrad. Pracował w latach 1957-1986 i 1987-89*

# Na „Lenie" prawie do samego końca

Do Zakładów Górniczych Lena przyjęto mnie 15 października 1957 roku, jednak od razu wyczułem, że nie z otwartymi ramionami. Z kilku powodów. W dziale geologicznym wcale nie odczuwano braków kadrowych. Szefowie działu byli geologami, ale z dyplomami uniwersyteckimi. Chyba czuli się zagrożeni, bo zarówno ja, jak i zatrudniony w tym samym czasie Tadeusz Machoń, ukończyliśmy studia techniczne, co w górnictwie bardziej ceniono i co miało znaczenie przy awansach i zatwierdzeniach przez Urząd Górniczy. Na dodatek studiowałem w ZSRR, więc nie darzono mnie zaufaniem, być może podejrzewając o konszachty ze służbami bezpieczeństwa. Początkowo byłem więc chłopcem na posyłki, otrzymując polecenia w rodzaju: „Kolego, przynieście mi maszynę do pisania. Skoczcie po maszynkę do liczenia". Nawet kiedy szef zabierał mnie na dół, biegałem za nim jak piesek, nie uzyskując żadnych informacji o kopalni, a na moje pytania odpowiadał: „Po co wam to kolego wiedzieć?". Musiało minąć trochę czasu, nim lody zostały przełamane.

## ▪ Chodziłem na szczeblik

Urodziłem się w 1934 roku we wsi Wolica Kozia, powiat Jarocin. Przed wojną rodzice nie mieli stałej pracy. Ojciec dorywczo zatrudniał

się w nadleśnictwie, a sezonowo w pobliskim majątku przy wykopkach i żniwach. Bieda pchała się drzwiami i oknami, a raczej oknem, bo tylko jedno mieliśmy w naszym pokoju. Mieszkaliśmy w dwuizbowym domku, który należał do babci. Jeden pokój zajmowała babcia i ciotka a drugi rodzice z trójką dzieci - miałem jeszcze dwie siostry.

## Dryl i podstawy liczenia

Gdy wybuchła wojna, miałem pięć lat. Ojciec z Armią Poznań przeszedł cały szlak bojowy, brał udział w obronie Warszawy. Pamiętam powrót ojca. Stanął w progu brudny, zarośnięty, rozpoznałem go dopiero, kiedy się odezwał. Na drugi dzień zameldował się w gminie, jednak żadne represje ze strony Niemców go nie spotkały, tylko co pewien czas musiał się zgłaszać na policję.

W oddalonym o trzy kilometry Nowym Mieście nad Wartą były dwie szkoły, jedna dla dzieci volksdojczów, druga dla Polaków (w naszej wsi nie było ani jednego volksdojcza). Do szkoły chodziło się na dwie godziny: starsze dzieci na dziesiątą, młodsze na dwunastą. Z tych pierwszych lat zapamiętałem jedynie musztrę prowadzoną przez nauczycielkę - Niemkę: auf, sitzen, Muetze ab itp. Poza tym uczyła nas podstaw liczenia - żadnych innych przedmiotów nie było. Gdyby nie to, że w domu mieliśmy książki, m.in. elementarz, byłbym analfabetą, jak wielu moich rówieśników. Po wojnie od razu zakwalifikowano mnie do szóstej klasy. Nauka szła mi gładko, szczególnie matematyka - bez problemu ukończyłem gimnazjum i liceum w Jarocinie.

## Na studia do Stalino

Po maturze pojawiła się możliwość wyjazdu na studia do ZSRR. Rodzice nie chcieli puścić mnie do bolszewickiego kraju „bez Boga, gdzie antychryst rządzi". Ale się uparłem. Usposobiony romantycznie bardziej wierzyłem pro-

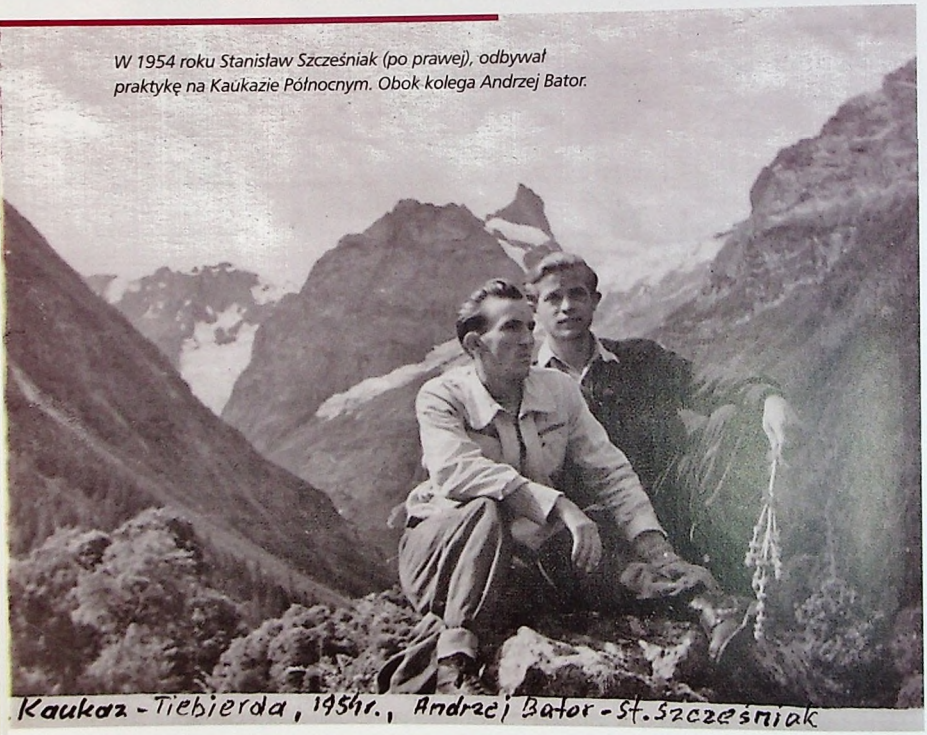


*W 1954 roku Stanisław Szcześniak (po prawej), odbywał praktykę na Kaukazie Północnym. Obok kolega Andrzej Bator.*

*Donieck. 1956 rok, grupa polskich i rosyjskich studentów. Zbiórka przed wyjazdem na praktykę. Drugi od lewej Andrzej Bator, obok Stanisław Szcześniak.*

pagandzie, że to kraina szczęśliwości, a przede wszystkim cieszyłem się, że zwiedzę ten wielki kraj. Dostałem skierowanie do Doniecka, gdzie miałem studiować geologię. W tym czasie - a był to rok 1952 - Donieck nazywał się Stalino.

W Donieckim Instytucie Przemysłowym studiowała młodzież z „bratnich" krajów i spora grupa niezwykle zdyscyplinowanych Chińczyków - oni trzymali się osobno i mocno zakuwali. Ja niestety na pierwszym roku zaniedbałem naukę i o mało nie wyleciałem z uczelni. Przyczyną nie było zbyt intensywne życie towarzyskie, bo z tym nigdy nie przesadzałem, należałem raczej do ludzi skromnych i nieśmiałych. Wpadłem w melancholię, czy jak się teraz mówi w depresję. Podłamały mnie realia życia w ZSRR, daleko odbiegające od propagandowego wizerunku. Tęskniłem za krajem, za dziewczyną, w której się zabujałem przed maturą. Chciałem wracać. Z dołka wyciągnął mnie kolega. Tłumaczył, że czas zapomnieć o ideałach, należy spojrzeć trzeźwo na realia i wziąć się za naukę, gdyż po to tu przyjechałem. Musiałem ostro pracować, żeby nadrobić zaległości, głównie z matematyki.

## Na oklep do sklepu

Spełniły się jednak moje marzenia związane z podróżowaniem. Letnie praktyki odbywaliśmy na Północnym Kaukazie, w Armenii, w Górnym Ałtaju, jeździliśmy koleją transsyberyjską. Po praktyce dyplomowej z kolegami, Józkiem i Alkiem, postanowiliśmy nadłożyć drogi, by jak

najwięcej zobaczyć, m.in. zahaczyliśmy o Semipałatyńsk, Ałma-Atę, Aszchabad, Taszkient, Baku, Morze Kaspijskie, pływaliśmy statkiem po Irtyszu.

W Górnym Ałtaju przez pewien czas pracowałem jako technik, daleko od głównej bazy, przy wierceniach poszukiwawczych. Tylko powiedziano mi, dokąd mam jechać i że jest tam „starik" (dziadek), który się mną zaopiekuje. Na miejscu okazało się, że to całkowite odludzie, do najbliższego sklepu musiałem jechać konno (pierwszy raz w życiu) na oklep siedem kilometrów. Dojechałem, a tam pustki, tylko starą konserwę kupiłem, którą potem odchorowałem. Musiałem przyzwyczaić się do niewygód, najważniejsze, że ludzie byli życzliwi - dziadek codziennie parzył mi herbatkę ze świeżych liści jagód.

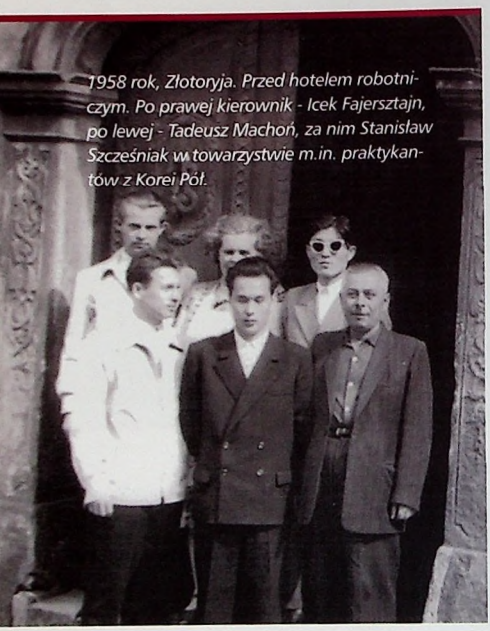

*1958 rok, Złotoryja. Przed hotelem robotniczym. Po prawej kierownik - Icek Fajersztajn, po lewej - Tadeusz Machoń, za nim Stanisław Szcześniak w towarzystwie m.in. praktykantów z Korei Pół.*

## Wybrałem „Lenę"

Poziom nauki na donbaskiej uczelni nie odstawał od naszego, co mogłem skonfrontować później w trakcie pracy, miałem jedynie niewielkie kłopoty z polskim słownictwem fachowym. Po zdaniu paszportów w Warszawie, w ministerstwie szkolnictwa wyższego, powiedziano nam: wracajcie do domów, a my powiadomimy, kiedy pojawią się oferty. Wróciliśmy, czekamy, a tu długo, długo - nic, cisza.

Z kolegą Józefem próbowaliśmy na własną rękę znaleźć jakąkolwiek pracę w Krakowie - bez powodzenia. Zorientowaliśmy się, że nasze radzieckie dyplomy w Polsce, po 56. roku, nie są zbyt mile widziane. Po kilku miesiącach wróciliśmy do ministerstwa i oświadczyliśmy, że skoro tu nie ma dla nas pracy, wracamy do Rosji i zażądaliśmy paszportów. To poskutkowało, urzędnik zadzwonił do Ministerstwa Przemysłu Ciężkiego: „Mam tu dwóch namolnych, spróbuj załatwić im jakieś miejsca". W rezultacie wysłano mnie do Katowic, do Zjednoczenia Przemysłu Metali Nieżelaznych a kolegę do Częstochowy „na rudę żelaza". Ja miałem do wyboru: Olkusz (ołów i cynk), albo „Lenę" w Wilkowie. Wolałem Dolny Śląsk, skąd miałem bliżej do domu.

## Kozy w pokoju

Zakwaterowano mnie w hotelu przy ul. Duboisa (obecnie Marii Konopnickiej) w Złotoryi. Dostałem łóżko w wieloosobowym pokoju na parterze. Z powodu wilgoci często otwieraliśmy na oścież okna i nieraz do pokoju wskakiwały kozy. Należały do kierownika hotelu, Icka Fajersztajna, który wypasał je na trawniku przy budynku. Był to człowiek nadzwyczaj dobroduszny. Z czasem przeniósł mnie do dwójki na pierwsze piętro, a gdy współlokator się wyprowadził, a ja już miałem żonę, przymykał oko na to, że ze mną zamieszkała.

Żona pochodzi spod Ostrołęki, przyjechała do Złotoryi z nakazem pracy w fabryce obuwia, w tzw. filcach. Ale póki nie założyłem obrączki, przez blisko pięć lat wiodłem beztroskie życie kawalera w doborowym gronie, z Tadeuszem Machoniem, Andrzejem Batorem i Henrykiem Armatysem. Wieczorami: kolacyjki w restauracji, dansingi. A przy ładnej pogodzie wsiadaliśmy do pekaesu i zwiedzaliśmy najbliższe okolice: Jerzmanice Zdrój, Lwówek Śląski, Nowy Kościół.

Dojazdy do pracy były dość kłopotliwe. Z placu Reymonta zabierały nas „stonki" i kryte plandekami „stary" z drewnianymi ławkami na pace. Gdy przychodziło się na ostatnią chwilę,

w samochodach brakowało już miejsca i trzeba było drałować około kilometra na stację do Jerzmanic Zdroju, skąd odchodził pociąg na „Lenę".

## Tylko się modlić

Po jakimś czasie zostałem hydrogeologiem w dziale geologicznym, a potem przerzucono mnie do działu górniczego na utworzone stanowisko inżyniera ds. wodnych. Dopływy wody na „Lenie" kształtowała pogoda. Na wychodniach, w rejonie Potoku Prusickiego, w czasie dużych opadów do kopalni wlewały się jej masy, pompy nie nadążały z usuwaniem. Pozostawało tylko się modlić, żeby pompa się nie zepsuła. W samym górotworze z wodą bywało różnie, zależnie od strefy; czy była zawodniona, spękana, czy występowały uskoki. Miałem do dyspozycji grupę, która wykonywała wiercenia wyprzedzające i drenażowe. Jak się trafiło na wodę, stopniowo odwadnialiśmy górotwór, by w czasie eksploatacji nie było zagrożenia.

Po katastrofie wodnej stawu osadowego na Konradzie, w grudniu 1967 roku, zaczęto baczniej przyglądać się zaporom naszych zbiorników osadowych nr 1 i 2, w obawie przed podobnym zdarzeniem. Ta profilaktyka przypadła mi, jako inżynierowi ds. wodnych. Co prawda organizacyjnie stawy podlegały flotacji, ale dyrektor techniczny Stanisław Pieprzyk postawił sprawę jednoznacznie: „Kolego, dam wam 100 zł za stary staw i 100 zł za nowy - będziecie je nadzorować". Pojawiły się równocześnie kontrole ze Zjednoczenia i z gospodarki wodnej Urzędu Wojewódzkiego. Niestety przecieki na zaporze były, zwłaszcza w nowym, budowanym od 1959 roku, stawie nr 2. Mnie, jako hydrologowi, powierzono zadanie zlokalizowania wszystkich przecieków, założenie ewidencji i prowadzenie systematycznych obserwacji ilości wypływającej wody i stanu skarpy.

*1971 rok. Na przekopie 44 g w kopalni Lena. Od lewej: Czesław Danielski, Stanisław Róg, Stanisław Szcześniak i Jan Łakota.*

## Gdyby pękła zapora

Równocześnie Centralne Biuro Studiów i Projektów Budownictwa Wodnego Hydroprojekt Wrocław zobowiązano do opracowania ekspertyzy ustalającej przyczyny powstawania

przecieków oraz sposób ich usunięcia i zabezpieczenia zapory. Zaczęła się wielka kołomyja, bo ilu ekspertów, tyle było koncepcji zabezpieczenia zapory. Jeden z naukowców z AGH podsunął nawet pomysł zbudowania eksperymentalnego laboratorium (wielkiego akwarium), żeby w praktyce sprawdzić proponowane metody. Ktoś inny zalecał uszczelnianie zapory gliną. Najrozsądniejsze i najprostsze wyjście doradził jednak sam Hydroprojekt - po prostu zbudowanie z betonowych płyt odwodnego ekranu. I ta koncepcja została zrealizowana.

Któryś z naukowców doszedł do wniosku, że na trwałość zapory może mieć wpływ także komorowe strzelanie w pobliskich kamieniołomach. Sprowadzono więc aparaturę sejsmiczną do pomiarów i postanowiono próbnie odpalić w kamieniołomach naraz około tony materiału wybuchowego. Dzień wcześniej musiałem uprzedzić o tym mieszkańców okolicy Kopacza i polecić im, aby nazajutrz w określonym czasie opuścili swoje domy. Na wszelki wypadek, bo gdyby w wyniku wybuchu pękła zapora, choć wydawało się to mało prawdopodobne, szlam spłynąłby w tamtym kierunku. Było to dla mnie chyba najbardziej przykre zadanie w całym okresie pracy. Nasłuchałem się złorzeczeń ludzi, bo sprzeciwiali się ewakuacji i martwili się o pozostawiony bez nadzoru dobytek, o gospodarskie zwierzęta. Pomiary jednak nie wykazały, by wybuchy zagrażały zaporze, ale profilaktycznie w kamieniołomach zmieniono metodę

*Lipiec 1968 roku. Na zaporze stawu osadowego nr 2. Od lewej: Stanisław Pieprzyk, Stanisław Szcześniak, Edward Zieliński (Hydroprojekt), doc. Szling, prof. Stanisław Juniewicz - obaj z Politechniki Wrocławskiej i Władysław Maziarz, dyrektor naczelny „Leny".*

strzelania na bezpieczniejszą, ograniczającą siłę wstrząsów.

## ▪ Szlam dla rolnictwa

Staw nr 2 użytkowano jeszcze przez rok po zamknięciu „Leny" z końcem 1973 roku, gdyż nadal pracowała flotacja przerabiając część rudy z nowego zagłębia. Natomiast staw nr 1 był już nieczynny, a że w kraju coraz większą uwagę zaczęto przywiązywać do ekologii, w kopalni utworzono stanowisko inspektora ds. ochrony środowiska. I znowu usłyszałem od dyrektora Pieprzyka: „Kolega Stuglik będzie się tym zajmował, ale musicie mu pomóc". Mieliśmy 44 ha pustyni, którą trzeba było przywrócić do życia. Zostałem współodpowiedzialny za rekultywację. Ciekawostką były próby wykorzystania szlamów na potrzeby rolnictwa. Naukowcy uznali, że spełniają one normy środowiskowe i można je stosować do poprawy struktury gleb piaszczystych. Do eksperymentów wytypowano jeden z pegeerów. Zaczęła się eksploatacja stawu: ładowarka wrzucała szlam na taśmociągi, a te transportowały go do wagonów. Nikt jednak nie przewidział, że szlam ma właściwości tiksotropowe. W stawie utrzymuje on zwartą strukturę, można po nim chodzić a nawet jeździć, ale w wagonach na skutek wstrząsów zamieniał się w płynną maź.

W czaszy zbiornika wykonano kilka głębokich otworów w celu określenia stanu osadów. Pobrane próbki szlamu woziliśmy w specjalnych cylindrach na Politechnikę Wrocławską, tam ludzie nauki głowili się jak temu zaradzić, by szlam nie zamieniał się w maź, ale ostatecznie projekt: szlam dla rolnictwa - upadł. A nam „ekologom" z ZG Lena nie pozostało nic innego, jak zabrać się za rekultywację zbiornika. Dziś na terenie dawnego stawu rośnie gęsty las, a ja zbieram tam maślaki, kozaki i inne grzybki, gdyż wiem, że zawartość metali w podłożu nie przekracza wartości, które powszechnie spotyka się w ziemi.

*13 stycznia 1972 rok. Przed zjazdem na dół. Od lewej: Jan Bednarczyk, Jan Skoczek, Tadeusz Pisiakowski, Mirosław Pawlak, Jan Foligowski, Stanisław Szcześniak i Stanisław Kukliński - najniżej.*

## Opłacalna, ale mało atrakcyjna

Z początkiem lat 70. ograniczano wydobycie kopalni a załoga topniała niemal z miesiąca na miesiąc, bo już było wiadomo, że „Lena" będzie zamykana. Nowe zagłębie wyławiało od nas doświadczoną kadrę dozoru i górników, ale nie wszyscy odnajdywali się w tamtejszych warunkach; najbardziej narzekali na wysokie temperatury.

Pod koniec funkcjonowania kopalni stałem się „człowiekiem do wszystkiego": byłem głównym geologiem, hydrologiem a nawet dział mierniczy mi podlegał. Mnie również przypadło zlecenie Cuprum analizy opłacalności dalszego wydobycia. Pierwsza ekspertyza nie wypadła po myśli KGHM, gdyż we wniosku końcowym stwierdzono, że przy cenie 1200 dol. za tonę miedzi eksploatacja jest opłacalna, choć mało atrakcyjna w porównaniu do nowego zagłębia. Alfred Wołczyński, wówczas dyrektor ds. górnictwa w kombinacie, zbeształ mnie, mówiąc, że nie takiej ekspertyzy oczekiwał. Trzeba było ją poprawić. Stanisław Pieprzyk przy mnie wziął do ręki mapę i zakreślił ją w kilku punktach przekonując, że w tych miejscach złoże jest rozlasowane, zatem stwarzałoby nadmierne zagrożenie w trakcie eksploatacji. Powstała więc druga ekspertyza, dostarczająca mocniejszych argumentów do zamknięcia kopalni.

## Powoli zatapiano wyrobiska

Zbliżał się kres ZG Lena, a ja nie wiedziałem, co będzie ze mną, z obawą myślałem o swojej przyszłości. W moim fachu trudno byłoby mi o pracę w którejś z nowych kopalni, dlatego chciałem się przekwalifikować na organizowanych w zakładzie kursach dla operatorów maszyn. Podzieliłem się swoim pomysłem ze Stanisławem Pieprzykiem i usłyszałem reprymendę: „Nie myśl, że ja tu sam zostanę. Polska Ludowa dała ci wykształcenie, a ty chcesz jako robotnik pracować?!".

Zostałem przymuszony do tego, by odejść z „Leny" jako jeden z ostatnich. W 1974 roku kopalnia już nie fedrowała, a ja przede wszystkim zajmowałem się sporządzaniem i porządkowaniem kopalnianej dokumentacji. Robiłem bilans zasobów, inwentaryzowałem dokumenty geologiczne, hydrologiczne, miernicze, by następnie przekazać je do „Konrada". Taka procedura obowiązuje w górnictwie od wieków; czynna kopalnia przejmuje schedę po zamykanej, w tym wszelkie zobowiązania, np. dotyczące szkód. Wcześniej ZG Lena również przejęły archiwum kopalni w Miedziance, a potem „Nowego Kościoła".

## Żeby nie lało się na głowy

10 października 1974 roku na dobre pożegnałem się z „Leną" i zostałem głównym hydrologiem i kierownikiem działu hydrologicznego w ZG Konrad. Byłem zadowolony z takiego układu, przede wszystkim miałem pracę blisko domu. Choć jednocześnie zakres moich obowiązków znacznie się poszerzył, gdyż „Konrad" był większą i głębszą kopalnią niż „Lena", a do tego górotwór miał bardziej zawodniony. Na „Lenie" średnioroczne dopływy na minutę wynosiły 9 m sześć., na „Konradzie" - 42! A im głębiej, tym ciśnienie wody większe i rośnie zagrożenie zalaniem wyrobisk. Przygotowując pole do eksploatacji, trzeba było to ciśnienie obniżyć, żeby ludziom nie lało się na głowy. Także skutki oddziaływania kopalni na otoczenie występowały na znacznie szerszą skalę. Tym najpoważniejszym był lej depresyjny, który spowodował ubytki wody w przydomowych studniach. Wspólnie z kolegami inżynierami: Eugeniuszem Pieczykolanem, Władysławem Skowronkiem i Stanisławem Idzikiem przygotowaliśmy w 1979 roku projekt: „Rozwiązanie problemu zaopatrzenia w wodę pitną w Niecce Grodzieckiej", za który otrzymaliśmy doroczną wojewódzką nagrodę w dziedzinie gospodarki narodowej. Po 13 latach na „Konradzie", w 1986 roku, odszedłem na emeryturę, jednak po paru miesiącach na prośbę dyrektora wróciłem i przez kolejne dwa lata, do końca 1989 roku, nadal byłem głównym hydrologiem.

## Coś w rodzaju szantażu

Po ślubie, w lipcu 1961 roku, zacząłem się usilnie starać o mieszkanie. Interweniowałem w radzie zakładowej, u dyrektora, ciągle mnie zwodzono, obiecywano, ale mieszkania wciąż nie miałem; gnieździliśmy się w moim hotelowym pokoju. Kiedy zbliżał się czas porodu, a obiecywany przydział po raz kolejny przeszedł mi koło nosa, zdesperowany złożyłem rezygnację ze stanowiska inżyniera ds. wodnych. Zastosowałem coś w rodzaju szantażu, nie czułem się z tego powodu dumny, ale byłem przyparty do muru.

Dyrektor Zbigniew Pochciał bez sprzeciwu przyjął rezygnację i na moje miejsce wyznaczył Czesława Skowronka. Na tę zamianę nie zgodził się jednak Urząd Górniczy, gdyż kandydat nie miał wymaganych kwalifikacji. Wtedy dyrektor zaproponował mi powrót na stanowisko i mieszkanie zastępcze na poddaszu. Oświadczyłem, że wrócę pod warunkiem otrzymania właściwego mieszkania. Doszliśmy ostatecznie do ugody, ale żeby być górą, dyrektor dodał, abym w najbliższym czasie zapomniał o podwyżce. Okazało się przy tym, że dostanę przydział na dwupokojowe mieszkanie o metrażu 52 m kw., o ile we wniosku wykażę do zameldowania trzy osoby - ciąża żony się nie liczyła. W ten sposób teść, rolnik spod Ostrołęki, stał się fikcyjnym mieszkańcem Złotoryi.

Standard bloku był dość mizerny. Teraz mamy ogrzewanie gazowe, ale wtedy w każdym pomieszczeniu stał piec na węgiel, niedoróbki budowlane sprawiały, że kiedy sąsiedzi u siebie rozpalali, to u nas pojawiał się dym. Sam malowałem drewniane podłogi i kombinowałem jak wyposażyć te puste pomieszczenia. Płytki załatwiałem po znajomości, kanapę za łapówkę, a meble sprowadzaliśmy aż z Wolsztyna, gdzie je produkowano.

Pojawienie się na świecie syna (urodził się nam pod choinkę 26 grudnia 1962 roku), świętowaliśmy już we własnym mieszkaniu. Mirosław ukończył kartografię na Uniwersytecie Wrocławskim i jest nauczycielem. Wnuczka Olga mieszka w Londynie, wnuk Marcin, informatyk, we Wrocławiu. A my z żoną nadal w tym „wyszantażowanym" mieszkaniu w Złotoryi.

Praca w obu kopalniach a szczególnie na „Lenie" przyniosła mi dużo satysfakcji zawodowej. Mogłem pogłębiać swoje kwalifikacje zdobywając kolejne uprawnienia. Doczekałem się też wielu odznaczeń i wyróżnień państwowych, łącznie ze Złotym Krzyżem Zasługi i Orderem Sztandaru Pracy I i II klasy, a także branżowych, m.in. przyznano mi Złotą Odznakę Budowniczego LGOM oraz - Inżynier Górniczy I stopnia. ■

1962 rok. Pan Stanisław spaceruje z żoną nad Kaczawą w Złotoryi.

**Przed służbowym wyjazdem do Francji, „wypożyczył" mnie sobie pewien ubowiec i nakłaniał, bym zdobył jakieś informacje o uzbrojeniu tego kraju. Odpowiedziałem, że się tym nie zajmuję. Zagroził, że zabierze mi paszport. Nie zrobił jednak tego, ale po powrocie zaprosił mnie do siebie i wypytywał, jak we Francji montują maszyny. Odpowiedziałem krótko: „Metodą pert". Tylko mruknął, udając, że wie, o co chodzi.**

*Bolesław Banaś, nadsztygar objazdowy, kierownik robót górniczych w ZG Lena i ZG Konrad, główny inżynier górniczy w KGHM, dyr. techniczny w Zakładzie Doświadczalnym. Pracował w latach 1959-1990*

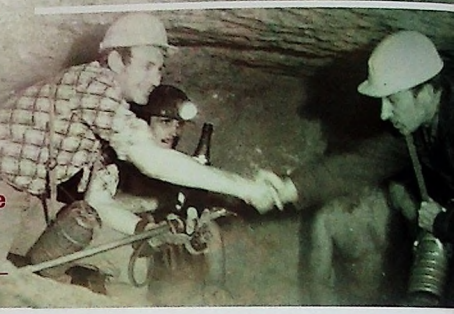

# Kopalnia **zamiast okrętu**

– Pojechałem na Akademię Górniczo-Hutniczą w Krakowie, żeby sprawdzić, czy się dostałem na uczelnię. W emocjach trzy razy czytałem listę nowo przyjętych studentów i nie znalazłem swojego nazwiska. Usiadłem podłamany, ale za chwilę podszedłem raz jeszcze do tablicy i wtedy przeczytałem: „Banaś Bolesław - starosta grupy". Moje nazwisko widniało, oddzielone od pozostałych, na samej górze listy – z uśmiechem wspomina czasy studenckie pan Bolesław.

## ▪ Chciał być mechanikiem...

Bolesław Banaś urodził się w Tatarowie nad Prutem. Po zakończeniu wojny, rodzina została przesiedlona do Polski. Swoje miejsce znalazła w Olbrachcicach koło Ząbkowic Śląskich.

Młody Bolek błyszczał w szkole z matematyki i fizyki, jeden z nauczycieli namówił go, by zdawał na Politechnikę Gdańską, na Wydział Budowy Okrętów. Szczęście mu dopisało, został przyjęty na uczelnię.

Trudne warunki mieszkaniowe odbiły się na jego zdrowiu, rozchorował się. Na pierwszym roku studiów urlopów dziekańskich nie udzielano, musiał więc zrezygnować z nauki. Wyjechał do Malborka, gdzie pracował jako nauczyciel matematyki, fizyki i języka rosyjskiego. Tam poznał ciotkę z Krakowa.

– Zaproponowała mi miejsce w swoim krakowskim domu. Wolała, by wprowadził się krewny, niżby mieli dokwaterować jej kogoś obcego - w tym czasie było to na porządku dziennym, jeśli powierzchnia mieszkalna przekraczała 10 m kw. na osobę – wyjaśnia pan Bolesław.

Zamieszkał więc u ciotki, znalazł pracę w Przedsiębiorstwie Geologiczno-Inżynierskim, gdzie zajmował się badaniem gruntu.

Wyniki dostarczał profesorowi Janczewskiemu z Katedry Geofizyki AGH. To był jego pierwszy kontakt z tą uczelnią. A potem, za namową znajomego geologa, dość szybko zdecydował się na studia w AGH. Chciał zostać inżynierem mechanikiem, ale po zdanym egzaminie władze uczelni skierowały go na górnictwo, gdyż zwłaszcza w tej branży brakowało fachowców. Naukę rozpoczął w 1954 roku. Od razu, jak tylko władze uczelni pozwoliły, zajął się organizacją Karczm Piwnych i kultywowaniem starych tradycji górniczych. Były z tym pewne problemy, gdyż do czasu odwilży politycznej obchodzenie Barbórki (jako świętej) było zabronione. Jej rzeźbę z holu uczelni w czasach stalinizmu wyniesiono, dopiero po 56. roku Barbara wróciła na swoje miejsce.

Warunki socjalne studentów były w tamtych czasach zupełnie inne niż obecnie. Z resortu górnictwa każdy student drugiego roku dostawał mundur koloru stalowego, do tego dwie koszule, krawat, płaszcz i czapki z dystynkcjami. Stypendium państwowe starczało tylko na opłacenie obiadów, ale akademik w tym czasie był bezpłatny. Studenci mieszkali w 9-osobowych pokojach, spali na metalowych łóżkach i każdy miał do dyspozycji tylko małą szafkę.

– Po kilku latach nauki i wybraniu specjalizacji (rudy) zostałem wysłany na praktykę dyplomową do starego zagłębia miedziowego na Dolnym Śląsku. Tematem mojej pracy magisterskiej było „Przygotowanie złoża podpoziomowego w kopalni Lena".

*Pod ziemią w kopalni Lena. Z lewej Bolesław Banaś, z prawej Edward Szotek - sztygar oddziałowy. Pierwsza połowa lat 60.*

## ▪ Trzeba to zmienić

Pracę na „Lenie", w Wilkowie, zaczął w sierpniu 1959 roku od stanowiska nadgórnika. Złoże było udostępniane upadowymi z powierzchni i szybem zjazdowo-wydobywczym. Stosowano ścianowy system eksploatacji z elastycznym ugięciem stropu, a nieczynne wyrobiska wypełniano kasztami z urobkiem. Transport urobku był uciążliwy, a system eksploatacji okazał się mało wydajny i drogi, między innymi z tego powodu, że zawartość miedzi w rudzie wynosiła tu niewiele, bo około 0,68-0,70 procent. W kon-

centracie dochodziła zaledwie do 14 procent. Pracownicy zastanawiali się, co zrobić, żeby poprawić sytuację. Z czasem przestali stawiać kaszty i zamiast obudowy drewnianej wprowadzili stalową wraz z systemem zawału stropu. Zwalisko wypełniało pustą przestrzeń, a kopalnia zaoszczędzała na drewnie i rudzie. Udało się też na tyle dopracować technologię wzbogacania rudy, że zawartość miedzi w koncentracie doszła do 19 procent.

*Tak wyglądał w latach 1962/63 transport drewna do obudowy wyrobisk. Wcześniej te bale górnicy nosili na plecach.*

## Z łanią w tunelu

– Już drugiego dnia pracy Gerard Kępka, sztygar oddziałowy, dał mi do ręki szychtówkę i powiedział: „Zarządzasz kilkudziesięcioma ludźmi". Nie miałem wyjścia, musiałem kierować dużo starszymi od siebie pracownikami, ale to oni mnie uczyli, a nie ja ich. Początkowo na „Lenie" pracowało niewielu inżynierów. W dozorze nierzadko zatrudniano absolwentów dwuletniego technikum, zazwyczaj byli to wojskowi odesłani do cywila. A dozór niższego szczebla stanowili po części reemigranci z Francji, którzy w kopalniach francuskich byli pracownikami fizycznymi.

Ponieważ w kopalni wciąż brakowało rąk do pracy, obok „Leny" wybudowano tymczasowe więzienie. Osadzonych zatrudniano pod ziemią. Przez las prowadził do kopalni tunel z drutu kolczastego, którym więźniowie szli do pracy. Pewnego dnia przyplątała się tam młoda łania, a że zaczęli ją dokarmiać, przywiązała się do nich i towarzyszyła im w drodze do kopalni.

Wśród więźniów był prokurator z Rzeszowa, któremu udowodniono współpracę z Niemcami w czasie okupacji. Nie brakowało też byłych żołnierzy Armii Krajowej. Jeden z nich, wysoki, dobrze zbudowany oficer, opowiadał, że ludzie z UB chcieli biciem wydobyć z niego informacje. Ostrzegał ich, że jeśli będą go tak traktować, puszczą mu nerwy. Tak się też stało i jednemu z ubowców złamał szczękę, a sam skończył w więzieniu w Wilkowie.

Bodaj najbardziej znanym spośród więźniów był pan Henryk, major jednostki wojskowej w Bolesławcu, który zastrzelił oficera, kochanka swojej żony.

– Doszło do tego na balu sylwestrowym. Pan Henryk złapał ich na gorącym uczynku. Tak się wzburzył, że poszedł do domu po pistolet, wrócił i zastrzelił kolegę. Dostał 25 lat więzienia. Ten inteligentny człowiek bardzo przeżywał to zdarzenie sprzed laty. W kopalni został grupowym więźniów. Po odsiedzeniu wyroku pracował na „Lenie" jako człowiek wolny. Z czasem przeprowadził się do Lubina i jeszcze przez wiele lat zatrudniony był w Zakładzie Doświadczalnym. Zajmował się wyrobem miniatur kopalnianych wagonów wypełnionych rudą. Dawaliśmy je potem w prezencie różnym oficjelom – opowiada pan Bolesław.

## Jak na nartach

Któregoś dnia, w 1964 roku, na „Lenie" pojawił się Józef Szczerba, dyrektor techniczny „Konrada". Zjechał na dół i przyglądał się, jak górnicy radzą sobie z nowym systemem eksploatacji. Wtedy też namówił Bolesława Banasia, by przeszedł do niego na kierownika robót górniczych.

*Górnicy z „Leny" jako pierwsi w zagłębiu otrzymali służbowe mundury w 1962 roku. Od lewej: Edward Szotek - sztygar oddziałowy, Jerzy Kolasiński - nadsztygar, Bolesław Banaś, Palonka - sztygar zmianowy, Kierpka - sztygar zmianowy.*

– Na „Konradzie" w tym czasie stosowali jeszcze ścianowy system eksploatacji z podsadzką hydrauliczną, czyli metodę drogą i czasochłonną. Kiedy już tam pracowałem, w ciągu roku odeszliśmy od podsadzki. Złoże kopalni „Konrad" było dość mocno nachylone - około 13 stopni. Przy tych pochyłościach występowały problemy z transportem ludzi, gdyż różnica w głębokości szybów Konrad I a Konrad II wynosiła 240 m. To było bardzo męczące dla przemieszczających się między tymi obszarami. Zamontowaliśmy więc wyciąg podobny do stosowanych niegdyś na stokach narciarskich. Górnik zahaczał się swoim pasem o linę i w ten sposób łatwiej było mu iść pod górę – tłumaczy Bolesław Banaś.

Kierownictwo „Konrada" ciągle potrzebowało nowych pracowników, dlatego podobnie jak na „Lenie" zatrudniano więźniów. Płacono im tak, jak górnikom. Potrącano co prawda na utrzymanie, ale zawsze zdołali coś odłożyć i kiedy wychodzili z więzienia, mieli trochę grosza. Za dobre sprawowanie skracano im wyroki. Większość zostawała w firmie, osiedlała się w okolicy, zakładała lub ściągała tu swoje rodziny.

## ▪ Po Barbórce cyklinowanie

Pan Bolesław po podjęciu pracy w starym zagłębiu zamieszkał z małżonką w Złotoryi, w hotelu dla dozoru. Po dwóch miesiącach otrzymali mieszkanie w 4-rodzinnym domu przy ul. Górniczej. Skombinowali kołdry, poduszki, koce, pościelili je na podłodze i tak przez jakiś czas mieszkali. Wówczas kupienie mebli graniczyło z cudem. Dlatego żona pana Bolesława, pracująca w złotoryjskim banku, pilnowała dostaw.

– Któregoś listopadowego dnia Anna dzwoni na kopalnię i mówi: „Przyjeżdżaj, przywieźli

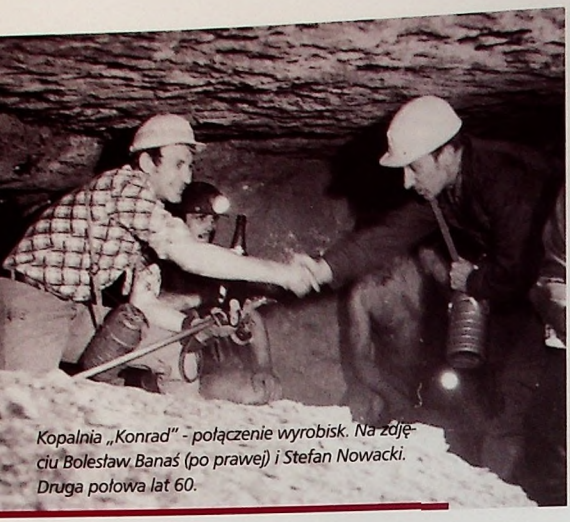

*Kopalnia „Konrad" - połączenie wyrobisk. Na zdjęciu Bolesław Banaś (po prawej) i Stefan Nowacki. Druga połowa lat 60.*

meble". Wtedy tylko jeden pracownik „Leny" miał samochód, a dokładnie moskwicza, o którego wystarała się jego żona Rosjanka. Podwiózł mnie szybko do miasta i tak „upolowaliśmy" szafę, stół, krzesła, 2-osobowy tapczan i komodę. Wszystko na wysoki połysk, z orzechową okleiną. Część tych historycznych mebli, solidnie zresztą wykonanych, zachowaliśmy do dzisiaj – opowiada z humorem Bolesław Banaś.

Po zatrudnieniu się w „Konradzie" przeprowadził się z rodziną do Bolesławca. Tam przydzielono im domek jednorodzinny. Po pięciu latach ściągnięto pana Bolesława do pracy w kombinacie. Czekało tam na niego mieszkanie, ale państwo Banasiowie początkowo nie chcieli się przeprowadzać do Lubina. Pan Bolesław nocował w hotelu i w każdą środę i sobotę jeździł do rodziny. Ten upór się opłacił, bo gdy niedaleko biura zarządu budowano dla pracowników zarządu domki z garażami, jeden z nich przypadł Banasiom. Ogółem powstało w tym miejscu 36 bliźniaków.

Sprowadził rodzinę do Lubina dokładnie 2 grudnia 1971 roku. Następnego dnia po przeprowadzce Bolesław Banaś został wysłany jako przedstawiciel kombinatu do „Leny" na Barbórkę. Wspomina, jak wrócił późnym wieczorem i zabrał się jeszcze za cyklinowanie parkietu. Państwo Banasiowie do dzisiaj mieszkają w tym domku i chwalą sobie to miejsce.

## Idziemy w mechanizację

Kopalnię „Lubin" uruchomiono 22 lipca 1968 roku, ale tylko formalnie. Eksploatację zaczęto w pierwszym kwartale 1969 roku. W tym czasie „Lenę" i „Konrada", które podlegały bezpośrednio zjednoczeniu, włączono do kombinatu.

Bolesław Banaś miał przejść z „Konrada" na zawiadowcę do kopalni „Lubin", ale dyrektor Zbigniew Pochciał, z którym wcześniej pracował na „Lenie", zdecydował, że będzie głównym inżynierem górniczym w kombinacie. Z czasem do nowego zagłębia także ściągnięto: Czesława Masłowskiego, Zbigniewa Pieniądza, Leszka Szpakowskiego i Leszka Dobrowolskiego. Ta silna grupa zaczęła pracować nad technologią wzbogacania rud.

Do pracy w KGHM kierowano też doświadczonych górników ze śląskich kopalń węgla. Jednym z nich był późniejszy minister Janusz Bojakowski.

– Ze Ślązakami mieliśmy pewien problem. Trzeba było ich przekonywać do ściślejszej współpracy

*Akademia z okazji Barbórki w ZG Lubin w pierwszej połowie lat 80. Po prawej Bolesław Banaś, obok Jan Kolaczek z Zakładu Robót Górniczych i jednocześnie ówczesny przewodniczący rady miasta.*

*Karczma Piwna, 1988 rok. Pasowanie na gwarka Stanisława Toczka, ówczesnego dyrektora II LO w Lubinie. Z lewej Bolesław Banaś, z prawej Piotr Nowakowski, dyrektor Zakładu Doświadczalnego.*

z geologami, po to by unikać wybierania kamienia. Bo u nas nie tony się liczyły, lecz to co uzyskuje się z flotacji – mówi pan Bolesław.

W KGHM i w instytutach naukowych pracowano nad nowym systemem eksploatacji rudy miedzi, bo dotąd stosowany (ścianowy ze skreperem) okazał się mało wydajny. Zdecydowano więc o przejściu na system filarowo-komorowy. Z czasem wprowadzono obudowę kotwiową i konsekwentnie dążono do mechanizacji wszystkich procesów związanych z wybieraniem złoża.

Początkowo w kopalniach nowego zagłębia w powszechnym użyciu były radzieckie ładowarki łapowe i wiertnice SBU na sprężone powietrze. Te niezgrabne, wolno poruszające się maszyny, zużywały sporo powietrza. Kierownictwo kombinatu nie poprzestało na współpracy z ZSRR. W 1971 roku KGHM wysłał delegację do Francji. Oprócz Bolesława Banasia pojechał tam między innymi Tadeusz Babisz, dyrektor kopalni Polkowice, Jan Kopeć z Zakładu Doświadczalnego, a także przedstawiciel z Ministerstwa Handlu Zagranicznego.

– Przed wyjazdem do Francji „wypożyczył" mnie sobie pewien ubowiec i nakłaniał, bym zdobył jakieś informacje o uzbrojeniu tego kraju. Odpowiedziałem, że się tym nie zajmuję. Zagroził, że zablokuje mi paszport. Nie zrobił jednak tego. Ale po powrocie zaprosił mnie do siebie i wypytywał, jak we Francji montują maszyny. Odpowiedziałem krótko: „Metodą pert". Tylko mruknął, udając, że wie, o co chodzi – opowiada Bolesław Banaś.

W tym czasie we Francji kopalnie już zmechanizowano. Były one płytkie i nie potrzebowały tyle sprzętu, co w zakładach górniczych zagłębia miedziowego. Po powrocie delegacji do kraju kombinat zakupił we Francji sporą liczbę odstawczych wozów szufladowych. Potem otrzymał na nie licencję i uruchomił ich produkcję.

Z czasem Jan Stosiak z Zakładu Doświadczalnego wpadł na pomysł, żeby do skonstruowania ładowarki wykorzystać ciągniki wrocławskiej Fadromy i wtedy mechanizacja w oparciu o rodzimą produkcję maszyn zaczęła się na dobre. Powstała ładowarka ŁK1, potem ŁK2, ciągniki do wiertnic, kotwiarek, wóz strzałowy, wóz do transportu załogi. Po zlikwidowaniu „Leny", w powstałym tam Zakładzie Urządzeń Górniczych wytwarzano koronki do wiercenia otworów strzałowych, by ograniczyć import ze Szwecji. Natomiast produkcją maszyn zajął się legnicki Legmet, a remontami Zakład Naprawczy Maszyn w Polkowicach. Na fali tych przemian zaopatrzeniowych kupowano także sprzęt do pracy na powierzchni. W 1972 roku firma sprowadziła z Anglii ksero do kopiowania map, miało ono rozmiary dużej szafy. W stanie wojennym jego użytkowanie odbywało się pod ścisłą kontrolą, w obawie przed użyciem go do kopiowania podziemnych wydawnictw. Długo było to jedyne tego typu ksero w kombinacie – podsumowuje pan Bolesław.

## ▪ Oddał się pszczelarstwu

Bolesław Banaś już od 25 lat jest na emeryturze. Przeszedł na nią z Zakładu Doświadczalnego, w którym pracował jako dyrektor techniczny. Po zakończeniu pracy zawodowej w 1990 roku powiedział sobie: „Nie będę siedział bezczynnie, muszę się czymś zająć" i oddał się bez reszty pszczelarstwu. O pszczołach mówi: „To ciekawe stworzenia, jedyne na świecie, które niczego z przyrody nie biorą kosztem innych, natomiast dużo z siebie dają".

Nadal działa w Stowarzyszeniu Inżynierów i Techników Górnictwa. Mimo że od wielu lat nie pracuje, sprawy KGHM wciąż żywo go obchodzą. ■

**Na przekór pruderii jeden z radnych, Józef Finster, zebrał kasę od zamożnych gorzowian, którzy zakupili dla miasta tę kontrowersyjną rzeźbę. Gorzowscy dziennikarze nazwali ją „Śfinster", na koniec prezydent Gorzowa zdecydował o usunięciu rzeźby. Wywieźli ją do miejskiej bazy i tam potłukli - żeliwo łatwo pęka. Po zmianie władzy w mieście, żelazny człowiek, odrestaurowany, powrócił. Tyle, że już nie na deptak, ale do parku.**

***Zbigniew Frączkiewicz**, artysta rzeźbiarz, absolwent warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, pracował w ZM Legmet na początku lat 70., twórca m.in. Tryptyku Lubińskiego, Pomnika Ofiar Lubina 1982, rzeźby „LGOM"*

# Zwyczajny los „miedzianego człowieka"

Już ponad czterdziestu żelaznych ludzi jest na całym świecie, miedziany tylko jeden. Niczym strażnik stoi przed wejściem do azylu swoich żelaznych krewniaków w Szklarskiej Porębie. Lewa ręka z żeliwa, granitowy postument spaja go z ziemią, na żelazie - miedziana głowa, kiedyś lśniąca, dziś w zielonej patynie.

## Głowa w zaroślach

– W latach 70. zaproszono mnie na plener rzeźbiarski w Hajnówce – wspomina historię swojego LGOM Zbigniew Frączkiewicz. – Pojechałem, dali mi ogromny dębowy pień - postanowiłem zrobić z niego postać, która wyrasta z ziemi jak drzewo, z chropawym żeliwnym torsem i błyszczącą miedzianą głową. To alegoria przeobrażania.

W chocianowskiej Fabryce Urządzeń Mechanicznych najszybciej pojawiła się drewniana część rzeźby, potem gliniany model torsu odlany niebawem z żeliwa, na koniec w legnickiej hucie odlano z miedzi głowę rzeźbionej postaci.

– Podczas transportu form głowy z Chocianowa do legnickiej huty powstał uskok, który długo musiałem szlifować i polerować, by nadać jej zaprojektowany kształt – wspomina artysta.

Gotowa rzeźba trafiła na zaplecze ówczesnego Domu Kultury Zagłębia Miedziowego.

A stamtąd wędrowała po wystawach. Najpierw do BWA we Wrocławiu, potem do Krako-

*LGOM - rzeźba nagrodzona na konkursie w Krakowie. Przez wiele lat stała na lubińskim rynku.*

*Tabliczka z tyłu rzeźby LGOM upamiętniająca przyznanie jej Grand Prix.*

wa, gdzie akurat był organizowany konkurs na Rzeźbę Roku 1975 Polski Południowej. Człowiek z miedzianą głową zdobył tam Grand Prix. Potem wrócił do Lubina.

Artysta zaproponował ówczesnym władzom kupno tej rzeźby. Miasto przystało na tę ofertę i człowiek z miedzianą głową stanął w Rynku. Jednak ćwierć wieku temu pewnego wieczoru wyżyła się na nim miejscowa grupa kibiców. Następnego dnia lubinianie znaleźli rzeźbę przewróconą i mocno zdewastowaną.

Jej żeliwne i miedziane części trafiły do jakiejś bazy komunalnej. Frączkiewicz realizował wówczas dla miasta pomnik Pamięci Ofiar Lubina `82 w kamieniołomach w Michałowicach.

– Pomyślałem wtedy, że zamiast drewnianej podstawy, mało odpornej na działanie czasu i wandali, może mieć bazę granitową – wspomina. – Zaproponowałem władzom miejskim Lubina, że zabiorę rzeźbę z magazynu i w kamieniołomie ją zrekonstruuję zastępując granitem pierwotną drewnianą część.

Jednak praca nad pomnikiem lubińskiego sierpnia trwała wiele miesięcy. Kiedy artysta zabrał się za naprawę uszkodzonej rzeźby z Lubina, odkrył, że nie ma już nie tylko drewnianej podstawy, ale i miedzianej głowy.

– Policyjne dochodzenie niczego nie wyjaśniło – wspomina. – Dopiero po dwóch latach stróż z kamieniołomu znalazł miedzianą głowę w zaroślach. Do dziś zachowała „pamiątkę" - cięcie po spotkaniu z brzeszczotem złodzieja.

Frączkiewicz wreszcie mógł naprawić swoją rzeźbę. Ówczesnym władzom Lubina (formalnie właścicielom rzeźby) zaproponował, by zapłaciły za jej renowację.

*Teraz „człowiek z miedzianą głową" pilnuje kamiennego kręgu w Szklarskiej Porębie.*

– Nie chodziło o wielką kwotę – przekonuje artysta. – Ale odpowiedziano mi, że już jej nie chcą, więc przywiozłem ją do Szklarskiej Poręby.

## ▪ Pamięć 1982

– Na własne oczy widziałem, co się działo w Lubinie, w sierpniu 1982 roku – mówi Zbigniew Frączkiewicz. – Ginęli ludzie a krew rzeczywiście się lała po ziemi.

Najpierw namalował symboliczny „tryptyk lubiński"; z motywem zgubionego buta, krzyża i mostka, na którym zginęła jedna z ofiar. Artysta uznał, że te trzy niewielkich rozmiarów obrazy malowane gwaszem powinny się znajdować w siedzibie miedziowej „Solidarności".

– Podarowałem im te gwasze – mówi. – Chyba są tam do dzisiaj. Potem powstał pomnik lubińskiego sierpnia. Odsłaniano go bardzo uroczyście 31 sierpnia 1992 roku. Wydarzenie miał zaszczycić Lech Wałęsa, ale nie przyjechał. Był za to Jan M. Rokita, popularny wówczas polityk. Był kardynał Henryk Gulbinowicz. I tłumy lubinian, tak jak w czasie protestów.

Jakoś w tym natłoku wydarzeń zapomniano o autorze dzieła. Komitet budowy pomnika szybko się rozwiązał. Tak szybko, że nawet nie zdążył zapłacić artyście za jego pomnik...

– Już nie chodzi mi o moją twórczą pracę, ale przecież te granity, stal, narzędzia, transport - to

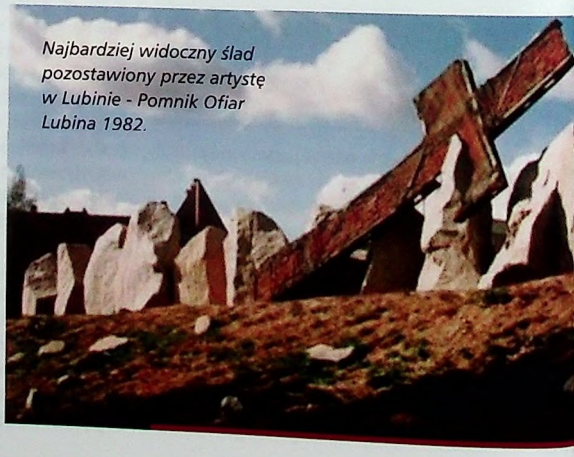

*Najbardziej widoczny ślad pozostawiony przez artystę w Lubinie - Pomnik Ofiar Lubina 1982.*

Zbigniew Frączkiewicz przy żeliwnej dłoni

wszystko kosztowało. Trudno było w kamieniu wyryć to, co miało się na nim znaleźć. Z Niemiec sprowadzałem specjalne narzędzia, bo wtedy w Polsce były nieosiągalne – dziś Frączkiewicz już tylko się smutno uśmiecha na wspomnienie tej sytuacji. – Zastanawiałem się, czy nie iść do sądu, ale nie było nawet kogo skarżyć. Uznałem, że widocznie tak to musi być i się poddałem.

Edward Wóltański z Towarzystwa Pamięci Ofiar Lubina pamięta, że coś tam zapłacono artyście, choć przyznaje, że: „na pewno nie były to duże kwoty i z pewnością dalekie od tego, co by się należało. Pieniądze mieliśmy tylko ze składek...".

## ▪ Najazd żelaznych ludzi

Być może to „miedziany strażnik" zapoczątkował inwazję żelaznych ludzi - artystycznej wizytówki Zbigniewa Frączkiewicza. Stoją z głowami sztywno osadzonymi na karkach. Z dumnie wypiętą piersią, z obnażonymi fallusami. Żelazne śruby łączą poszczególne elementy postaci: głowę, korpus, ręce, nogi.

– Pierwszy był żeliwny tors z elementów skręcanych na śruby (75 r.) – wyjaśnia artysta genezę swojego najbardziej znanego przedsięwzięcia. – Potem to ewoluowało. Była stopa z kołnierzami na śruby (78 r.). A pierwszy nagi człowiek z żelaza powstał w Chocianowie (84 r.). Najpierw lepiłem model z gliny, potem negatyw i pozytyw z gipsu. A dzięki dyrektorowi Tadeuszowi Urbańskiemu w chocianowskim FUM-ie powstały żeliwne odlewy. Ale to były inne czasy. Wówczas można się było dogadać z pracownikami. W krótkim czasie robili odlewy nawet pięciu ludzi z żelaza. W sumie dotychczas powstało około 40 żelaznych ludzi, każdy o wysokości 2,20 m.

– Jeździłem z tymi rzeźbami po Polsce, pokazywałem je za granicą, w Niemczech, w Szwajcarii, w Austrii. Intrygowały, ludzie coś w nich widzieli – opowiada Frączkiewicz.

Monumentalny charakter tych rzeźb budził różne emocje. Jednym kojarzyły się z zapowiedzią cywilizacji cyborgów, innym przywodziły na myśl opowieści o niezłomnych wojowni-

*Ludzie z żelaza w swoim azylu w Szklarskiej Porębie.*

kach. Niektórzy jednak w ich nagości dostrzegali szatańską pokusę i protestowali, jak wtedy, w Gorzowie Wielkopolskim. Zresztą, nie tylko tam.

W Gorzowie stanęły na placu z blokowiskiem w tle. Ale organizator wystawy - tamtejsze BWA – dla celów promocyjnych ustawiło jedną postać w samym centrum miasta. Wtedy się zaczęło...

Okazało się, że rzeźba stała na drodze do kościoła. Jeden z jej przeciwników postanowił siekierą odrąbać „grzeszne" genitalia.

*Żeliwne ręce w ogrodzie artysty w Szklarskiej Porębie.*

*Charakterystyczny lubiński „witacz" to także dzieło Zbigniewa Frączkiewicza.*

– Zrobił się z tego skandal – wspomina Frączkiewicz. – W gorzowskim teatrze wystawiono nawet sztukę, której motywem stała się moja rzeźba. Trzeba było Żelaznego Człowieka przykrywać workiem. Na przekór pruderii jeden z radnych, Józef Finster, zebrał kasę od zamożnych gorzowian i zakupili dla miasta tę kontrowersyjną rzeźbę. Gorzowscy dziennikarze nazwali ją „Śfinster", na koniec prezydent Gorzowa zdecydował o usunięciu rzeźby. Wywieźli ją do miejskiej bazy i tam potłukli - żeliwo łatwo pęka. Po zmianie władzy w mieście, żelazny człowiek, odrestaurowany, powrócił. Tyle, że już nie na deptak, ale do parku.

W Legnicy rzeźby Frączkiewicza stały na ul. Złotoryjskiej, tuż przy Rynku. Również i tam nie obyło się bez protestów, choć ich przebieg nie był tak dramatyczny, jak w Gorzowie. Jednak największe podróże nagich mężczyzn z żelaza wiążą się z ich peregrynacjami po Europie. Zwłaszcza wystawy w Niemczech przyniosły ich twórcy nie tylko profity czysto materialne, ale i artystyczne. Wystawy, plenery, nagrody. Pochód żelaznych ludzi dotarł do Szwajcarii, Austrii, Czech, Słowacji. Wszędzie budził to samo zainteresowanie i różne interpretacje. Zdarzało się, że jeden lub więcej żeliwnych monumentów już nie wracało do kraju.

– To przerosło moje oczekiwania – przyznaje artysta. – Rozwijałem ten cykl, projektując również mniejsze rzeźby – miniatury, ale marzę o skali większej. Wszystkie, tak jak ich pierwowzory, dają się rozłożyć na części, które można dowolnie komponować. Każda może stanowić autonomiczną całość lub część większej całości.

## W kamiennym kręgu

Na początku lat 80. żelazne rzeźby jechały do niemieckiego miasta Fellbach (dawna Republika Federalna Niemiec) w konwoju składającym się z ciężarówki i „malucha", którym poruszał się Zbigniew Frączkiewicz.

– Na wernisaż przybył sam „oberbürgermeister" Kill – wspomina artysta. – Dowiedziałem się, że miasto chciałoby kupić żelaznego człowieka. Nie miałem pojęcia, co odpowiedzieć.

Rzuciłem jakąś kwotę, która wydała mi się absurdalnie wysoka. W odpowiedzi usłyszałem, że w takim razie kupią ...wszystkich żelaznych ludzi, z którymi przyjechałem do Fellbach! I tak się stało. Kupili pięć rzeźb a ja dzięki temu mogłem zrealizować swoje marzenia - w końcu przeprowadzić się w góry.

W Szklarskiej Porębie ustawił kamienny krąg a wewnątrz niego - swoich ludzi z żelaza. Przed wejściem stoi potężna rzeźba - LGOM (taką nazwę nosi rzeźba człowieka z miedzianą głową nagrodzona w Krakowie), której nie chciał Lubin.

– To azyl moich żelaznych ludzi – mówi artysta. – Same postaci, bądź elementy, z których się składają, mogą być powielane w wielu egzemplarzach. Wówczas powstaje dodatkowy „efekt mnogości" - z anonimowych jednostek przemieniają się w anonimowy tłum.

Rząd żelaznych rąk stoi w ogrodzie przy domu artysty w Szklarskiej Porębie. Na Pomniku Ofiar Faszyzmu w Chocianowie rzędy głów. Na innych pomnikach znajdują się powielone w wielu egzemplarzach ręce, dłonie, stopy – kamienne i żeliwne. Już z racji użytego tworzywa sprawiają wrażenie monumentalne. A ustawione w publicznej przestrzeni nie pozostawiają nikogo obojętnym.

## ▪ Eldorado dla rzeźbiarza

Jeśli epizod legnicki w biografii Frączkiewicza był przypadkiem, to z pewnością takim przypadkiem nie był jego związek z zagłębiem miedziowym. Do legnickiego „Legmetu" trafił po wygranym rok wcześniej plenerze rzeźby w Legnicy (zdobył główną nagrodę - 1970).

– Wtedy właśnie podjąłem decyzję o osiedleniu się w Legnicy – wspomina. – Nie w Warszawie, gdzie studiowałem, ale tu, gdzie było tyle materiału do moich rzeźb.

Praca zakładowego plastyka w „Legmecie" daleka jednak była od spełnienia tego celu. Firma nie potrzebowała rzeźb, ale użytecznych malowideł przypominających o zasadach bhp. Bardziej niż artysty potrzebowała rzemieślnika. Po kilku miesiącach Frączkiewicz podjął pracę we wrocławskiej PWSSP jako asystent Borysa Michałowskiego.

Wiedział już jednak, gdzie jest materiał potrzebny do jego rzeźb. Dlatego jesienią 1973 roku zamieszkał w Lubinie. Jako plastyk powiatowy przyczynia się do powstania projektu „Humanizacja miasta Lubina". Współpracuje z urbanistami, architektami, tworzy system okolicznościowych dekoracji dla powiatu. Powstają pierwsze lubińskie rzeźby – napis LUBIN. A w 1980 roku przeprowadza się do Chocianowa. Tam ma wreszcie swoją pracownię rzeźbiarską. I blisko do FUM-u, gdzie znalazł bardzo przyjaźnie nastawionych do niego ludzi. Dziesięć lat później, to właśnie tam (między innymi) powstają elementy Pomnika Ofiar Lubina 1982. ■

**Któregoś dnia wskutek awarii rozdzielni pracownicy PBKRM (dzisiaj PeBeKa) drążący szyby, nie mogli wyjechać na powierzchnię. Na głębokości około 700 metrów spędzili kilka godzin, niemal siedząc na dynamicie. Niektórym puszczały nerwy, bo zapalniki były już zamontowane...**

*Jerzy Turlej, główny mechanik, w Przedsiębiorstwie Budowy Kopalń w Lubinie. Pracował w latach 1962-1991*

# Oglądaliśmy palmy od spodu

W czerwcu 1962 roku z kolegą Leszkiem Pazurą przeczytaliśmy na tablicy ogłoszeń w dziekanacie Wydziału Budowy Maszyn Górniczych i Hutniczych AGH w Krakowie, że Przedsiębiorstwo Budowy Kopalń Rud Miedzi w Lubinie poszukuje stypendystów. Stypendium fundowane wynosiło wówczas 450 zł, a więc znacznie więcej niż państwowe. Ale my w tym czasie kończyliśmy już uczelnię, więc nie dla nas były te pieniądze. Kolega rzucił jednak: „Mój brat jest absolwentem wydziału górniczego i odbywał praktykę w Bolesławcu. Mówił, że to fajne okolice. Może pojechalibyśmy tam na staż? W najgorszym razie zobaczymy kawałek Polski...". Pomysł się mi spodobał, choćby dlatego, że do tej pory podróżowałem tylko z rodzinnego Olkusza do Krakowa i z powrotem.

## ▪ Awaria na dzień dobry

W tym czasie PBKRM drążyło coraz to nowe szyby i firma potrzebowała wielu inżynierów. Napisaliśmy do zakładu, że chcemy podjąć w nim pracę zaraz po egzaminach i odbyciu obowiązkowego szkolenia wojskowego. Gdy zaliczyliśmy ćwiczenia na poligonie w Bartoszycach, nie wróciliśmy już do domu, lecz pojechaliśmy prosto do Lubina. W mieście stacjonowali jeszcze żołnierze Armii Czerwonej. Ich widok na ulicach wydawał się nam niezwykły.

W firmie przyjął nas dyrektor Janusz Karwacki, a potem kadrowiec Kaniuch. Wraz z kolegą zatrudniliśmy się tuż po egzaminie dyplomowym, w listopadzie 1962 roku. Ja trafiłem na Szyb Główny ZG Lubin, natomiast Leszek na Szyb Wschodni. Pierwszego dnia pracy sztygar oddziałowy zapoznawał mnie z urządzeniami.

Obaj zamieszkaliśmy w hotelu robotniczym kombinatu. Spaliśmy w dużej sali podzielonej na mniejsze pokoje tylko dyktą. Na obiady chodziliśmy do dawnej restauracji Eureka, potem do Klubowej, która mieściła się naprzeciw budynku PKS, w nieistniejącym już obiekcie.

*Dźwig stawia 7-tonowe kampy, w których zamieszkali pracownicy ZBK.*

Z czasem na terenie osiedla D otwarto dla górników stołówkę.

## „Zimne" kobiety dwie

Gdy się przyjmowałem do pracy, w firmie projektowano metody mrożenia i drążenia szybów. Zanim dopracowano się skutecznych sposobów, nierzadko dochodziło do awarii i właśnie od jej usuwania zacząłem swoją robotę w PKBRM. Pamiętam, że w szybie L-I, który miał wówczas 245 m głębokości, popękały rury mrożeniowe, do środka wdarła się woda wraz z solanką, która rozmrażała płaszcz lodowy. Po dwóch tygodniach mojej pracy doszło do kolejnej awarii, tym razem na L-II. Przysyłali nam do pomocy doradców radzieckich, ale i oni byli bezradni. Nikt nie miał doświadczenia w drążeniu szybów z tak głębokim mrożeniem i warunkach, które występowały w naszym zagłębiu. Nie było więc wyboru - zostaliśmy pionierami.

W tworzonym Dziale Studiów PBKRM zatrudniły się dwie kobiety, absolwentki AGH: Irena Pleśniak i Barbara Przygrodzka. Zajęły się zagadnieniem mrożenia górotworu i z czasem obroniły doktoraty - pierwsza z mrożenia, a druga z odmrażania górotworu. Ostatecznie staliśmy się de facto wykonawcami decyzji tych pań, bo one doradzały naczelnemu inżynierowi, a ten nam wydawał polecenia.

## Mordercza praca

Pół roku później, kiedy skończyłem staż, zostałem oddelegowany do nowo budowanej kopalni Polkowice na Szyby Główne. Tu czekały na mnie kolejne wyzwania. Przedsiębiorstwo rozwijało front robót i „Polkowice" stały się poligonem doświadczalnym, na którym wprowadzano wszelkie nowości technologiczne.

Przed rozpoczęciem głębienia szybów P1 i P2 sprawdzałem szczelność otworów mrożeniowych. Pracowałem przy ich głębieniu od trawnika - jak się mówi w górnictwie - aż do

ich ukończenia i oddania do eksploatacji w 1968 roku.

Doskonale pamiętam, jak początkowo wyglądało urabianie w szybie. Dwudziestu paru górników kuło zamrożoną skałę młotami pneumatycznymi. To była niezwykle ciężka, mordercza wręcz praca. Dlatego staraliśmy się, żeby przynajmniej jądro nie zostało zamrożone, ale nie zawszenie się to udawało. Podczas urabiania górnicy pracowali w piekielnym hałasie i chociaż mieli zatyczki w uszach, niewiele im to pomagało.

Wybieranie urobku było żmudne, bo łyżka ręcznie sterowanej ładowarki, podwieszonej pod pomostem, miała pojemność zaledwie 0,2 m sześc. Urobek niewielkim kubłem wywożono na powierzchnię. Żeby umożliwić eksploatację, musieliśmy wykonać roboty poziome, a w tym: komory pomp, komory kruszarek, przekopy główne dla kopalni Polkowice i upadowe do połączenia z kopalnią Rudna. Na „Polkowicach", mimo w większości ręcznej pracy, postępy w głębieniu były korzystniejsze niż w kopalni Lubin. głównie dzięki dobrej organizacji i starannemu doborowi załogi.

*Budowa tunelu w górach - montaż szalunków.*

## ▪ Wymyślił nazwy

Z czasem zakupiono w ZSRR szybową ładowarkę kabinową KS-2u - sterowana mechanicznie przez operatora z kabiny, bardzo ułatwiła nam pracę. Miała czerpak trzykrotnie większy niż dotychczas stosowany. Sprawdziła się i nadal jest używana. Jak przywieźli ją na Polkowice Główne, przyszedł do mnie przełożony, dał mi instrukcję, a właściwie książkę napisaną po rosyjsku i powiedział: „Ma pan tu ładowarkę w skrzyniach. Trzeba ją zmontować i zorganizować stanowisko do nauki obsługi. Będzie pan szkolił ludzi". Zabrałem się za tłumaczenie instrukcji na język polski, a że nazw pewnych elementów w słownikach nie znalazłem, sam je wymyśliłem i funkcjonują do dzisiaj. Po ośmiu miesiącach dostałem instrukcję przełożoną na polski przez tłumacza. Ponieważ nie miał on nic wspólnego z górnictwem ani maszynami, przekład do niczego się nie nadawał.

Ładowarki te po raz pierwszy używano w Polsce, dlatego nawet Przedsiębiorstwo Budowy Szybów z Bytomia przysłało do nas ludzi na przeszkolenie. Z czasem zaczęto sprowadzać z Zachodu sprzęt do robót poziomych i trzeba

było uczyć się obsługi coraz to nowych maszyn. Z innych nowości: do wykonania obudowy szybowej zastosowaliśmy szalunek ślizgowy i kubeł wiertniczy - byłem współautorem ich projektów. Wprowadziliśmy też nowy sposób transportu betonu w szybach i na robotach poziomych. Innowacje te pozwoliły osiągnąć średnie rekordowe postępy w głębieniu szybów i przyczyniły się do skrócenia czasu budowy kopalni Polkowice. Kopalnię Lubin zaczęto budować w 1960 roku, a „Polkowice" w 1963 roku, ale obie ukończono w tym samym czasie, to jest w 1968 roku.

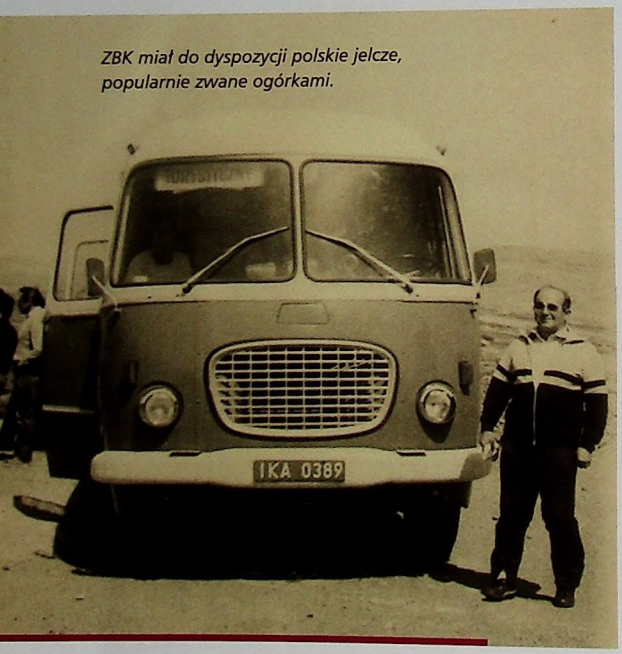


*ZBK miał do dyspozycji polskie jelcze, popularnie zwane ogórkami.*

Po zbiciu kopalni Polkowice z „Rudną" przeszliśmy na Rudną Główną, gdzie drążyliśmy kilka szybów. Tu awansowałem i zostałem głównym mechanikiem w rejonie robót.

## A wszystko przez kota

Któregoś dnia, jeszcze podczas głębienia szybów P1 i P2, przyjechał do Polkowic dziennikarz z jakiegoś pisma. Chciał rozmawiać o kopalni, ale nagle zgasło światło, bo zabrakło napięcia. Potem zobaczyliśmy dym, który unosił się nad rozdzielnią. Nie było zasilania maszyn i urządzeń na placu budowy, w tym maszyn wyciągowych i nie mogliśmy wydostać na powierzchnię ludzi z szybu P-2. Górnicy zjechali tam z kilkuset kilogramami materiału wybuchowego, bo mieli strzelać. Tłumaczyliśmy im, żeby spokojnie poczekali, aż usuniemy awarię w rozdzielni. Trochę to jednak trwało, choć najszybciej jak mogliśmy, zebraliśmy ekipę ludzi, którzy czyścili denaturatem wszystkie okopcone szyny i wyłączniki. Zajęło to jakieś 4 godziny. Wtedy dopiero mogliśmy włączyć napięcie. Pracownicy, którzy byli około 700 m pod ziemią, denerwowali się, dzwonili do nas i poganiali, zwłaszcza że zapalniki już zamontowano i gdyby pojawił się jakiś prąd błądzący, mógłby je odpalić.

Już po wszystkim dowiedzieliśmy się, jaka była przyczyna awarii. Otóż okazało się, że kanałem kablowym na szyny aluminiowe, które przewodziły prąd do poszczególnych wyłączników, wszedł kot i doprowadził do zwarcia. Dziennikarz, który przyjechał, miał dobry temat na reportaż.

## Pompy za koparkę

W czerwcu 1981 roku awansowałem na stanowisko głównego mechanika w zarządzie Przedsiębiorstwa Budowy Kopalń Rud - w tym czasie nosiło już nową nazwę. Podczas stanu wojennego mieliśmy olbrzymie trudności ze zdobyciem maszyn i części zamiennych. Musieliśmy uciekać się do prywatnych znajomości, żeby cokolwiek załatwić. W trakcie prac na terenach zawodnionych woda, którą pompowaliśmy była bardzo zanieczyszczona mułem, dlatego wirniki się psuły i mieliśmy kłopot z pompami. Fabryka, która je produkowała, podlegała Ministerstwu Przemysłu Węglowego i urządzenia wysyłała tylko do kopalń węgla. W zakładzie tym głównym mechanikiem był mój kolega. Pojechałem do niego i prosiłem o załatwienie sprzętu. Odpowiadał: „Nie mogę ci pomóc, nie mooogę...". I wtedy urato-

wał nas przypadek. Otóż w trakcie rozmowy usłyszałem, że fabryka pomp się rozbudowuje i na gwałt potrzebuje koparki. Tak się złożyło, że w firmie mieliśmy „Białoruś" - niepotrzebną koparkę z czerpakiem i pługiem, pozostała po oddziale budowlanym, który zlikwidowaliśmy. Sprzedaliśmy więc ją tej fabryce i od tego czasu mieliśmy spokój z pompami. Potem w Chocianowie zaczęto produkować wirniki i wtedy korzystaliśmy już z miejscowego zaopatrzenia.

## Wychodzimy poza Miedź

Przez jakiś czas podlegaliśmy zjednoczeniu w Warszawie. Gdy je zlikwidowano, przekazano nas w 1977 roku do Zjednoczenia Budownictwa Kopalń w Częstochowie. Nie bardzo chcieliśmy się z nimi wiązać, bo w pewnym czasie dawaliśmy większość przerobu i właściwie było to zjednoczenie przy PBKR, a nie odwrotnie. Potem zostało zlikwidowane i PBKR stało się samodzielnym przedsiębiorstwem.

W1983 roku PBKR weszło w skład KGHM i od tego czasu funkcjonowało jako Zakład Budowy Kopalń. W latach 80. zaczął się niestety kurczyć front robót w zagłębiu miedziowym. To zdopingowało nas do podjęcia prac poza nim. Przez jakiś czas realizowaliśmy zlecenia tylko w kraju. W Turoszowie wykonaliśmy dwie upadowe odwadniające złoże i komorę pomp. Równocześnie podjęliśmy prace na metrze w Warszawie. Głębiliśmy też szyb w Wałbrzychu i wówczas po raz pierwszy zaczęliśmy współpracę z przemysłem węglowym. Szyb ten miał przedłużyć istnienie trzech kopalń: Wiktoria, Wałbrzych i Thores. Na początku lat 90. kopalnie te jednak zamknięto, prawie wydrążony szyb zasypano a ludzie poszli na biedaszyby. Tym, którzy znali całą historię, kroiło się serce, bo głębienie pochłonęło ogromne pieniądze.

Prekursorem eksportu poza granice kraju był dyrektor techniczny Andrzej Ulbrych, nawiązał on kontakty z Centrozapem i Kopeksem. Przez te centrale handlu zagranicznego zaczęliśmy dostawać oferty z innych krajów, niektóre bardzo ciekawe. Pierwsza dotyczyła budowy tunelu w Baden Baden w Niemczech. Potem zaproponowano nam głębienie szybu w nieczynnej kopalni soli w NRD, gdzie planowano składować odpady nuklearne.

Informacje o możliwościach prac eksportowych przychodziły na moje biurko, a ja brałem udział w opracowywaniu ofert. Niektóre zaowocowały kontraktami, inne nie. Z tego czasu pamiętam propozycję podjęcia się niektórych prac w Ośrodku Badań Jądrowych Cern pod Genewą, a także ofertę przebudowy i wyposażenia szybu w kopalni, w Iranie. Najwięcej robót wykonywaliśmy w Europie, a konkretnie w Niemczech i na Węgrzech. Realizowaliśmy też budowy w Turcji. Nasi ludzie pracowali w Afryce, w Algierii, w Ameryce Środkowej w Hondurasie, w Ameryce Południowej w Chile. W Azji byliśmy obecni w Malezji, Hong-Kongu, Tajlandii, a jeśli chodzi o Bliski Wschód, zatrudniali nas w Izraelu i Iranie.

## Jedziemy do Algierii

Któregoś dnia wszedł do pokoju główny inżynier ZBK, położył przede mną dokumenty i powiedział: „Musimy oddać pojutrze ofertę na budowę 6 tuneli w Algierii". Odrzekłem mu wówczas: „Takiej lipy nie będę odstawiał. Jak chcesz, popatrz na sufit i sam napisz".

Poszedł, ale za miesiąc wrócił i mówi: „Trzeba zająć się tym na poważnie". I tak się stało.

Opracowaliśmy ofertę i zostaliśmy podwykonawcami francuskiej firmy Bouygues, która zawarła z Algierczykami umowę na budowę linii kolejowej. Kiedy sporządzaliśmy kontrakt z Francuzami, zetknęliśmy się z olbrzymią biurokracją. Byliśmy tym bardzo zaskoczeni, bo dotychczas sądziliśmy, że większej niż w Polsce nie ma. W trakcie negocjacji, przedstawiciele francuskiej firmy wygadali się, że zanim do nas trafili, byli na Śląsku. Doszli jednak do wniosku, że tam wciąż pracują XIX-wiecznymi metodami. O nas wiedzieli, że dysponujemy nowoczesnymi maszynami, między innymi produkcji francuskiej.

Krótko potem, w 1984 roku, pojechaliśmy do Algierii zobaczyć, co i gdzie trzeba budować. Dla nas była to egzotyka. Na przykład nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego nie ma tam prądu. Francuzi natomiast nie widzieli problemu. Powiedzieli: „Załatwcie po prostu agregaty prądotwórcze". W Polsce miało je tylko wojsko i niektóre szpitale. Ale dyrektorzy ZBK dotarli do zakładów produkujących dla wojska i je zakupili. Żeby zrealizować kontrakt, musieliśmy mieć masę własnego sprzętu. W firmie utworzono specjalną ekipę, która nie tyle zamawiała, co załatwiała urządzenia. W przygotowanie kontraktu zaan-

*Jerzy Turlej z algierskim inżynierem na budowie metra w ścisłym centrum stolicy. Z pierwszego piętra budynku, który widać w tle, generał de Gaulle ogłaszał niepodległość Algierii.*

gażowały się wszystkie działy ZBK. To był olbrzymi wysiłek, tak dla dyrekcji, jak i pracowników. Kiedy już zapakowaliśmy sprzętem ponad 20 wagonów kolejowych, transport ruszył do Szczecina, gdzie załadowano go na statek. Pojechałem tam i pilnowałem, by pracownicy niczego nie uszkodzili. Pojazdy kołowe, np. autobusy, mikrobusy, samochody ciężarowe pojechały do Marsylii, a stamtąd popłynęły promem do Afryki. Musieliśmy sporządzić dla urzędu celnego ogromną liczbę listów przewozowych, a potem dosłownie wydostawać urządzenia z algierskiego urzędu celnego.

## ▪ Ziemią zatrzęsło

Mieliśmy zbudować 6 tuneli na trasie projektowanej linii kolejowej, która biegła w górach. Kolej budowali Francuzi, tunele Polacy, metalowe mosty Turcy, betonowe Francuzi, a transportem kruszywa zajęli się Jugosłowianie. Wszyscy byli podwykonawcami firmy Bouygues.

Jeden krótki tunel wybudowali Francuzi, potem my przejęliśmy ich budowę. Sporo się od nich nauczyliśmy, jeśli chodzi o nowe technologie drążenia tuneli. Większych problemów nie mieliśmy, choć występowały pewne komplikacje. Najdłuższy tunel T4 miał 2643 m i drążyliśmy go z dwóch stron. Przy budowie odczuliśmy kłopoty z wentylacją, dlatego tłoczyliśmy powietrze wentylatorami i agregatami prądotwórczymi przywiezionymi z Polski. Tunel T8 mierzył 990 m, ale był trudniejszy do wykonania. Pracowaliśmy na francuskiej dokumentacji, Francuzi dostarczali też pierścienie do obudowy tego tunelu. Jednak właściwości tamtych gruntów zaskoczyły ich i musieliśmy zmienić technologie obudowy, a nawet nieco przesunąć wejście do tunelu.

Pracowałem w Algierii na tunelach jako: kierownik montażu i rozruchu, szef warsztatów, szef brygady awaryjnej. Musiałem uczyć się francuskiego języka technicznego, zwłaszcza że do mnie należało sporządzanie zamówień na części zamienne. Po dwóch latach miałem dość, zbrzydła mi ta robota w górach. Zwłaszcza że mieszkaliśmy w kampach i o wygodzie trudno było mówić. Do tego dochodziły jeszcze trzęsienia ziemi. Pierwsze zrobiło na nas spore wrażenie. Kiedy naszym kampem zatrzęsło, kolega stwierdził: „Może któryś popił". Ale po chwili uświadomiliśmy sobie, że kamp waży przecież 7 ton i to niemożliwe, by trząsł nim człowiek. Wtedy szybko wybiegliśmy na zewnątrz.

Chociaż obowiązywało zarządzenie, że na kontrakcie nie można było przebywać dłużej niż dwa lata, dyrektor poprosił mnie, żebym został w Algierii jeszcze pół roku. Kiedy wróciłem do kraju, pracowałem jako główny mechanik na robotach poziomych, chociaż przez większość życia zawodowego drążyłem szyby, ale moje dawne stanowisko było obsadzone.

## Z Japończykiem po polsku

Do ZBK przyszła kolejna oferta, tym razem z Centrozapu. Mieliśmy wziąć udział w przetargu międzynarodowym na budowę metra w Algierze. Stworzyliśmy ekipę, która opracowała ofertę dla dużej algierskiej firmy Cosider, zatrudniającej około 40 tys. osób. Przedsiębiorstwo budowało mosty, przepusty rzek i lotniska. Chciało wejść na roboty podziemne przy budowie metra w Algierze, ale jego ludzie nie znali się na tym. Firma zwróciła się więc do Polaków, by opracowali plany dla 1300-metrowego odcinka metra i dwóch stacji w centrum miasta. Pojechaliśmy do Algierii, żeby zrobić rozeznanie geologiczne i popracować nad dokumentacją. Byłem szefem ekipy projektantów, którzy opracowywali technologię. W jej skład wchodził między innymi profesor geomechanik z Politechniki Gdańskiej, który przebywał w Algierii 15 lat i doskonale znał miejscowe warunki geologiczne. Oparliśmy się na wcześniejszych doświadczeniach, które zdobyliśmy w czasie budowy tuneli. Nasza oferta spodobała się Algierczykom, choć mieliśmy niemałą konkurencję. I tak firma Cosider w 1988 roku wygrała przetarg na budowę tunelu. Po czym ogłosiła konkurs na dostawę maszyn i urządzeń potrzebnych przy budowie metra. Musiałem spośród trzydziestu paru ofert wybrać tylko cztery. Wśród nich byli Japończycy, którzy kupili fińską firmę Tamrok. Wiedzieli, że w komisji przetargowej będzie Polak, zabrali więc ze sobą pracownika, który mówił biegle po polsku. Firma ta wygrała przetarg na dostawę większości maszyn, a ja zamówiłem cały sprzęt na budowę i rozpoczęliśmy prace.

## Ja tu stanowię prawo

Byliśmy przyzwyczajeni do respektowania polskiego prawa górniczego, zwróciliśmy się więc do Algierczyków: „Pokażcie wasze prawo górnicze, żebyśmy wiedzieli, jak się poruszać". Dyrektor odpowiedział: „Ja tu stanowię prawo. Będzie tak, jak zdecydujecie".

Zostałem drugą osobą po dyrektorze, który był budowlańcem. Pracowałem jako generalny projektant, potem jako kierownik biura koordynacji robót. Przyjąłem do pracy kilku inżynierów algierskich. Sztygarem zmianowym czy operatorem maszyny samojezdnej zostawał ten, kogo wyznaczyłem. Z podziwem patrzyłem na Algierczyków, jak niezwykle sprawnie je obsługiwali. Przez pięć lat nie spowodowali żadnego wypadku, nikogo nawet nie potrącili. To byli artyści w swoim fachu. Z nie mniejszym zachwytem patrzyłem na geodetów. Tunel, który wznosił się i opadał, do tego zakręcał na wzniesieniu, potrafili wymierzyć co do centymetra. Natrafiliśmy w nim na nieczynne kanały podziemne z czasów historycznych i na prawdopodobnie średniowieczne studnie, w których znaleźliśmy kule armatnie.

Tunel drążyliśmy jakieś 12 do 15 m pod wysokimi budynkami, w ścisłym centrum Algieru. Zdarzało się, że oglądaliśmy pod ziemią korzenie palm i nie mogliśmy się nadziwić, że sięgają tak głęboko. Któregoś dnia wpadły nam w ręce rysunki, na których widniał schron bojowy. Był w dobrym stanie, wybudowali go przed wielu laty Francuzi, a „odświeżony" został w 1967 roku, kiedy doszło do izraelsko-arabskiej wojny sześciodniowej. Pod tym schronem musieliśmy przekopać tunel. To była koronkowa robota. Kiedy w zagłębiu miedziowym prowadzaliśmy podziemne prace strzałowe na głębokości np. 800 m, powierzchnia nas nie interesowała. Tu, w Algierze, było całkiem inaczej. Strzelanie i wpływ eksplozji na fundamenty budynków mierzono komputerowo. A ilość materiału

wybuchowego ściśle regulowano pomiarami i opierano się na opracowaniu Wojskowej Akademii Technicznej. I nic dziwnego, bo w budynkach nad tunelem mieszkali przecież ludzie, a ulice były zakorkowane samochodami.

Dobra współpraca z algierskim przedsiębiorstwem Cosider przy budowie metra w Algierze zaowocowała rozszerzeniem kontraktu na budowę tuneli kolejowych M'Sila na Saharze oraz przebudowę tunelu przy zaporze wodnej na rzece Oued Sherf na wschodzie kraju, w pobliżu Tunezji.

Roboty podziemne przy budowie metra w Algierze.

## ▪ Z Algierii na emeryturę

Z czasem zrobiło się w tym kraju niebezpiecznie, bo do głosu doszli islamscy fundamentaliści. W mieście wyrosło pełno posterunków żandarmerii, a na ulicach widzieliśmy kolczatki. Wiele samochodów było podziurawionych kulami, bo jeśli któryś się nie zatrzymał na wezwanie, żandarmi od razu strzelali.

W kwietniu 1991 roku zakończyłem prace w ZBK, ale podpisałem indywidualny kontrakt z Algierczykami i zostałem tam jeszcze dwa lata. Napięcie w tym kraju bardzo utrudniało pracę. Któregoś dnia nie wydano nam materiału wybuchowego. Zastanawiałem się, co robić z 300 pracownikami. Wtedy, mając doświadczenie w drążeniu szybów, zaproponowałem opuszczenie na dół 40-tonowej koparki z 1-tonowym młotem hydraulicznym. To pozwoliło nam bez przeszkód dalej drążyć metro, zwłaszcza w spękanych skałach.

W Algierze mieszkaliśmy w dobrym, eleganckim hotelu i choć czasowo chroniła go nawet policja, zrobiło się naprawdę niebezpiecznie. W końcu usłyszeliśmy, że wszyscy obcokrajowcy muszą wyjechać z Algierii w ciągu miesiąca. Trudno było się wówczas z tego kraju wydostać. Miałem zabukowany bilet lotniczy na Boże Narodzenie i do tego czasu musiałem jakoś dotrwać, choć zdarzało się, że żandarmi pytali nas: „A wy jeszcze tutaj?".

W końcu wsiadłem w samolot i wróciłem do Lubina. Teraz od wielu lat jestem na emeryturze, ale wciąż mam kontakt z kolegami z pracy. Od dziesięciu lat, raz w miesiącu, spotykamy się na piwku i wciąż mamy co wspominać. ■

**Gdy Lech Berkowski mówi, że przepracował w hucie 48 lat, niektórzy z niedowierzaniem pytają: „Jako dziecko się tam zatrudniłeś?". „Nieomal" – zwykle odpowiada, ponieważ związał się ze swoim miejscem pracy tuż po skończeniu szkoły podstawowej.**

*Lech Berkowski, automatyk w Hucie Miedzi Legnica. Pracował w latach 1963 - 2011*

# Pół wieku w hucie

„Chłopcy! Jacy wy jesteście młodzi!" - takimi słowami przywitała przyszłych uczniów dyrektorka przyzakładowej szkoły zawodowej, kiedy przyjechali do huty złożyć dokumenty.

– Byłem tam już wcześniej, bo kończących podstawówkę oprowadzano po legnickich przedsiębiorstwach, oprócz huty zwiedzaliśmy między innymi winiarnię i fabrykę fortepianów. Na przyszłe miejsce pracy wybrałem jednak hutę, choć pamiętam z tej wycieczki budynki otynkowane tylko od frontu, smród i przytłaczający ogrom zakładu. Mimo wszystko tam właśnie chciałem pracować. Gdy powiedziałem ojcu o swoich planach, był zadowolony – wspomina Lech Berkowski.

## Nie chcieliśmy rosyjskiego

Do szesnastego roku życia Berkowski uczył się w szkole przyzakładowej, która w latach 60. funkcjonowała przy hucie. Mieściła się w dawnym hotelu pracowniczym przy skrzyżowaniu dzisiejszych ulic Złotoryjskiej i Rataja. Otwarto w niej jedną klasę o profilu elektrycznym, a drugą o mechanicznym. Lech Berkowski wybrał kierunek elektryczny. Przedmioty zawodowe wykładali inżynierowie zatrudnieni w zakładzie, a ogólne nauczyciele z innych szkół. Języka rosyjskiego młodzież nie chciała się uczyć i o dziwo, ich życzenie zostało uwzględnione. Ale młodszym rocznikom nie odpuszczono, zwłaszcza po tym, gdy w 1968 roku szkołę przejął wydział oświaty w miejskim magistracie.

– Pierwszoroczniaków nie wpuszczali na teren zakładu. Pracowaliśmy w warsztacie przy imadle, robiąc młotki i piłki do cięcia metalu. W drugiej klasie praktykowaliśmy na wydziałach produkcyjnych – opowiada pan Lech. – Kierownik wydziału metalurgicznego żałował, kiedy kończyliśmy praktyki, ponieważ byliśmy tam bardzo przydatni. Wróciłem na ten wydział w 1967 roku już jako pracownik.

## Gitary na stanie huty

Tak jak inne zakłady, huta poza produkcją, w ramach działalności socjalnej, zajmowała się także upowszechnianiem kultury wśród załogi.

Lech Berkowski lubił grać na gitarze i wraz z kilkoma kolegami założył zespół bigbitowy. Próby odbywały się w zakładowym Klubie Hutnik, przy ul. Złotoryjskiej.

– W klubie mieliśmy takiego wewnętrznego cenzora, który był między innymi odpowiedzialny za nasz repertuar i prezencję. Pilnował, żebyśmy byli krótko podstrzyżeni i odpowiednio ubrani, najlepiej w marynarki i krawaty. A gdy próbowaliśmy się wychylić, groził, że zamknie nasze elektryczne gitary w schowku i skończy się granie. Wtedy podnosiliśmy krzyk, że przecież sami je zrobiliśmy w zakładowym warsztacie. Po którejś awanturze „cenzor" instrumenty zinwentaryzował, wycenił i wciągnął na stan majątku huty, żebyśmy przypadkiem nie grywali prywatnie. Bardzo nas to rozżaliło – nie ukrywa pan Lech – bo w tamtych latach o kupieniu w Polsce gitary elektrycznej można było tylko pomarzyć.

Wtedy działał również zespół Big-Band, prowadzony przez pianistę Leszka Wawrzkowa, pracownika ciepłowni. W składzie znajdował się też kontrabasista Bogusław Krajnik i perkusista Józef Zawadzki.

Na terenie huty, w miejscu gdzie dzisiaj jest stołówka, często odbywały się imprezy. Niekiedy ich terminy nakładały się na siebie, dochodziło do spięć i wtedy kierownictwo musiało godzić strony. Najbardziej huczną, doroczną imprezą były zabawy sylwestrowe, głośne w całym mieście.

– Dyrekcja i starsi pracownicy tańczyli na parterze przy muzyce big bandowej, młodzi piętro wyżej przy naszym, bardziej ostrym repertuarze. Po kilku godzinach dwie grupy były zazwyczaj już wymieszane. Większość wolała bawić się przy rytmach bigbitowych – podkreśla z satysfakcją.

Grał w zespole dwa lata, do czasu pójścia do wojska.

*Koncert zespołu bigbitowego dla pracowników. Od lewej gitarzysta Janusz Bernolak, przy fortepianie Kostek, w środku Lech Berkowski, kolejni to - gitarzysta Ryszard Smereczyński i perkusista Zbigniew Sieradzki. Rok 1966.*

## Przy skrzynce fulla

Po wojsku Lech Berkowski wrócił do huty, wkrótce poznał swoją przyszłą żonę. Założył rodzinę i zaczął starać się o mieszkanie. Przydział wciąż się odwlekał.

– Poszedłem do dyrekcji i przypomniałem, że dyrektor Pachoń gwarantował uczniom szkoły przyzakładowej otrzymanie mieszkania w pierwszej kolejności. W odpowiedzi usłyszałem: „To idź do tego, co ci obiecał". Podpowiadano też: „Zapisz się do partii, to mieszkanie dostaniesz" – przypomina swoje perypetie związane ze zdobyciem lokum. – W końcu dostaliśmy jednopokojowe przy ul. Artyleryjskiej, w sąsiedztwie innych pracowników huty. Wkrótce urodziło się nam dziecko i mieszkanie stało się

za ciasne. Ale dość szybko przydzielono nam dwupokojowe w budynku pracowniczym przy ul. Lotniczej. Po latach przeprowadziliśmy się do większego mieszkania spółdzielczego.

Od czasu do czasu pracownikom wpadały nadzwyczajne premie. Żony nie kontrolowały takich zaskórniaków, wtedy panowie pozwalali sobie na duże piwo. Z jego kupnem były jednak kłopoty. Na początku lat 70. na rogu Hutniczej i Złotoryjskiej otwarto kawiarnię Hutniczą, jak pamięta pan Lech, jego zakład pomagał w remoncie lokalu.

– Tam, jak mało gdzie, można było napić się wrocławskiego fulla. Należało jednak wykazać się pewną zapobiegliwością, bo piwa nie starczało dla wszystkich. Sprzedawano je tylko przez dwie godziny w ciągu dnia. Dlatego jeszcze przed fajrantem wysyłaliśmy jednego z kolegów do kawiarni. Tam kupował dwie skrzynki piwa, stawiał obok stolika i czekał aż przyjedziemy. Wypijaliśmy w swoim towarzystwie po dwa, trzy piwa, po czym zadowoleni wracaliśmy do domu – opowiada Lech Berkowski.

## Tytoń za pokwitowaniem

Kiedy w latach 80. przyszedł kryzys w zaopatrzeniu, kioski spożywcze przy zakładzie zaczęły świecić pustkami. Wtedy związki zawodowe zajęły się zaopatrzeniem w żywność. Można było czasem dostać wędlinę, a nawet szynkę i to nie tylko na święta. Żeby zrobić zakupy, hutnicy urywali się z pracy do kolejek przy zakładowym kiosku, bo po fajrancie w mieście niewiele już można było zdobyć.

– Związki zawodowe załatwiały też pracownikom tytoń i herbatę – dopowiada Janina Berkowska, żona pana Lecha. – Pracowałam wówczas w biurze ruchu, w Legmecie. I do moich obowiązków dołożono porcjowanie towaru, wkładanie do mniejszych opakowań i wydawa-

*Zabawa sylwestrowa (1971/1972 rok) w siedzibie Huty Miedzi. Po prawej Lech Berkowski z żoną.*

*Wznowienie działalności związku „Solidarność". Po mszy w kościele Piotra i Pawła ponowne wprowadzenie sztandaru związkowego do siedziby „Solidarności". Rok 1989. Berkowski (w okularach) na pierwszym planie.*

nie go (za pokwitowaniem) zatrudnionym. Pamiętam, że na głowę przypadało pół kilograma tytoniu.

– Wtedy widok robotnika palącego skręta był codziennością – dodaje pan Lech.

## Wszystkie pachniały Gazelą

W Legmecie pracowało sporo pań i oczywiście Dzień Kobiet świętowano uroczyście. Kobiety dostawały w prezencie rajstopy, o które w sklepach było trudno, ale zdarzały się też luksusowe, jak na owe czasy, podarunki. Jednego roku wszystkie otrzymały takie same perfumy i każda pachniała „Gazelą".

– Żadnej z nas to nie przeszkadzało, przeciwnie, wszystkie się cieszyłyśmy, że tym razem było coś więcej niż dyżurne rajstopy – pani Janina wspomina czasy kryzysu.

Zdarzało się, że pracownicy w bardziej osobliwy sposób „doceniali" koleżanki. Kiedy w legnickiej hucie pracowało jeszcze sporo kobiet, w ściankach ich szatni, co jakiś czas pojawiały się dziurki w wiadomy celu. Oburzone kobiety chodziły na skargę do kierownika, ten wysyłał pracowników do ich zlikwidowania. Na niewiele się to jednak zdawało, bo zaraz pojawiały się nowe.

## Dozowali na oko

Huta powstała na radzieckiej technologii i urządzeniach, które często się psuły. Gdy zdarzyło się, że nikt nie mógł uruchomić mokrych radzieckich filtrów, wzywano fachowców ze Wschodu.

– Niestety bywało, że i oni nie potrafili rozwiązać problemu. Nie było wyjścia, musieliśmy sami sobie z tym radzić – wspomina Lech Berkowski.

Awarie na brykietowni dawały się we znaki zwłaszcza kobietom, które zajmowały się przygotowaniem wsadu z koncentratu miedzi i ługu posulfitowego. Proporcje tych składników miały istotne znaczenie, mimo to dobierano je na oko, bo nie było w tym czasie dozujących urządzeń automatycznych.

Panie układały te brykiety na wózkach, które trafiały do komory - suszarni.

– Kiedy po ośmiu godzinach otwierano komorę i brykiety zachowywały swoją formę, panowała euforia. Zdarzało się jednak, że rozsypywały się, jak piasek na plaży. Wówczas ponownie trzeba było formować brykiety. I wtedy kobiety musiały wybrać łopatami około 20 ton rozsypanego koncentratu i zawrócić go do ponownej

produkcji. Była to dla nich ogromnie wyczerpująca praca, dlatego dyrekcja zrezygnowała z zatrudniania kobiet na tych stanowiskach. Ostatnia pracownica tego wydziału odeszła na emeryturę w latach 70. – mówi pan Lech.

## Maszyny wyrzuciło przez dach

Lech Berkowski pamięta, jak wybudowano pięknie oszkloną halę wydziału metalurgicznego. Jednak po uruchomieniu konwertora cała wypełniła się gazem. Bez maski gazowej praca na suwnicy okazała się niemożliwa. Odciągów wówczas nie było, więc zdecydowano się wybić część szyb. W ten sposób problem rozwiązano połowicznie, bo zimą po wydziale hulał wiatr, temperatura była tak niska, że trzeba było pilnować, by woda nie zamarzała.

– Byłem wtedy młody i jakoś to wytrzymywałem. Dzisiaj bym sobie w takich warunkach nie poradził – stwierdza Berkowski.

W początkach huty technologia produkcji była niedopracowana, często zdarzały się awarie urządzeń, a do tego część pracowników nie miała odpowiednich kwalifikacji.

– Huta była nakazowym zakładem pracy. Pod nadzorem strażników pracowali w niej więźniowie z łagodniejszymi wyrokami. Bywało, że trafiali tu oficerowie, którzy podpadli w wojsku i zostali zdegradowani – wspomina Lech Berkowski.

W 1972 roku na wydziale przygotowania wsadu wybuchł gaz. Eksplozja była tak silna, że urządzenia, które ważyły kilkanaście ton, wyrzuciło przez dach. Prokurator kilka miesięcy prowadził dochodzenie, ale sprawę umorzył. Do wybuchu doszło w ciepłą czerwcową niedzielę i tak się szczęśliwie złożyło, że przed rozpoczęciem pracy załoga miała godzinną odprawę przed halą. To zdecydowało, że nikt nie zginął. Z tego groźnego zdarzenia wyciągnięto jednak wnioski i jakiś czas potem wprowadzono bezpieczne, automatyczne palniki gazowe.

## Wypierają radzieckie urządzenia

Podczas 48 lat pracy Lecha Berkowskiego huta przeszła dwie głębokie modernizacje. W pierwszą (lata 70.) Berkowski był mocno zaangażowany, ponieważ został w tym czasie przeniesiony do nowo powołanego działu głównego automatyka. Mimo zasadniczego wykształcenia, wykazał się dużą fachowością, która wynikała z oczytania w literaturze branżowej. Modernizacja zapoczątkowała trzyletni okres rozbudowy. Zachodnie urządzenia wypierały radzieckie, m.in. zainstalowano większe konwertory, zmieniono sposób brykietowania, profil anodowy, wprowadzono zmiany na elektrolizie.

Jan Nowicki, szef zakładowej Solidarności i wiceszef Ludwik Palikowski wręczają Berkowskiemu dyplom z okazji 25-lecia związku.

Do tego czasu tylko nieliczne czynności były zautomatyzowane. Na wydziale przygotowania wsadu na jednej tylko zmianie produkcję obsługiwało około 40 osób, bo przy każdym urządzeniu musiał stać człowiek. Po modernizacji proces technologiczny przebiegał prawie niezależnie od ludzi. Wybudowano sterownie umożliwiające zdalne sterowanie produkcją i kontrolę jej parametrów..

Druga modernizacja rozpoczęła się pod koniec lat 80. Proces ten oznaczał dla huty być albo nie być, ponieważ wciągnięta została na listę największych trucicieli w Polsce. Wtedy właśnie w hucie wybudowano oczyszczalnie ścieków, rozbudowano Fabrykę Kwasu Siarkowego, zainstalowano Solinox.

– Instalację tę montowali Austriacy w kooperacji z Niemcami. Pamiętam, że dali nam do rąk zachodnie narzędzia, żebyśmy mogli wyko-

nywać pracę według ich standardów – tłumaczy Lech Berkowski. – Całkowicie zautomatyzowano wówczas proces produkcji, a wielkie pulpity sterownicze zastąpił mały komputer z klawiaturą. Komputeryzacja trwała prawie trzy lata bez jakichkolwiek przerw produkcyjnych.

Zanim zmodernizowano zakład, na jednej zmianie pracowało sześciu automatyków, kiedy w 2011 roku odchodziłem na emeryturę, było nas dwóch w całym zakładzie.

## Ukrywałem się na wydziale

Lech Berkowski aktywnie działał w związku zawodowym „Solidarność". Zaangażowanie w sprawy pracowników nie zrodziło się nagle.

– Zawsze byłem przebojowy. Jeśli zachodziła konieczność, stawiałem się przełożonym, choć trochę się narażałem. Kiedyś, gdy upomniałem się o większe pieniądze dla ludzi bezpośrednio zaangażowanych w realizację pewnego zadania, dyrekcja zagroziła mi zwolnieniem – wspomina.

Większe pole do popisu miał jako związkowiec. Działał w trzyosobowej radzie zarządu „Solidarności", od czasu jej powstania do ogłoszenia stanu wojennego.

– Dwóch moich kolegów aresztowali, ja nie dałem się złapać. Ukrywałem się na terenie huty. Wojskowi wiedzieli, gdzie jestem, ale nie mogli mnie stamtąd wyciągnąć. Dwa tygodnie po Nowym Roku dyrektor Zieliński zadzwonił do mnie i prosił, żebym przyszedł na rozmowę: „Gwarantuję panu bezpieczeństwo i powrót na teren zakładu" - zapewnił mnie. Kiedy zjawiłem się w dyrekcji, siedziała tam cała świta wojskowych, którzy wówczas rządzili w kombinacie. Postawiłem warunek - jeśli nie wypuszczą kolegów, to huta stanie. A była to kwestia godzin. Wtedy rzeczywiście kolegów wypuścili, i ja też wyszedłem z ukrycia. Wznowiliśmy działalność w 1989 roku, ale co to za związek, którego przewodniczący jest opłacany przez pracodawcę. Zawsze uważałem, że prawdziwy związek powinien utrzymywać się ze składek związkowych, co gwarantowałoby mu niezależność. Z czasem ludzie zaczęli z „Solidarności" odchodzić.

## Jestem usatysfakcjonowany

Dzisiaj Lech Berkowski po przepracowaniu niemal pół wieku w legnickiej hucie jest na emeryturze. Podobnie jego żona, która wiele lat była zatrudniona w Legmecie.

Miała zaledwie 53 lata, kiedy zwolniono ją z elbląskiej spółki ABB powstałej na bazie Legmetu. Po restrukturyzacji zakładu, wydział elektryczny, na którym była zatrudniona, wydzielono jako odrębną firmę i sprywatyzowano. Choć płace utrzymano na dawnym poziomie, nie zachowano przywilejów kombinackich.

– Gdy zaczynałam pracę w Legmecie, liczyłyśmy na liczydłach, kiedy kończyłam, wszystko było skomputeryzowane. Zanim odeszłam z firmy, nauczyłam się naliczania i odprowadzania podatków i innych należności, robienia sprawozdań, śledzenia zmian w przepisach, które w tym czasie były wprowadzane z miesiąca na miesiąc. Słowem prowadzenia małej firmy. Pracy miałam tak dużo i tak wiele zagadnień do opanowania, że nieraz wracałam do domu z płaczem. A kiedy się już wszystkiego nauczyłam, wręczono mi wypowiedzenie. Bardzo to przeżyłam, bo nadal chciałam być przydatna zawodowo. Rano stawałam przed oknem i patrzyłam na ludzi idących do pracy. Czasami płakałam i pytałam: „Dlaczego właśnie ja?". Otrzymałam świadczenie przedemerytalne i z czasem przyzwyczaiłam się do nowego trybu życia.

W przypadku pana Lecha przejście na emeryturę było dużo mniej bolesne.

– Lata 90. w hucie znacznie różniły się od poprzednich. Moje zaangażowanie w pracę zaczęło przekładać się na dobry zarobek. Właśnie wtedy prawie wszystkiego się dorobiłem, a do tego jeszcze zostałem usatysfakcjonowany wysokością emerytury – mówi zadowolony.

Umiejętności zawodowe pana Lecha doceniono nawet po jego odejściu z huty. Któregoś dnia, kiedy budował dom, zadzwonił telefon. Dzwonił szef firmy, która zajmowała się w hucie palnikami gazowymi. Jej pracownicy nie radzili sobie z obsługą tych urządzeń przy konieczności zachowania ruchu ciągłego zakładu.

– Poproszono mnie o spotkanie i w efekcie zatrudniono jeszcze na pół roku. Zarobione pieniądze dołożyłem do budowy domu. Wreszcie zrealizowałem to, na co nie było mnie stać w młodości – kończy pan Lech. ■

**Dostaję telefon z dyrekcji: „Przyjeżdżaj, bo jest delegacja z ministerstwa". Po kilkunastu minutach jestem. Zaczyna się przesłuchanie, pytają: jakie zebranie, co tam się stało, ilu górników nie zjechało, czego żądali, czy mieli rację? I tak z przerwami przez siedem godzin.**

*Ferdynand Błauciak, kierownik działu płacy i zatrudnienia, dyrektor ekonomiczny PBKRM. Pracował w latach 1964 - 1991*

# Byłem człowiekiem nomenklatury

Urodził się na Kresach, niedaleko Buczacza, w liczących ponad 4 tys. mieszkańców Trybuchowcach. Dom stał przy głównej trasie na Czerniowce; w 1939 roku widział czarne limuzyny, w których członkowie polskiego rządu pospiesznie uciekali przez granicę z Rumunią na Zachód. Pod koniec wojny, zwłaszcza na przełomie lat 1944/45, nasiliły się represje Ukraińskiej Powstańczej Armii na polską ludność zamieszkałą na Kresach.

– Kiedy po nocy wychodziliśmy na zewnątrz domu, w oddali wciąż widniały łuny pożarów. Każdego rana mówiłem mamie: „Popatrz, jeszcze wciąż żyjemy!" – wspomina Ferdynand Błauciak.

## Dom obronny

Wiosną 1945 roku Błauciakowie, podobnie jak ponad 3 tysiące innych mieszkańców Trybuchowców, ruszyli w towarowych wagonach na Zachód. Podróż trwała 3 tygodnie. W tym czasie największym skarbem rodzinnym była Krasula, którą udało się zabrać.

– Popielato-biała, chuda, ale bardzo mleczna. Karmiłem ją i poiłem na postojach, co nie było łatwe, bo krowy stały ciasno - jedna przy drugiej. Mimo to zachowywały się spokojnie - wymęczone podróżą i warunkami transportu.

Zatrzymaliśmy się w Jakubowie, koło Chocianowa. Idąc wzdłuż wsi, zastanawiałem się, który dom zasiedlić. W pierwszym odruchu chciałem wybrać taki, który ma walory obronne, na wypadek gdyby trzeba było z kimś walczyć. Wybraliśmy z mamą dom piętrowy i podpiwniczony. Do dziś nie wiem, jak udało się mamie, w obawie przed Rosjanami, wprowadzić Krasulę po stromych schodach do piwnicy – przyznaje pan Błauciak. – Oczywiście należało obłaskawiać radzieckich towarzyszy. Bimber matki był dobry, więc dawała im alkohol, a oni, w rewanżu, przywozili nam zboże. Nieco później, kiedy ojciec wrócił z robót w Niemczech i rodzina została skompletowana, żyło się już lżej, również i dlatego, że docierały do nas paczki z Unry.

## Na posadzie referenta podatkowego

Jeszcze w Trybuchowcach Ferdynand Błauciak skończył 5 klas szkoły podstawowej, a po osiedleniu się w Jakubowie, poszedł od razu do siódmej klasy. Po roku dalsza edukacja stanęła pod znakiem zapytania. Szczęściem jego starszy kolega Marian Kawa wciąż napominał Ferdka: „postaw na naukę!". Będąc inspektorem rolnym w Powiatowej Radzie Narodowej w Lubinie, Kawa pomógł mu w otrzymaniu posady referenta podatkowego gromadzkiej rady w Parchowie.

– Ta pozycja umocniła mnie w przekonaniu o potrzebie dalszej nauki – wspomina pan Błauciak. – Później usłyszałem o organizowanych we Wrocławiu kursach uzupełniających, przygotowujących młodzież chłopską i robotniczą do dalszej nauki. Nie przepuściłem tej okazji. W trybie dziennym, w ciągu dwóch lat, nadrabiałem luki w wiadomościach. Nie było to łatwe, gdyż kadrę nauczycielską stanowili w dziewięćdziesięciu procentach nauczyciele wyższych szkół lwowskich.

*Sierpień 1956. Stanisława i Ferdynand Błauciakowie wzięli ślub w parafii Pogorzeliska.*

## Sekretarz z przymusu

Dwuletnia harówka dała efekty w postaci dobrze zdanej matury. Mógł podjąć studia na wszystkich kierunkach bez egzaminów, za wyjątkiem aktorstwa.

– Myślałem zawsze o medycynie, ostatecznie kłopoty zdrowotne sprawiły, że wybrałem Wyższą Szkołę Ekonomiczną we Wrocławiu. Studia nie sprawiały mi trudności. Pod koniec, za namową kolegów, wstąpiłem do partii. W tym czasie ożeniłem się ze Stanisławą (krajanką). Po magisterce, 1 września 1957 roku, rozpocząłem pracę w chocianowskiej Fabryce Urządzeń Mechanicznych, gdzie od pewnego czasu, po ukończeniu technikum bankowości, pracowała moja żona – informuje pan Błauciak.

FUM miał być przyczółkiem, z którego rozglądał się za pracą bardziej intratną i zgodną z wykształceniem. Niestety dyrektor fabryki miał wobec młodego podwładnego zgoła inne plany. Być może z obawy przed energicznym i wykształconym młodzieńcem uznał, że młody Błauciak powinienem dzierżyć stanowisko sekretarza w Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Lubinie.

– Nie mieściło mu się w głowie, by ktoś chciał odrzucić taki awans. A ja się opierałem. Wówczas pałeczkę perswazji przejął Franciszek Szymkowiak, I sekretarz Komitetu Powiatowego PZPR. On również niewiele wskórał i w końcu sprawa dotarła do władz wojewódzkich – opowiada pan Błauciak. – Któregoś razu sekretarz Szymkowiak zabrał mnie do województwa. Trafiliśmy do Bronisława Ostapczuka, przewodniczącego wrocławskiego Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej. Tłumaczyłem przewodniczącemu, że brakuje mi doświadczenia, nie czuję się na siłach, by objąć to stanowisko. Ostapczuk kiwał tylko głową, a potem się odezwał: „Towarzyszu Błauciak, ja znam was na wylot, bo mam wasze dokumenty. My stawiamy na takich ludzi jak wy. Powinniście przyjąć tę

propozycję!". To były rozstrzygające słowa. Musiałem objąć tę posadę w powiecie, oczywiście pod warunkiem otrzymania mieszkania.

*Legnica - pierwsza ogólnopolska ekspozycja i targi wyrobów ze srebra „Srebro 79". Ferdynand Błauciak - drugi od prawej.*

## Ministerialne wychodki

W 1961 roku Błauciakowie wprowadzili się do jednego z pięciu pierwszych nowych bloków na osiedlu Awaryjnym w Lubinie. Za blokami rozciągały się jeszcze wtedy łąki poprzecinane okopami, w których od czasu do czasu Rosjanie odbywali ćwiczenia.

Praca sekretarza Prezydium Powiatowej Rady Narodowej niekiedy ocierała się o absurdy. Pan Błauciak wspomina, że w latach 1960-1970 budowę zagłębia miedziowego w obrębie miasta nadzorował wicepremier Julian Tokarski. Któregoś razu przyjechał do Lubina na naradę i oficjalnie oznajmił: „Nas nie stać na budowę miasta w takim zakresie jak dotychczas. Dlatego będziemy wdrażać budownictwo oszczędne z wielkiej płyty. W mieszkaniach będą tylko małe pokoje, natomiast sanitariaty umieścimy na zewnątrz".

– Słuchaliśmy tego z narastającą konsternacją. Kiedy wicepremier skończył, przewodniczący powiatowej rady odrzekł: „Panie wicepremierze, to niemożliwe. Ludzie na to się nie zgodzą". A premier argumentował: „Towarzysze, ja pochodzę z gór, tam się wychowałem, całe życie chodziłem do wychodka na zewnątrz i wyrosłem na porządnego człowieka. I tak samo będzie w Lubinie". Oczywiście nie mogło być tak w Lubinie, dlatego długo rozmawialiśmy z ministrem, aż wyperswadowaliśmy mu ten niedorzeczny pomysł – wspomina pan Błauciak.

## Mieli dość mojego uporu

Myśli o zmianie miejsca pracy i zajęciu się konkretnymi sprawami ekonomicznymi, wciąż go nie opuszczały. Niestety wyrwanie się z powiatowej rady nie było takie proste, na dodatek akurat w tym czasie zabrakło sekretarza ekonomicznego w komitecie powiatowym partii. Znowu komuś z decydentów przyszło do głowy, by obsadzić stanowisko Błauciakiem. Absolutnie nie chciał się na to zgodzić. Próbowali nawet przekonywać panią Stanisławę, by wpłynęła na męża, ale bezskutecznie.

– Po pewnym czasie poszedłem do komitetu i prosiłem, aby zgodzili się na moje odejście z rady narodowej do przedsiębiorstwa, niestety, odmówili. Po upływie kilku miesięcy ponowiłem prośbę, ale znowu bez efektu. Za trzecim razem, chyba już mieli dość mojego uporu, usłyszałem: „Niech idzie!". Wtedy zgłosiłem się do Przedsiębiorstwa Budowy Kopalń Rud Miedzi w Lubinie. Dyrektor Eugeniusz Król od razu zaproponował mi stanowisko kierownika działu płacy i zatrudnienia. Wynagrodzenie miałem nawet troszkę większe niż na stanowisku sekre-

tarza prezydium powiatowej rady – zauważa z zadowoleniem.

PBKRM było w tym czasie firmą budującą wszystkie kopalnie. Obowiązki szefa działu płacy i zatrudnienia polegały głównie na zajmowaniu się płacami, przyjęciami i zwolnieniami. Często odbywał z załogą spotkania. Jej trzon dopiero się formował. Wśród pracowników dołowych dużą grupę stanowili ludzie z górnictwa węglowego, dla których kopalnie miedziowe były czymś zupełnie nowym.

## ▪ Byłem na 250 pozycji

Pan Błauciak nie przypomina sobie, by jego firma miała jakieś większe kłopoty z zaopatrzeniem. W przypadku problemów można było zawsze szukać pomocy w Zjednoczeniu Budowy Kopalń Rud, które w pierwszych latach mieściło się w Warszawie. Nieco później zostało przeniesione do Zjednoczenia Budownictwa Przemysłowego i Kopalnictwa Rud w Częstochowie.

– Jeździłem tam często na okresowe narady, podczas których analizowaliśmy wyniki ekono-

*Spotkanie barbórkowe w firmie. Ferdynand Błauciak (drugi od prawej). Obok (trzeci od prawej) Józef Adamowicz, przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej w Lubinie. Za nim Bronisław Garus, dyr. PeBeKa.*

Po kilku latach Ferdynand Błauciak awansował na zastępcę dyrektora ds. ekonomicznych.

– Pamiętam, dokumenty związane z zatrudnieniem należało złożyć nie tylko w dyrekcji firmy, ale również w komitecie powiatowym PZPR, gdyż stanowisko to podlegało partyjnej nomenklaturze. Zatwierdzenie awansu przez komitet przyszło dopiero po 4 miesiącach, bo za wywinięcie się z funkcji sekretarza ekonomicznego PZPR trzeba było odpokutować.

miczne, dyskutowaliśmy o wysokości środków niezbędnych do działalności w kolejnych latach. Było to – zapewnia pan Błauciak – zgodne z obowiązującą wówczas doktryną planistyczną.

Zarobki były tematem, który na wszystkich zakładowych spotkaniach powracał jak bumerang. Kiedyś, przygotowując się do zebrania z załogą, poprosiłem o sporządzenie wykazu średnich zarobków na wszystkich stanowiskach w zakładzie. Trwa spotkanie. Zaczyna się narzekanie. Pytam

konkretnie: „Ile pan zarabia?". Pracownik wymienia kwotę. Potem ja mu mówię, ile zarabia, ile wynosi zaciągnięta pożyczka (kwota potrącenia). Mówię: „Na rękę wziął pan tyle i tyle, czy się zgadza?". Przytaknął. W ten sposób prześwietliłem kilkanaście nazwisk i temat płac od razu ucichł. Ja w tym czasie ze swoimi zarobkami znajdowałem się w zakładzie na 250 pozycji. Nie czułem się jednak ani niedowartościowany, ani skrzywdzony. Dla mnie było najważniejsze, że moje decyzje mają wpływ na sytuację w zakładzie.

## Czego oni jeszcze chcą?

Z początkiem ruchu solidarnościowego zaczęły się trudniejsze czasy dla kierownictwa przedsiębiorstwa.

– Któregoś dnia, jeszcze przed wyjściem do pracy, dostaję telefon z zakładu: „Panie dyrektorze, na Polkowicach Głównych nasza załoga nie zjeżdża na dół". „Dlaczego nie zjeżdża?" – pytam zaskoczony. „Bo ludziom się nie podoba interpretacja przepisów w zakresie wynagrodzenia. Mówią, że nasza jest mniej korzystna w porównaniu do PBKR Częstochowa". Rzeczywiście stosowano tam przepisy z większą korzyścią dla załogi, co nie znaczyło wcale, że robiono to prawidłowo. No cóż, mogłem nie jechać na spotkanie, bo w końcu miałem nad sobą naczelnego dyrektora, ale pojechałem. Na nadszybiu zebrało się około 40 górników. Kiedy zapytałem, dlaczego jeszcze nie zjechali, usłyszałem: „Bo w oddziale, w „Częstochowie", płacą lepiej niż u nas". Tłumaczyłem, że płacimy im zgodnie z literą prawa. Prosiłem, aby dali mi tydzień na sprawdzenie, czy robimy to słusznie. Ale mogłem sobie mówić, a oni i tak nie zjechali. Chwilę potem dostaję telefon z dyrekcji: „Przyjeżdżaj, bo jest delegacja z ministerstwa". Po kilkunastu minutach jestem na miejscu. Zaczyna się przesłuchanie. Pytają: jakie zebranie, co tam się stało, ilu górników nie zjechało, czego żądali, czy mieli rację. Przesłuchanie z przerwami trwało 7 godzin. Do dzisiaj nie wiem, dlaczego nękali tylko mnie, a pozostałych członków dyrekcji zostawili w spokoju. Już po wszystkim zostaliśmy we czterech: dyrektor naczelny Bronisław Garus, człowiek z ministerstwa, ktoś z bezpieki i ja. W pewnym momencie przedstawiciel z ministerstwa mówi: „To my im budujemy, mieszkania, przedszkola, dajemy duże wynagrodzenie, czego oni jeszcze chcą?". Nie wytrzymałem już tego gadania i odezwałem się: „A ja wierzę, że doczekam czasów, kiedy tym górnikom trzeba będzie przyznać rację". Oczy wszystkie na mnie, jakbym zwariował. A ja wstaję i idę do domu...

## Niezbadane wyroki partii

Po tygodniu od pamiętnej rozmowy dostał telefon z częstochowskiego zjednoczenia: „Przyjeżdża do was naczelny dyrektor i ma do pana pilną sprawę".

– Następnego dnia rano okazało się, że tą pilną sprawą było wypowiedzenie, które przywiózł ze sobą gość ze Zjednoczenia. Mówił: „Bardzo mi przykro, ale taka jest moja rola. Jest pan odwołany ze stanowiska dyrektora ekonomicznego". Zjednoczenie zarzuciło mi, że w zakładzie płace nalicza się według źle sformułowanych przepisów, choć nie ja byłem ich autorem. Poza tym obarczono mnie winą za dopuszczenie do strajku na „Polkowicach" – wspomina pan Błauciak. – Skomentowałem to jednym zdaniem: „Wyroki partii są niezbadane" i na pożegnanie, aby rozładować napiętą atmosferę, przyniosłem koniak gruziński...

## Upomniała się Solidarność

Oficjalnie Ferdynand Błauciak został zdegradowany z funkcji dyrektora na kierownika, ale nieoficjalnie jego zakres obowiązków pozostał ten sam. Nawet nie zmienił gabinetu, a jedynie wizytówkę na drzwiach. Nowa sytuacja była okazją do bliższych kontaktów z zakładową organizacją związkową NSZZ Solidarność.

– Od tego momentu wspólnie z Solidarnością przeforsowaliśmy wiele decyzji płacowych korzystnych dla górników, które w poprzednich latach byłyby nie do przejścia. Solidarność się na tyle umocniła, że w specjalnym piśmie skierowanym do dyrekcji upomniała się o zwolnionych za strajk. Na ich liście znalazłem się również i ja, choć przecież tyle lat byłem człowiekiem z nomenklatury. Ale też zawsze starałem się działać uczciwie, by pochopną decyzją nikogo nie krzywdzić – dodaje pan Ferdynand.

## Byłem pilnym uczniem

– Któregoś dnia zadzwonił naczelny dyrektor: „Przyjechał szef ze zjednoczenia, bądź u mnie, bo jesteś mu potrzebny". Gość ze Zjednoczenia powitał mnie niemal w progu: „Proszę pana, naprawdę miło mi, że wręczam panu no-

minację na dyrektora do spraw ekonomicznych" - w taki sposób zwrócono mi poprzednie stanowisko. Nie miało to wpływu na moją współpracę z Solidarnością – zapewnia pan Błauciak. – Myślę, że przez ten okres mojego „wygnania" działacze związkowi poznali mnie bliżej i przekonali się, że to co znajduje się w moich kompetencjach, na pewno załatwię. Zdarzały się też absurdalne prośby, których nie akceptowałem.

*Państwo Błauciakowie z pierworodnym wnuczkiem Krzysiem.*

Np. przyszli kiedyś trzej związkowcy i zażądali, by obniżyć im czynsze za mieszkania komunalne, na co przecież nie miałem żadnego wpływu. Oczywiście ja też się wiele nauczyłem w tej zawierusze. Z większą uwagą wsłuchiwałem się w ludzkie skargi i opinie. Częściej, przed podjęciem decyzji, konsultowałem sprawy w szerszym gronie, by mieć pewność, że postępuję słusznie.

## ▪ Informator na etacie

PBKRM było pierwszą firmą w KGHM, która w 1984 roku otrzymała dwa kontrakty na budowę tuneli poza granicami kraju. Za akceptacją dyrektora pan Ferdynand Błauciak, jako kierownik budowy ds. ekonomicznych, pojechał na pierwszy kontrakt do Algierii.

– Budowaliśmy tunele kolejowe na trasie Jijel - Ramadane w Algierii, jako podwykonawcy francuskiej firmy Bouygues, która zawarła z Algierczykami umowę na budowę linii kolejowej. Początki nie były łatwe. Załoga musiała przyzwyczaić się do odmiennych warunków pracy. Praca w skale kruchej, sypiącej się, wymuszała konieczność wykonywania dodatkowych zabezpieczeń ścian. Kontakty z tubylcami też nie były proste – opowiada pan Błauciak. – Aby wiedzieć, co naprawdę myśli o nas lokalne środowisko, zatrudniliśmy u siebie Araba. Po studiach w Jugosławii wrócił do Algierii z żoną (Jugosłowianką) i został członkiem tamtejszego komitetu miejskiego. Pamiętam, kiedyś przyjechał do nas przed Barbórką i mówi: „Wczoraj byłem w komitecie. Rozprawiano tam, że wasi górnicy szykują ołtarz w drążonym tunelu i na Barbórkę chcą tam odprawić mszę świętą. Może być z tego kłopot! Arabowie się z tym nie godzą. Musicie to zażegnać!". Zaraz zwołaliśmy zebranie. Przyszli przedstawiciele górników i niespodziewani goście: aktor Wojciech Siemion z małżonką (przysłani do nas przez polską ambasadę), a także polski ksiądz. Górnicy chcieli mszy w tunelu. Ksiądz tylko słuchał. Ostatecznie zabrał głos Siemion. Rozprawiał sensownie, przekonująco i nadzwyczaj łagodnie. Dzięki tej perswazji ludzie odstąpili od pierwotnego zamiaru, zwłaszcza że niezbyt daleko od nas znajdował się kościół katolicki, wybudowany przez Francuzów. W niedzielę i święta modlili się tam również Włosi i nasi ludzie dowożeni autobusami.

– Innym razem odwiedził nas życzliwy Polakom komendant policji. Ostrzegał: „Mamy

na was skargę. Widzicie te domy? Tam są nasze kobiety, one skarżą się, że ludzie wasi je podpatrują i nękają. Trzeba coś z tym zrobić, bo mogą być kłopoty!". Faktycznie na górce, w odległości co najmniej 150 metrów, stały zabudowania przypominające garaże. Poruszały się przy nich jakieś osoby. Nie wiadomo jednak, czy te podejrzenia były uzasadnione. Być może nasi ludzie spoglądali w tamtym kierunku jedynie z ciekawości. Wspominam o tym, by zobrazować różnice i zawiłości obyczajowe – dodaje pan Błauciak. – Kiedyś podczas ramadanu wpadł do nas burmistrz ze swoim prawnikiem. Gdy zaproponowałem lampkę wina, obaj odmówili, ale też dali się zaprosić do stołówki. Po obiedzie prawnik wyjaśniał: „Nie mogę was przyjąć w swoim domu, bo w czasie ramadanu jest to niedopuszczalne. Jednak w hotelu możemy się spotkać i coś wypić". Ale kiedy tydzień po tym zdarzeniu odwiedził nas w pewnej sprawie miejscowy kierownik gospodarki komunalnej, mimowolnie zapytałem, choć jeszcze trwał ramadan: „Po jednej szklaneczce wypijemy?". Odpowiedział bez wahania: „Ano wypijemy!".

*Mimo kłopotów zdrowotnych starają się żyć aktywnie.*

## ▪ Rozstania i frustracje

Perspektywa urlopu dopiero po 13 przepracowanych miesiącach była przygnębiająca. Pan Ferdynand wspomina, jak po upływie wymaganego okresu chciał się skontaktować z rodziną. – Na poczcie, z pomocą tłumacza języka francuskiego, spytałem, czy można zatelefonować do Polski. Urzędnik odrzekł: „Tak, oczywiście można zamówić rozmowę". Zapytałem: „ A kiedy będzie połączenie?". „Nie wiem, za tydzień, a może dwa" – usłyszałem. Takie to były czasy. W ogóle nie rozmawiałem z żoną. Ten brak kontaktu z rodziną bardzo podłamywał. W domu zostawiłem przecież dwóch synów: Wiesława i Janusza, i żonę, która dźwigała obowiązki rodzinne za nas dwoje.

Po dwóch latach pracy na kontrakcie pan Błauciak wrócił do kraju. W firmie nowy dyrektor Stanisław Szczepaniak zaproponował mu stanowisko kierownika działu płac. Niecałe dwa lata pracował, a z początkiem 1991 roku poszedł na emeryturę.

Mimo iż od tego czasu minęło prawie 25 lat, wspomina zakład z sentymentem. Spacerując ulicą spotyka czasem byłych pracowników. Kłaniają mu się i wspominają różne zakładowe sytuacje.

– Kiedyś pewien człowiek twierdził, że mu pomogłem, gdy zachorował i miał 3 dni nieusprawiedliwione. Mówił: „Pan mi wtedy pomógł z tą trzynastką, żebym ją dostał. Pan o tym pamięta?". Nie pamiętałem, ale się nie przyznałem, bo miło, gdy się kogoś z dobrej strony wspomina.

Dziś państwo Błauciakowie cieszą się kolejnym pokoleniem Błauciaków - czterema wnukami i trzema prawnukami. Mimo niedomagań zdrowotnych wiodą aktywne życie. Pan Ferdynand wciąż pozostaje wierny swojej rowerowej pasji. Niegdyś w 30. stopniowej temperaturze potrafił dziennie przejechać 70-80 km (rocznie 3000 km). I nawet dzisiaj, mając 82 lata, rozrusznik oraz endoprotezy zapowiada, że jeśli wszystko ze zdrowiem się ułoży, to w tym sezonie jeszcze wsiądzie na rower. ■

**Po wyjeździe na górę Rolnickiemu polecono zgłosić się do kasy; na wniosek nadsztygara Wierzbińskiego od ręki dostał 200 lub 300 zł premii - dokładnie nie pamięta. Chodził w glorii bohatera oddziału. Wszyscy go męczyli, żeby zdradził, w jaki sposób udało się mu uruchomić ładowarkę. Przez dwa dni droczył się z kolegami, w końcu wyjawił powód awarii, który był - jak mówi - śmiesznie prosty.**

*Jan Rolnicki, inżynier elektromonter, sztygar i nadsztygar w ZG Lubin, sztygar w PBK Bytom. Pracował w latach 1966-93*

# Urodził się z wkrętakiem w ręku

Gdyby nie wojna, to Jan Rolnicki nosiłby nazwisko - Rulnicki. To Niemcy namieszali w dokumentach jego rodziny. Ojciec, ułan w stopniu kaprala, po bitwie nad Bzurą znalazł się w niemieckiej niewoli, w stalagu koło Zgorzelca (ówczesnego Goerlitz). Kiedy zagoiły się mu rany, został odesłany na roboty do bauera, właściciela dużej winnicy w Armsheim. Znał się na rolnictwie; w Polsce, na Kujawach, do września 39. roku uprawiał 150 mórg ziemi.

Widocznie dobrze sprawował się jako robotnik Schrittera, właściciela winnicy, skoro mógł sprowadzić swoją rodzinę: żonę, syna i córkę. Tam, w 1943 roku, w Alzey urodził się mu drugi syn, Jan, siedem lat młodszy od siostry a 14 od brata. Niemcy z błędem w nazwisku odnotowali fakt narodzin dziecka, i tak już zostało. Zaprzyjaźniony z rodzicami Polak wyrzeźbił drewniany krzyż z datą 1943 i wręczył im jako prezent z okazji urodzin synka. Ta pamiątka wisi na honorowym miejscu w domu Jana i Czesławy Rolnickich w Sitnie, koło Ścinawy.

## ▪ Wśród kresowiaków

Równie cenną pamiątką jest dla pana Jana legitymacja byłego jeńca wojennego, wydana jego ojcu przez Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie. Na sfatygowanym kartoniku zachował się nawet odcisk jego kciuka.

– Ojciec nie skorzystał z możliwości pozostania na Zachodzie, chociaż miał farmerskie propozycje z Wlk. Brytanii i USA – mówi pan Jan.

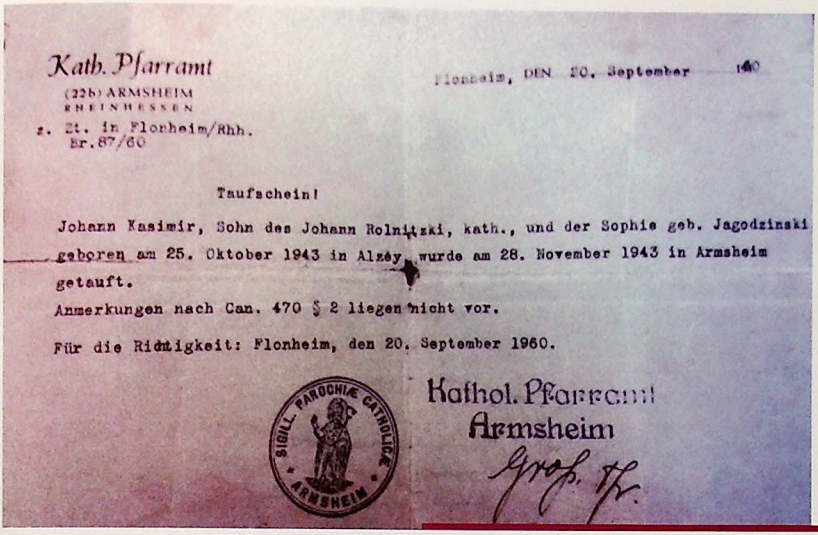

Kath. Pfarramt
(22b) ARMSHEIM
RHEINHESSEN
z. Zt. in Flonheim/Rhh.
Br.87/60

Flonheim, DEN 20. September 1960

Taufschein!

Johann Kasimir, Sohn des Johann Rolnitzki, kath., und der Sophie geb. Jagodzinski geboren am 25. Oktober 1943 in Alzey, wurde am 28. November 1943 in Armsheim getauft.

Anmerkungen nach Can. 470 § 2 liegen nicht vor.

Für die Richtigkeit: Flonheim, den 20. September 1960.

SIGILL. PAROCHIÆ CATHOLICÆ ARMSHEIM

Kathol. Pfarramt
Armsheim

*Niemiecka metryka chrztu Jana Rolnickiego wystawiona przez parafię katolicką w Armsheim.*

*Niemcy, 1945 rok. Brat Franciszek w amerykańskim uniformie, półtoraroczny Janek i siostra Teresa.*

– Uległ za to namowom agitatorów z PKWN, ciągnęło go do kraju, gdzie miał liczną rodzinę.

Na Kujawy nie było do czego wracać, bo gospodarstwo rozparcelowano, skierowali się więc na Ziemie Odzyskane. W 1945 roku przyjechali do Miłoradzic. Większość domów była już zasiedlona przez kresowiaków, tylko trzy lub cztery rodziny pochodziły z innych terenów.

W Miłoradzicach pod Lubinem rodzina Rolnickich uprawiała 11-hektarowe gospodarstwo do przedwczesnej śmierci ojca w 1967 roku. Synowie już wcześniej znaleźli sobie pracę w mieście i nie zamierzali wracać do pługa. Starszy, Franciszek, mechanik z wykształcenia, najpierw był sekretarzem w komitecie powiatowym partii, potem kierownikiem zakładu konstrukcji stalowych w Przedsiębiorstwie Budowlano Montażowym Przemysłu Ciężkiego w Lubinie. Podległe mu brygady spawaczy specjalizowały się w wykonywaniu ciężkich stalowych konstrukcji nadszybi i wież szybowych na wszystkich kopalniach. Brat blisko współpracował ze słynnym Mintą i inżynierem Polakiem ze Zjednoczenia, którzy wprowadzili nowatorską metodę budowy szybów; konstrukcja powstawała poza otworem szybowym, a gotową przesuwa-

*Miłoradzice, lata 40. Dni Książki i Prasy przed wiejską biblioteką. Chłopiec to Jan Rolnicki. Drugi z prawej - ojciec pana Janka. Powstanie biblioteki było zasługą Franciszka Rolnickiego i Klemensa Radulewicza, którzy w konkursie Chłopskiej Drogi wygrali 200 książek i je przekazali na rzecz wsi.*

no na docelowe miejsce. Sposób ten znacznie przyspieszał stawianie szybów.

**▪ Za bratem do PBMPC**

Przyszłą żonę pan Jan poznał w zawodowej szkole łączności w Jeleniej Górze. Oboje znaleźli pracę w Legnicy - narzeczona na kolei a on w Okręgowym Urzędzie Telekomunikacji Międzymiastowej.

– Pobraliśmy się, gdy jeszcze byłem w wojsku, na świecie była już nasza dwutygodniowa córeczka Aneta. Ślub opóźnił się, ponieważ żona odtwarzała swoje dokumenty zaginione podczas wojny. Za radą brata 1 maja 1966 roku przyjąłem się jako elektromonter do PBMPC, skuszony obietnicą otrzymania mieszkania. Ale po dwóch latach wciąż tkwiłem na 30. miejscu na liście oczekujących.

Żeby szybciej dostać mieszkanie, przeniósł się do SOWI, do pracy w kopalni i jednocześnie zaczął się uczyć wieczorowo w Technikum Górniczym w Lubinie. Poza tym liczył na to, że dyplom technika zwiększy szanse na awans i lepsze zarobki. 1 stycznia z grupą pracowników został przekazany do ZG Lubin, gdy na Szybie Wschodnim ruszyły już roboty poziome. Pracował jako elektromonter na dole; zajmował się łącznością, awariami elektrycznymi, montażem pomp, wentylatorów, utrzymaniem ruchu na przenośnikach taśmowych, układaniem przewodów wysokiego napięcia, czasem obsługiwał centralną pompownię.

Po roku - kolejne przeniesienie, tym razem na Szyb Główny, do oddziału MD-14, którym kierował Czesław Mularski, późniejszy dyrektor ds. inwestycji ZG Lubin, także poseł IX kadencji z listy PZPR.

– Współpraca układała się nam bez zarzutu – zapewnia – można powiedzieć o nim - ludzki kierownik. Różni ludzie trafiali do dozoru, niektórym nerwy wysiadały i wyżywali się na pracownikach. On był naprawdę w porządku.

Czuł się doceniany na tym oddziale, wkrótce został zatwierdzony przez OUG na dozorcę oddziału elektrycznego a w 1972 na sztygara zmianowego z prawem zastępowania kierownika.

Jednocześnie pełnił funkcję elektryka obchodowego, wzywali go do awarii, gdy oddziałowy elektryk nie dawał sobie rady.

## ▪ Powód - śmiesznie prosty

Na przełom lat 60 i 70. przypadły początki umaszynowienia miedziowych kopalni. Pamięta, jak z Francji sprowadzono pierwszą ładowarkę łapową firmy JOY i do tego dwa wozy odstawcze. Pojawiła się też wiertnica Serpent, która eliminowała ręczne wiercenie. Miały te urządzenia w sobie już trochę elektroniki, tłumaczy Rolnicki, ale ich budowa nie była jeszcze skomplikowana. Bo jak na przykład stanęło KWS (kopalniany wyłącznik), które zasilało przenośnik, to bardziej zorientowany górnik brał stylisko od łopaty, przykładał do zwory i urządzenie dalej pracowało. Później, gdy pojawiły się układy przeciążeniowe, ziemnozwarciowe itp., już nie było takich możliwości.

– Czy lubiłem swoją pracę? – przez chwilę się zastanawia. – Nie chcę się wychwalać, ale ktoś kiedyś powiedział, że się chyba urodziłem z wkrętakiem w ręku. Miałem po prostu smykałkę do tej roboty. Któregoś razu stanęła ładowarka joyowska; chwilę pracowała i się wyłączała. Gdy przyszedłem na swoją zmianę, całe konsylium (elektrycy, kierownik, nadsztygar) głowiło się nad przyczyną. Bezskutecznie męczyli się już całą dobę. Powiedziałem, że spróbuję, ale oni muszą odejść od maszyny, żeby nie przeszkadzać - chciałem sam wszystko posprawdzać. Przy wyłączonej lampie, w ciemnościach obserwowałem, czy nie ma jakiegoś zwarcia - a wskazywało na nie samoczynne wyłączanie się silnika. Rzeczywiście - iskrzyło. Cóż się okazało? Wcześniej upalił się przewód od stycznika i elektryk, który go zarabiał, skrócił upaloną część i podłączył, ale nie wpadł na to, że Francuzi oprócz izolacji gumowej, stosowali na przewodzie jedwabny oplot. Na dole wilgotność sięga 100 proc., mokry jedwab przewodził iskrę do stacji transformatorowej i ją wyłączał. Wystarczyło więc prawidłowo zarobić końcówkę i maszyna ruszyła.

*Barbórka w Ratuszowej w Lubinie, wczesne lata 70. Od lewej, z żonami: Jan Kubiak (elektryk ZG Lubin), Klemens Radulewicz (kolega brata), Franciszek Rolnicki (PBMPC/ZBGH) i Jan Rolnicki.*

Po wyjeździe na górę Rolnickiemu polecono zgłosić się do kasy; na wniosek nadsztygara Wierzbińskiego od ręki dostał 200 lub 300 zł premii - dokładnie nie pamięta. Chodził w glorii bohatera oddziału. Wszyscy go męczyli, żeby zdradził w jaki sposób udało się mu uruchomić ładowarkę. Przez dwa dni droczył się z kolega-

mi, w końcu wyjawił im powód awarii, który był - jak mówi - śmiesznie prosty.

## Nieraz leżało się w błocku

Zarabiał nieźle, w „zetgie" od razu dostał najwyższą stawkę - 10 zł na godzinę. Nie unikał roboty i do tego uczył się w technikum, co było doceniane przez zwierzchników. Jako zmianowy na MD-14 miał 2200 zł pensji zasadniczej, 120 proc. premii, do tego Karta Górnika. [Dla porównania - żona zarabiała 1100 zł.] Dodatkowe pieniądze wpadały za sprawne usuwanie awarii maszyn, ale też za naprawę uszkodzonych kabli, również tych wysokiego napięcia. Jednak nie były to lekko zarobione pieniądze.

– Jak pracowałem na oddziale joyowskim – wspomina pan Jan – trzeba było czasem wymienić rozrusznik, i to w tym miejscu, gdzie maszyna utknęła. Niekiedy leżałem pod maszyną w połowie zanurzony w błocku, ponieważ rozrusznik był najniżej umiejscowionym podzespołem wozu odstawczego. Z powodu wilgoci w rozruszniku

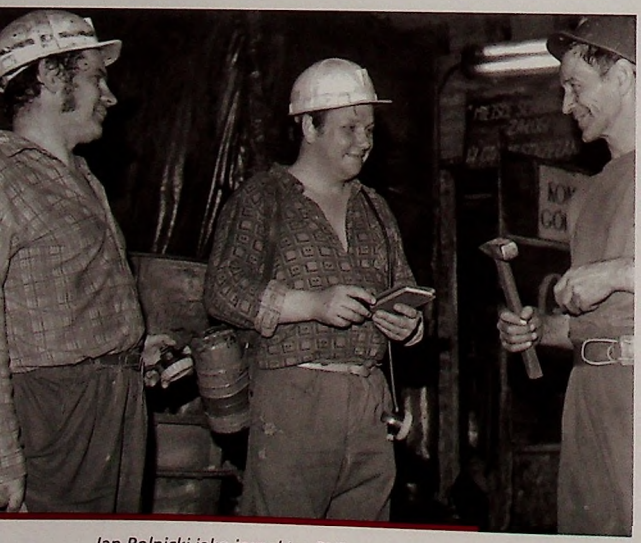

*Jan Rolnicki jako inspektor BHP przeprowadza kontrolę G-5 ZG Lubin. Po lewej kierownik oddziału Nowacki.*

często paliły się styki, dochodziło też do uszkodzeń mechanicznych, gdyż maszyny jeździły po wykrotach. Ilość awarii zmniejszyła się, kiedy zaczęli robić drogi dojazdowe, wysypywali tłuczniem, utwardzali.

Gdy rozpocząłem pracę na „Lubinie", nie doszło jeszcze do zbicia Szybu Wschodniego z Głównym: wentylacja słabiutka - 40 stopni na głównych przekopach, a w przodkach, to nawet się nie mówi. Cały czas z człowieka lał się pot, trzeba było dużo pić, a pragnienie najlepiej gasiła zimna woda. Dlatego teraz ten kaszel mnie dusi. Kopalnia jednak mi trochę zdrowia zabrała.

## Koledzy trochę burczeli

Był sztygarem, przyzwoicie zarabiał, ale kusiło go, by się uczyć dalej. W 1975 roku zapisał się na wydział elektryczny Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Zielonej Górze. Przełożeni popierali tych, którzy chcieli się dokształcać, ponieważ ciągle brakowało fachowców. Ale koledzy nie byli szczęśliwi z tego powodu, burczeli, bo musieli go zastępować, gdy co trzy tygodnie na trzy dni wyjeżdżał na uczelnię. Szczęściem po roku udało się mu przenieść z MD-14 na stanowisko dyspozytora maszynowego, na którym łatwiej dało się pogodzić pracę z nauką.

– Dyspozytornia mieściła się w cechowni na Szybie Głównym, obok dyspozytorni górniczej. Miałem przed sobą dużą (2 metry na 2) planszetę ze schematem i kontrolkami świetlnymi wszystkich urządzeń dołowych: przenośników głównych, stacji transformatorowych, dozowników, szybików. Kiedy dochodziło do awarii, na planszecie od razu zapalała się kontrolka. Wiadomo było, że coś się stało i trzeba interweniować. Koordynowałem prace wszystkich oddziałów energomaszynowych. Np., gdy na którymś spalił się silnik i pilnie należało załatwić nowy, wydzwaniałem do innych oddziałów, magazynów, zaopatrzeniowców. Wszystkim zależało, żeby utrzymać płynność robót i nie zawalić planu wydobycia, a tym samym nie stracić na zarobkach.

Wynagrodzenie miał zbliżone do poprzedniego, jednak sporo pochłaniały wydatki związane z nauką: dojazdy, podręczniki. No i tracił 60 proc. Karty Górnika, bo musiał brać wolne na studia.

## Nie popierasz - nie awansujesz

Odchodząc na emeryturę pan Gałuszka, inspektor BHP ds. energomaszynowych, podpowiedział Janowi Rolnikiemu, żeby starał się o jego posadę - zwierzchnicy nie stawiali przeszkód. Przez prawie trzy lata, do ukończenia studiów, pracował jako inspektor BHP na Szybie Głównym. Najczęściej w dokumentach pokontrolnych notował: braki w ukotwieniu, odspajające się bryły skalne, kable leżące na spągu, przewróconą rozdzielnię itp. Brał również udział w komisjach, które badały przyczyny wypadków lżejszej kategorii; przesłuchiwał świadków i sporządzał protokoły powypadkowe. Gdy dochodziło do śmiertelnych zdarzeń, komisję tworzyli wyżsi rangą: kierownik BHP, kierownik robót, dyrektor, przedstawiciel Urzędu Górniczego.

– Pracę na „Lubinie" dobrze wspominam – przyznaje po latach. – Poznałem tam wielu fajnych ludzi, np. Wiktora Błądka pamiętam jeszcze jako nadgórnika, a Jurek Markowski był wtedy kierownikiem oddziału młodzieżowego. W latach 70. niestety nie mogłem awansować z powodów politycznych - o ile pamiętam, spośród dozoru w moim pionie tylko ja i Piotr Maćków nie należeliśmy do partii. Mam nawet gdzieś deklaracje, które mi wciskano, ale nigdy ich nie oddałem. Mówili: „Jak możesz kierować oddziałem, skoro nie popierasz linii partii?!". Byłem co prawda nadsztygarem, ale po linii BHP, w bezpośredniej produkcji wyższy dozór musiał mieć partyjne legitymacje. Awans był możliwy dopiero w 80. roku, gdy nastała Solidarność. Miałem już wtedy dyplom inżyniera, skorzystałem więc z propozycji objęcia stanowiska nadsztygara ds. energomaszynowych w ZG Sieroszowice, nowo uruchomianej kopalni, gdzie dopiero kompletowano załogę.

Jakoś nie mógł się wpasować w środowisko dozoru. Po 2 latach przeniósł się do PBK Bytom, które prowadziło roboty przygotowawcze - rozcinało złoże przed właściwą eksploatacją. Takie prace odbywają się w bardzo trudnych warunkach, przede wszystkim ludziom brakuje wentylacji. Oddział energomaszynowy, którym kierował Jan Rolnicki, budował na „Rudnej" przenośniki taśmowe. Najpierw dla potrzeb PBK stawiali od 5 do 8 Gwarków (krótkich przenośników), potem już na stałe w ich miejsce budowali dwa Legmety - długie przenośniki do odstawy urobku. Naliczył, że zmontował w tej kopalni około 12 km przenośników. Były to popłatne prace, a gdy udało się zakończyć montaż przed terminem, można było spodziewać się dobrej premii. Roboty montażowe oddział pana Jana wykonywał na wszystkich szybach „Rudnej" , zajmował się też utrzymaniem ruchu na oddziałach górniczych, kładł kable zasilające i przede wszystkim uruchamiał pompownie. Wypływającą z górotworu wodę kierowano do zlewisk oddziałowych, skąd pompowano ją pod szyb do centralnej pompowni, a stamtąd na powierzchnię i dalej do stawu osadowego.

## Gorzej niż za komuny

Gdy tylko w 1993 roku skończył 50 lat, poszedł na emeryturę. Mówi, że nie miał siły, już dłużej ciągnąć tej roboty, bo ostatnie lata były szczególnie trudne. Wszystkiego brakowało, a zadanie należało wykonać.

– Nie było kabli, wentylatorów (szybko się przepalały), pomp do odwadniania przodków. Musieliśmy pożyczać kotwy, siatki, betoniki. Działo się gorzej niż za komuny, gospodarka była kompletnie rozregulowana, nie dawało się normalnie pracować. Czasem nawet osobiście za materiałami jeździłem, np. drut nawojowy załatwiałem w legnickiej Elpenie, lakiery do uzwojeń silników i taśmy izolacyjne w Wałbrzychu. Żeby nie jechać z pustymi rękoma, zabierałem ze sobą jakieś suweniry, zazwyczaj: kufle, długopisy, lampki górnicze. Głównie jednak nasi zaopatrzeniowcy organizowali nam materiały, a byli dość obrotni.

Oddział, którym kierował, liczył ok. 40 osób. Dużo nerwów kosztowało go użeranie się z ludźmi, bo sporo „niebieskich ptaków" trafiało do górnictwa. Niektórzy prosto z więzienia - dostawali nakaz i należało ich przyjąć.

– Potrafił taki wprost odpalić: „Panie, a co tam mnie kogoś zabić! W więzieniu też się da żyć". Problemem była duża rotacja. Ci z nakazu popracowali 2-3 miesiące i znikali – opowiada inż. Rolnicki. – Stale brakowało ludzi, więc czasem zwolnionych z powrotem się przyjmowa-

*Jedna z górniczych imprez w PBK Bytom. Pan Janek w mundurze górniczym, obok - Hanulak, przedstawiciel NSZZ Solidarność.*

ło. Ale jak dwa-trzy razy ktoś nawalił, to szedł wniosek o dyscyplinarkę. Niestety przepisy nie sprzyjały utrzymaniu dyscypliny, wystarczyło, że w sądzie zwolniony powiedział, iż nie miał zamiaru opuszczać pracy, ale zmusiła go do tego sytuacja losowa, to sąd go przywracał. Kiedyś jeden przez tydzień nie pokazywał się w zakładzie, a wiem, że lubił balangować. Dla sądu wymyślił historyjkę, że żona mu uciekła, a on musiał się zająć dziećmi. Całe szczęście większość sumiennie pracowała, i to na nich opierał się ruch zakładu.

## ▪ Marzenie o domu

Po przejściu na emeryturę odebrał kilka telefonów z ofertami pracy w kraju i na zagranicznych kontraktach. Nie chciał jednak prowokować losu; jest ponoć taka zasada, że jak się zakończy szczęśliwie górniczą pracę, to lepiej nie ryzykować. Pracując tylko raz znalazł się w szpitalu, wyskoczył mu dysk, gdy podnosił silnik. I jak większość górników, ma uszkodzony słuch - w orzeczeniu napisano, że w 50 proc. Na kontrakt nie pojechał, wolał w tym czasie popracować na swojej działce. Postanowił też spełnić na emeryturze marzenie o własnym domu.

Pierwsze mieszkanie M-3 Rolniccy otrzymali w 70. roku przy ul. Mickiewicza w Lubinie, po półtorarocznym oczekiwaniu. Siedem lat potem przenieśli się na Sportową do M-4, zamieszkała z nimi mama pana Janka, która przekazała gospodarstwo na Skarb Państwa. Mieszkali tam do 98 r., ale już dość mieli tego miejsca.

– Naprzeciwko naszego bloku znajdował się klub Walerek – opowiada pan Janek. – Do drugiej w nocy dochodziła stamtąd głośna muzyka, a po zakończeniu imprezy zaczynała się granda; tłukli butelki, dwa razy okradali mi samochód, wyrywali lusterka. W samym bloku też nie było spokoju; dorastająca młodzież puszczała muzykę na cały regulator, po nocce trudno było odpocząć. A na skwerku dzieciaki kopały piłkę i co rusz wybijały nam szyby w oknach; musiałem w końcu założyć kraty.

Odetchnęli dopiero w Sitnie, w wiosce - jak sami gospodarze o niej mówią - zabitej dechami, gdzie ani kościoła, ani sklepu, ani jednego stacjonarnego telefonu nie było. Już po trzech miesiącach mieszkańcy wybrali pana Janka na przewodniczącego rady sołeckiej, i wspólnie z panią sołtys zaczął batalię o telefony. Pół roku później każdy mógł się włączyć do sieci. Udało się to m.in. dzięki wsparciu posłanki Bronisławy Kowalskiej.

– Moi koledzy pobudowali piękne domy na osiedlach w Lubinie, a ja wolałem wieś i starą poniemiecką chałupę do remontu – zwierza się Jan Rolnicki. – Wychowałem się na wsi, w mieście brakowało mi swobody, przestrzeni, przyrody. Przy domu mam ponad 30 arów działki, więc jest co robić, a gdy przychodzi sezon na grzyby, wiadrami nosimy prawdziwki, maślaki, kozaki, podgrzybki. ■

**Wszędzie gdzie wierciliśmy, była woda. Jedno z większych, zawodnionych pól nazwaliśmy polem ryżowym, bo tam kapało z każdej kotwy. Błoto było tak ogromne, że ludzie poruszali się, jak po polu ryżowym. Nazwa przyjęła się i wszyscy jej używali. Gdy sztygar kazał górnikowi iść na pole ryżowe, ten wiedział, gdzie ono jest, natomiast gdy podawał mu numer pola, mógł być kłopot, bo nie wszyscy orientowali się w numeracji.**

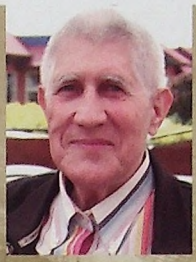

*Jacek Głodowski, nadsztygar na szybie L-III. Pracował w latach 1967 - 1993*

# Strzelaliśmy pokazówkę dla wiceministra

Urodził się w uzbeckim mieście Almazar, położonym niedaleko od Taszkientu, ale w metryce urodzenia wpisano mu Wretskaja.

– Mama nie umiała mi wyjaśnić dlaczego. Wiele lat później udało mi się ustalić, że Wretskaja to dzielnica Almazar, i jakiś urzędnik przez pomyłkę wpisał jej nazwę do mojej metryki. To tak, jakby komuś napisać, że urodził się na Przylesiu, a nie w Lubinie – wyjaśnia Jacek Głodowski.

## Długa podróż do kraju

Zanim trafił do Lubina, przemierzył pół świata i Polski. W 1947 roku wyruszyli z mamą w długą podróż do ojczyzny. Wyjechali ciężarówkami ziłami w ponad 1000-kilometrową trasę nad morze Kaspijskie. Podróż trwała blisko dwa miesiące, jechali w strasznym upale i bardzo wiele osób jej nie przeżyło. Trafili do Teheranu, potem do Karaczi, Bombaju i wreszcie do Afryki. Z przerwami przemierzyli całe wschodnie wybrzeże. W Nairobi pani Głodowska podjęła pracę, aby zarobić na dalszą podróż do Polski, a mały Jacek znalazł się w sierocińcu w Mombasie.

– Gdy wreszcie dotarliśmy do kraju, zamieszkaliśmy w Parczewie (Lubelskie) u babci.

*Feliksa Głodowska, mama pana Jacka. (zdjęcie przedwojenne).*

Mama wyszła powtórnie za mąż i próbowała na nowo ułożyć sobie życie. Nie było to łatwe, bo bardzo często była wzywana do Urzędu Bezpieczeństwa i godzinami musiała wyjaśniać, co tak długo robiła na Zachodzie. Proszę sobie wyobrazić, że kiedy przychodził do nas list z zagranicy, listonosz nie przynosił go do domu, tylko UB przyjeżdżało gazikiem i zabierało matkę na kolejne przesłuchania – wspomina pierwsze lata w Polsce.

## ▪ Czyste kartki od dyrektora Pazdro

Po podstawówce, za namową kolegi, który spędzał wakacje w Parczewie, zdecydował się na naukę w Zasadniczej Szkole Górniczej w Wałbrzychu. Sprawowała nad nią patronat Kopalnia Węgla Kamiennego „Chrobry" i tam uczniowie odbywali praktyki.

– W kopalni panowały takie zasady, że sztygarzy i kierownicy obserwowali praktykantów i co sprytniejszych kaperowali do swoich oddziałów. Byłem chyba obrotnym chłopakiem, pracy się nie bałem, dlatego kierownik Lis od razu mi powiedział, że chętnie widziałby mnie u siebie. Dorabiałem na jego oddziale nie tylko w roku szkolnym, ale także podczas wakacji, bo w domu się nie przelewało. Do osiemnastego roku życia pracowałem na powierzchni, później już na dole. Po ukończeniu zasadniczej szkoły chciałem uczyć się dalej i poszedłem do technikum. Z dyplomem technika wróciłem na oddział do kierownika Lisa. Przez pierwszy rok byłem co prawda na etacie umysłowym, ale pracowałem fizycznie, dopiero później zostałem sztygarem. Pewnego razu kierownik Lis powiedział wprost, że szykuje mnie na swojego następcę.

W budynku gdzie wynajął sobie kwaterę, mieszkała dziewczyna, która mu się bardzo spodobała. Wkrótce pobrali się, na świat przyszło dziecko. Zamieszkał u teściów, bez wyraźnych perspektyw na własne mieszkanie.

Dwa lata później wraz ze Zdzisławem Nowosadko natknęli się na kolegę, który przeniósł się do pracy w zagłębiu miedziowym. Zagadnął, czy nie chcieliby popracować na Miedzi. „Gdyby dali mieszkanie, to czemu nie?" – zareagował Jacek Głodowski. „Dają od ręki" – usłyszał w odpowiedzi. Umówili się i już następnego dnia rano we trzech pojechali do Lubina, do Zakładu Doświadczalnego, gdzie pracował ów kolega. Przyjął ich w swoim gabinecie dyrektor Jan Pazdro. Położył na biurku czyste kartki na podania i życiorysy. Dwa tygodnie później, dokładnie 2 czerwca 1967 roku, zostali służbowo przeniesieni z wałbrzyskiej kopalni do Lubina. Szefem Jacka Głodowskiego był pan Sienkiewicz, zapalony lotnik. To właśnie z jego inicjatywy lubińskie lotnisko, bardzo mocno zdewastowane przez Rosjan, zostało odbudowane i reaktywowane.

Głodowski i Nowosadko nie wykorzystali w „Chrobrym" przysługujących urlopów. Po miesiącu pracy wezwał ich do siebie dyrektor i wysłał w lipcu na urlopy. Wyjaśniał, że w sierpniu przyjadą nowe maszyny i właśnie oni zostali wytypowani do ich obsługi.

– Rzeczywiście maszyny przyjechały i na lotnisku uczyliśmy się, jak jeździć tymi wozami i jak je obsługiwać. Mieliśmy dwa wozy Joy, ładowarkę zabierakową, kotwiarkę Serpent oraz małą kotwiarkę – wymienia Głodowski. – To był cały

*Teheran, rok 1943. W środku (na pierwszym planie) Feliksa Głodowska z synem.*

sprzęt przewidziany na wyposażenie oddziału, który miał wtedy sześć przodków.

## Szukali systemu

W tamtym czasie w ZD funkcjonował jeszcze jeden oddział, na którym fedrowano systemem ścianowym podłużnym, jak na węglu.

– Robili na tym oddziale przecinkę między trzema chodnikami, w środku był chodnik pośredni – opisuje ten system Jacek Głodowski. – Postawili obudowę stalową, na środku pancerz i odwiercili otwory. Podobnie jak na węglu, na pancerz nakładano specjalne blachy osłonowe, aby cały urobek nie spadł od razu na spąg i nie zablokował łańcucha. Nikt jednak nie uwzględnił różnic pomiędzy właściwościami złóż węgla i rudy miedzi, choćby w ciężarze i podatności na kruszenie. Strzelili na pancerz, ale efekty były więcej niż mizerne. Ludzie musieli zrywać blachy osłonowe i wybierać ręcznie. Wyfedrowano w ten sposób chyba dwa pola i zrezygnowano z tej metody. Przyszłościową okazała się eksploatacja złoża nowym systemem komorowo-filarowym z zastosowaniem obudowy kotwiowej i wykorzystaniem maszyn samojezdnych.

## Uczyliśmy się od Szwedów

Gdy sprowadzono wiertnicę Atlas Copco ze Szwecji, przyjechało dwóch specjalistów do jej montażu. Dyrektor Pazdro oddelegował im do pomocy Jacka Głodowskiego oraz Zdzisława Nowosadko. „Przyglądajcie się, jak montują wiertnicę i w jaki sposób wiercą otwory" – polecił im.

– Młodszy ze Szwedów nie angażował się w prace – opowiada Głodowski – tylko siedział pod ociosem i cały czas coś zapisywał w notesie. Drugi, starszy wiekiem i doświadczeniem, kierował montażem. Gdy wiertnica była gotowa, odwiercił dwa rzędy otworów, strzepnął ręce i ogłosił fajrant. Wyjechaliśmy do góry, a tu dzwoni do nas dyrektor Pazdro i mówi: „Chłopy, jak już wiecie co jest grane, musicie natychmiast zjechać na dół i odwiercić przynajmniej dwa albo i trzy otwory na 60 lub 70 metrów. Jutro przyjeżdża wiceminister Franciszek Waniołka i mamy strzelić pokazówkę" – przekazał nam polecenie. Wzięliśmy ze sobą dwie skrzynki wody mineralnej, bo na dole było bardzo gorąco, ponad 30 stopni Celsjusza i zjechaliśmy na oddział. Do rana odwierciliśmy trzy rzędy otworów na 60 metrów. Na dole byliśmy już całą dobę, ale dyrektor nie pozwolił nam na wyjazd.

*Parczewo. Rok 1947, po przyjeździe do Polski. Na pierwszym planie (przy płocie) Jacek Głodowski.*

„Musicie zostać jeszcze jedną zmianę i je odstrzelić" – przekonywał. Strzeliliśmy pierwszy otwór na półtora metra zabioru, potem na dwa i pół, urwało wprawdzie te dwa i pół metra ściany, ale w caliźnie i przesunęło około dwadzieścia centymetrów. Niestety wiceminister, który z ramienia KC PZPR nadzorował budowę kombinatu, dotarł już na szyb z ponad 30-osobową grupą dygnitarzy. Zjechali na dół, a było ich więcej niż pracujących w tym miejscu górników. Pooglądali, i chyba nie zauważyli, że odstrzał był nieudany, bo niczego nie komentowali, a może się na tym nie znali. Wyjechali, a my musieliśmy dokończyć robotę. Zmieniliśmy obudowę, odwierciliśmy jeszcze raz cały blok i po strzeleniu wybraliśmy, jak ścianę na węglu.

W 1968 roku brygada J. Głodowskiego została administracyjnie przeniesiona do Samodzielnego Oddziału Wykonawstwa Inwestycyjnego (SOWI). Pracowali na tym samym oddziale, a ich kierownikiem został Jan Sadecki, późniejszy prezes zarządu KGHM. Po kolejnym roku, ponownie na podstawie decyzji administracyjnej, stali się pracownikami ZG Lubin.

## ▪ Ryżowe pola

– Pamiętam, jak wprowadzano filarową metodę rozcinki złoża, tzw. kostki. Taką kostkę 25 x 35 metrów mieliśmy rozcinać na sześć części. Raz przejeżdżaliśmy wzdłuż przez środek, potem w poprzek dwa razy – objaśnia w szczegółach pan Głodowski. – Obrobiliśmy cztery takie kostki, gdy nagle usłyszeliśmy dziwny hałas. To woda wydostawała się z górotworu. Wszyscy w panice uciekliśmy na podszybie i wyjechaliśmy na powierzchnię. Nikt nie chciał tam wrócić, ludzie bali się, że woda wszystko zaleje. Zagrożenie było bardzo poważne, wybudowano nawet dwie ogromne tamy

po stronie wschodniej i zachodniej, aby na wypadek katastrofy woda nie przedostała się do szybu. Wielu górników pamiętało jeszcze, jak podczas drążenia szybu, woda zalewała go trzy razy. W takich kawernach woda gromadzi się pod ciśnieniem, nawet do 180 atmosfer. Była wszędzie, gdzie wierciliśmy. Jedno z większych, zawodnionych pól nazwaliśmy polem ryżowym, bo tam kapało z każdej kotwy. Błoto było tak ogromne, że ludzie poruszali się, jak po polu ryżowym. Nazwa przyjęła się i wszyscy jej używali. Gdy sztygar powiedział górnikowi, że ma iść na pole ryżowe, wiedział gdzie to jest, natomiast gdy podawał mu numer pola, mógł być kłopot, bo nie wszyscy orientowali się w numeracji.

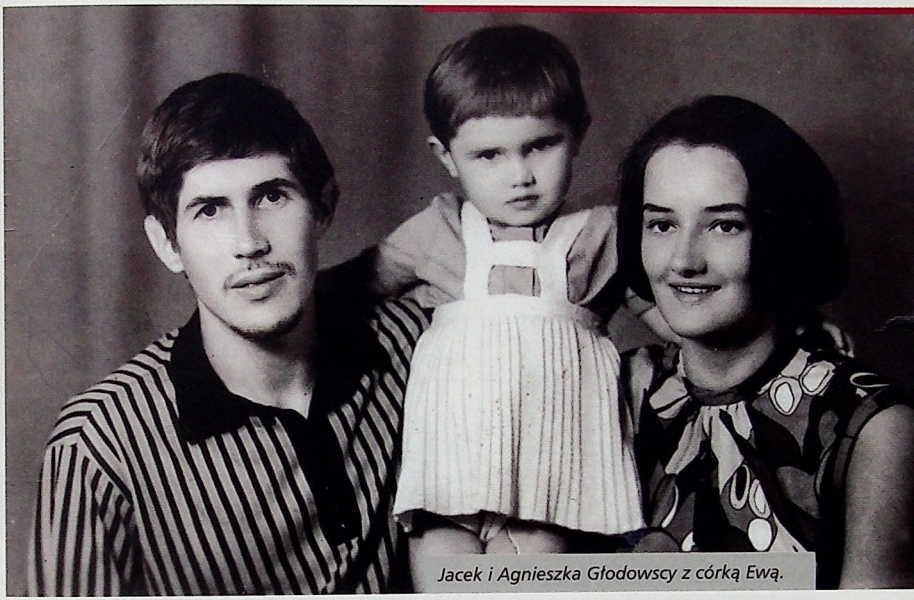

*Jacek i Agnieszka Głodowscy z córką Ewą.*

## ▪ Pierwszy zawał

Zawiadowcą kopalni był wówczas inżynier Ryszard Samborski. Gdy doszło do zawału, wezwał do siebie Jacka Głodowskiego i jednego z nadsztygarów. Razem zjechali na dół ocenić sytuację.

– Doszliśmy do miejsca zawału, jeszcze tylko trochę sypało i trzeszczało. Dopiero jak Urząd Górniczy stwierdził, że nie ma zagrożenia, oddział zaczął fedrować. Jednak ludzie wciąż nie czuli się bezpieczni, przecież nie byli jeszcze oswojeni z tym całkowicie nowym dla nich zjawiskiem. Niektórzy nawet nie chcieli pracować na tym oddziale. Stale coś tutaj się działo, np. sypało ze stropu, z górotworu dobiegały groźne dźwięki, urywało też blachy od kotew, bo tak duże było ciśnienie. Z czasem wszystko się unormowało i było już spokojniej – wspomina swój pierwszy na Miedzi zawał.

Na drugiej zmianie 29 października 1967 roku strzelono pierwszy przodek, w którym otwory wiercono wiertnicą mechaniczną.

– Pracowaliśmy wiertnicą Serpent, piękną maszyną z szybkim wiertłem, takim rolls roycem wśród wiertnic. Niestety bardzo szybko została zniszczona, podobnie zresztą jak wiele innych maszyn. Po prostu, nie wiedzieliśmy jak je obsługiwać i konserwować.

Gdy w ładowarce pierwszy raz urwała się półoś, to rozebrali ją niemal do połowy i wywieźli na powierzchnię do warsztatu. Po naprawie następnego dnia wracała na dół. Później taką awarię usuwaliśmy zaledwie w pół godziny, ale sami musieliśmy się wszystkiego nauczyć. Maszyny dostawaliśmy w całości, rozbieraliśmy je i opuszczaliśmy w paczkach, a te o większych

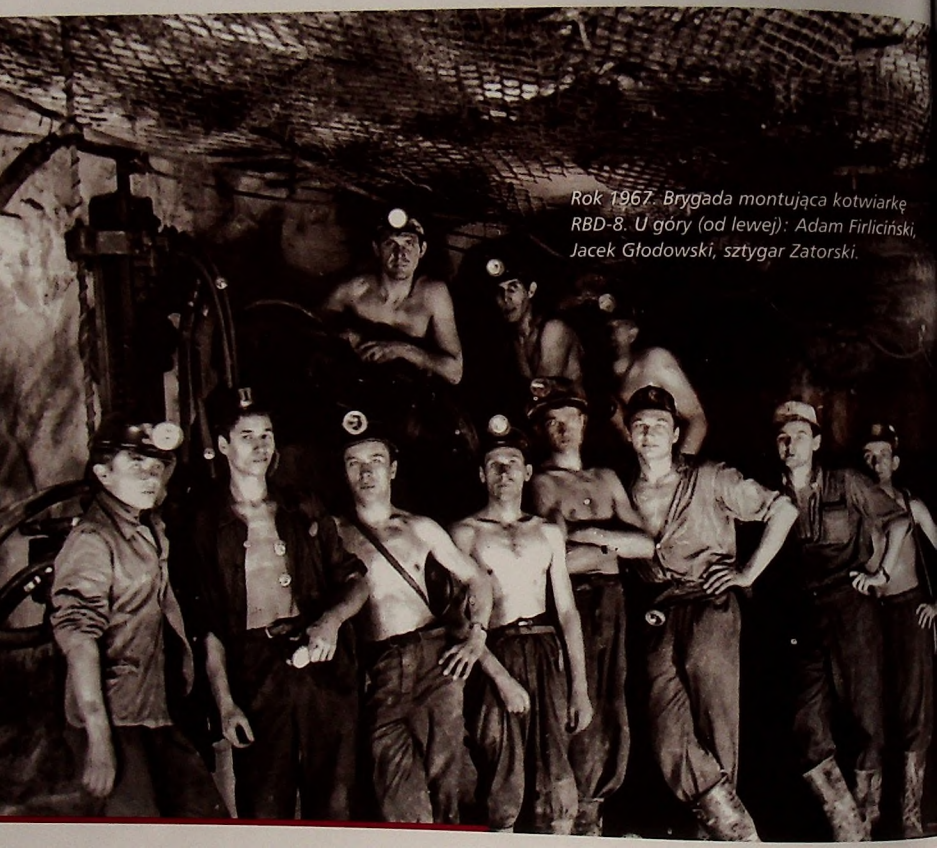

*Rok 1967. Brygada montująca kotwiarkę RBD-8. U góry (od lewej): Adam Firliciński, Jacek Głodowski, sztygar Zatorski.*

gabarytach, z powodu małego przekroju szybu, przed zwiezieniem cięliśmy i potem na dole były spawane i składane.

## Wdmuchiwali podsadzkę

– Przez pięć lat na oddziale G-1 wybraliśmy 5,5 mln ton urobku. Powstawały ogromne pustki, niektóre miały nawet po 30 tysięcy metrów sześciennych, podsadzaliśmy je piaskiem. Specjaliści z AGH dziwili się, jak się nam udaje tak duże pustki zapełniać.

Zanim ostatecznie została opanowana technika podsadzki piaskowej, próbowano różnych innych metod. Jedną z nich była podsadzka dmuchana, na wzór stosowanej w kopalniach węgla kamiennego. Do prób z tą metodą Jacek Głodowski ściągnął do „Lubina" maszynistę specjalnej dmuchawy z KWK „Chrobry". Na powierzchni kamień z płuczki ładowano na wozy i po opuszczeniu na dół gromadziło się w specjalnie wybudowanym szybiku. Stamtąd taśmociągiem transportowany był do dmuchawy, która przy pomocy sprężonego powietrza wdmuchiwała kamień do pustki. Niestety, dmuchawa zabierała powietrze ludziom i okropnie pyliła. Po wielu próbach w końcu zrezygnowano z tej metody.

## Trudne chwile

Górnicze szczęście cały czas mu dopisywało. Przez 25 lat pracy nie nie miał żadnego wypadku, ani nic tragicznego nie zdarzyło się na jego oddziale. Nie oznacza to, że nie zetknął się z traumatycznymi sytuacjami.

Gdy Głodowski był już nadsztygarem poprosił kierownika oddziału o przeniesienie Mariana, znajomego górnika w starszym wieku, do lżejszej pracy, aby mógł spokojnie doczekać emerytury. Kierownik spełnił tę prośbę, a kilka dni później Głodowski usłyszał, że ten znajomy nie żyje.

– Marian chciał przejść między wagonikami, a że był korpulentnej postawy, nie mógł się między nimi przecisnąć. Niestety w trakcie kolejnej próby dotknął głową przewodu trakcji elektrycznej i zginął na miejscu. O wypadku musiałem powiadomić jego żonę. Znaliśmy się ponad 20 lat i było to dla mnie wyjątkowo trudne zadanie.

Rodzinna fotografia po 55 latach, przed tym samym domem w Parczewie, co w 1947 r. Pierwszy z lewej J. Głodowski.

Mocno przeżyłem również śmierć Janka Jankowskiego, kierownika oddziału. Pod koniec pracy, gdy przechodził przez komorę, górnicy narzekali na duchotę. Janek poszedł sprawdzić, czy ktoś nie zostawił otwartej tamy. W tym czasie sztygar z komory paliw pociągnął za linkę do otwierania i zamykania tam, nie sprawdzając, czy nie ma w tym miejscu jakiegoś człowieka. I tama zmiażdżyła Janka.

## ▪ Zwolniłem miejsce synowi

Wkrótce po przyjeździe do Lubina Jacek Głodowski zamieszkał z żoną i córką w jednym z pierwszych wieżowców przy ulicy Mickiewicza. Gdy urodził się syn, przenieśli się do większego mieszkania na ulicy Sokolej. Teraz z żoną zajmują nieduże mieszkanie, kupione w bloku przy ulicy Gwarków. Poprzednie przekazali synowi.

W 1993 r., po przepracowaniu 25 lat, 5 miesięcy i 5 dni, przeszedł na emeryturę, chociaż tak naprawdę ostatnich sześciu miesięcy nie przepracował, bo tyle nagromadziło mu się zaległych urlopów i nadgodzin.

– Kadrowa mówiła, że takiego wariata jeszcze nie spotkała, który nie wykorzystywałby przysługującego mu urlopu – śmieje się pan Jacek. – Piątego stycznia poszedłem na zaległy urlop, a piątego lipca zostałem emerytem. Potem dorabiałem przez 13 lat w różnych firmach. Chciałem jeszcze popracować na dole, ale lekarz nie wyrażał zgody, bo wykrył u mnie pylicę. Teraz z pasją oddaję się hobby, wycinam w drewnie figury zwierząt i inne ozdobne elementy. Obecnie pracuję nad portretem żony.

Cieszę się, że do górnictwa trafił syn. Choć w czasie studiów na Politechnice Wrocławskiej miał stypendium fundowane z „Rudnej", nie chcieli go zatrudnić, ze względu na limity. Właściwie to dla niego zdecydowałem się przejść na emeryturę. Zwolniłem więc miejsce i dopiero wtedy syna przyjęli. ■

**Zamiast normalnych dwóch wytopów, robiono trzy, ostatni zwykle na zmianie nocnej. Wtedy również gazy spalinowe, zawierające kwas siarkowy i olbrzymie ilości pyłu, wypuszczano w powietrze kominkami awaryjnymi. Pył osadzający się na dachu stanowił obciążenie konstrukcji, zwłaszcza gdy padał deszcz. W końcu doszło do katastrofy. Pamiętam, pracowaliśmy wtedy w straszliwym napięciu dzień i noc.**

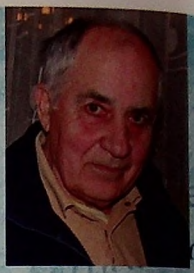

*Spiro Gagaczowski, pracownik laboratorium w Zakładzie Doświadczalnym KGHM, kierownik Wydziału Remontów Hutniczych w Zakładzie Remontowo-Montażowym, dyrektor ds. produkcji w PPH „Ksante". Pracował w latach 1968-2004*

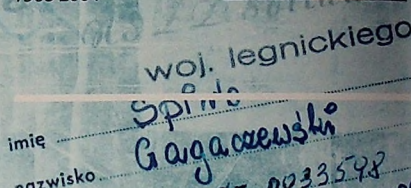


# Coś się we mnie uruchomiło i wypaliłem

Czerwiec 2003 roku, w Salonikach późnym wieczorem ląduje samolot z dużą grupą polskich turystów. Wśród udających się na Riwierę Olimpijską jest Spiro Gagaczowski i jego siostra Pola. Rodzeństwo z obawą podchodzi do odprawy paszportowej z powodu swoich imion i miejsca urodzenia, zdradzających ich macedońskie pochodzenie.

– Nie wiedzieliśmy, czy Grecy wpuszczą nas do kraju, który jako dzieci musieliśmy opuścić – nawiązuje do tamtej wyprawy Spiro Gagaczowski.

Jednak bez problemów udało się przejść grecką kontrolę. Po kilkudniowym odpoczynku nad Morzem Egejskim wynajęli dwa samochody i w towarzystwie swoich małżonków oraz kilku bliskich znajomych wyruszyli w pierwszą po 54 latach podróż do rodzinnej wioski Buf.

Wśród zarośli i chaszczy zachowało się kilkanaście zamieszkałych i kilka opuszczonych domów. Wioska, która niegdyś liczyła 2600 mieszkańców, jakby wymarła. Z trudem odkrywali miejsca, które niegdyś tętniły życiem. Wypatrzyli olbrzymi głaz, ich rodzinny dom stał kiedyś obok niego. Jeszcze większy żal dopadł ich na cmentarzu, gdzie porządkowali groby najbliższych (matki, dziadka, stryjenki) i zapalili znicze przywiezione z Polski.

## Z Macedonii do Polski

Urodził się w Macedonii Egejskiej. W 1946 roku rozpoczęła się tam okrutna i krwawa woj-

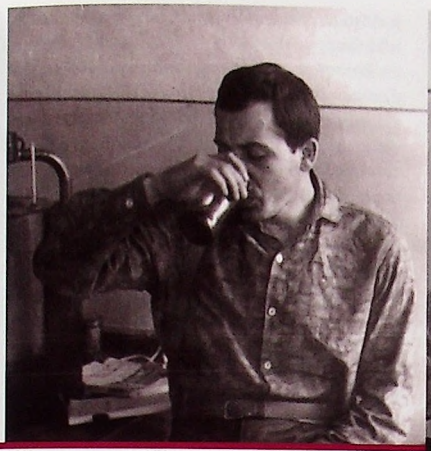

*1968 rok, Spiro Gagaczowski po wyjeździe z dołu, gdzie pobierał próbki. Pragnienie najlepiej gasi miętowa herbata.*

na pomiędzy popierającą króla i monarchię prawicą, a komunistyczną Demokratyczną Armią Grecji. Jej partyzanckie bojówki stacjonowały przeważnie w górach, na północy Grecji, gdzie mieszkali Macedończycy (w odróżnieniu od Greków są Słowianami). Macedończycy dobrowolnie lub przymusowo walczyli po stronie komunistów. Spiro miał 9 lat, gdy jego ojciec Korun Gagaczowski został partyzantem.

– Nasza wioska Buf znajdowała się na linii frontu. Żyliśmy w poczuciu ciągłego zagrożenia. W 1948 roku umarła mama. Nieco później, decyzją komunistycznych władz Demokratycznej Armii Grecji, wywieziono z Macedonii około 28 tysięcy dzieci, z czego ponad 3,5 tysiąca trafiło do Polski. W tej grupie byłem ja i moje rodzeństwo: Poleksyja, Andrea, Done, jak również kuzynka Lena – wylicza Spiro Gagaczowski.

Przypłynęli statkiem do Gdyni. Potem przez dwa dni przemierzali Polskę koleją. Pociąg stanął w Dusznikach Zdroju. Tam na dworcu przesiedli się do samochodów wojskowych, którymi rozwożono przybyszów po pobliskich kurortach.

– Pamiętam, staliśmy w dużym holu jednego z ośrodków. Byliśmy schorowani, wynędzniali, obdarci, przerażeni, a grupa mężczyzn i kobiet patrzyła na nas ze współczuciem. Niektórzy próbowali się do nas uśmiechać. Nie protestowaliśmy, gdy rozdzielano nas - chłopców na jedną a dziewczęta na drugą stronę. Może z braku sił, a może wskutek rodzącego się zaufania – zastanawia się pan Gagaczowski.

## W ideologicznym maglu

Po trzech miesiącach leczenia i rekonwalescencji, z początkiem 1950 roku uchodźców z Dusznik, Lądka Zdroju, Międzygórza, Szczawna Zdroju przewieziono do domu dziecka w Zgorzelcu. Faktycznie był to zespół poniemieckich koszar zaadaptowany na potrzeby przybyłych dzieci. Po roku znów zmieniono im miejsce pobytu na Szklarską Porębę, Płakowice, a następnie Państwowy Ośrodek Wychowawczy w Policach koło Szczecina.

– Opiekę nad naszym ideowym wychowaniem, za zgodą władz polskich, sprawowali greccy towarzysze na czele z K.S. Sidoropulosem ps. Rygas. Wszędzie, gdzie przebywaliśmy, obowiązywał światopogląd laicki, komunistycz-

ny oraz najważniejsza idea ciągłej walki o pokój i demokrację. Wychwalając osiągnięcia Kraju Rad, uczono nas życiorysów twórców Manifestu komunistycznego, jak również Józefa Stalina, Lenina, Bieruta i Zachariadisa – wylicza. – Zmuszano nas, by do wszystkich dorosłych pracujących w naszym domu, nie wyłączając kucharza, zwracać się per... towarzyszu.

## Namiastka domu

We wrześniu 1953 roku Czerwony Krzyż, w ramach łączenia rodzin, umożliwił Korunowi Gagaczowskiemu przyjazd za dziećmi do Polski. Pierwsze spotkanie, po 4 latach rozłąki, odbyło się w Zgorzelcu. Zaraz potem Korun Gagaczowski został przeniesiony do Legnicy. Zakwaterowano go w „greckiej" kamienicy przy ul. R. Luksemburg, obecnie Rycerska. Był bez grosza, nie znał języka polskiego. Na szczęście szybko otrzymał pracę palacza kotłowego w Szpitalu Jednostki Armii Radzieckiej przy ul. Złotoryjskiej. Przydzielono mu także w opuszczonym budynku mieszkanie. Zarobki miał marne, nie było go stać na utrzymanie piątki dzieci, więc zostały w Państwowym Ośrodku Wychowawczym w Policach.

– Ojciec niewiele zarabiał, chwytał się jednak dodatkowych prac i powoli organizował nasz dom. Pisał do nas często. Niemal w każdym liście powtarzał: „Uczcie się, dopóki możecie". Myślę, że był z nas dumny. Z czasem udało mu się stworzyć znośne warunki, by móc nas przyjmować. Wakacje w 1954 roku spędziliśmy w Legnicy - pierwszy raz razem – wspomina Spiro Gagaczowski. – Od tego czasu każde święta i jeden miesiąc letni należały do rodziny.

## Złożyłem obietnicę

We wrześniu 1956 roku młody Spiro rozpoczął naukę w Liceum Ogólnokształcącym w Szczecinie. Dzięki temu, wraz z młodszym bratem, który uczył się w szczecińskiej podstawówce, dołączyli do starszego rodzeństwa i również zamieszkali w internacie liceum.

– W 1962 roku nasz ojciec nagle zmarł. Był to dla nas wszystkich straszny cios. Na pół roku przed śmiercią obiecałem mu, że po liceum pójdę na studia. Robiłem wszystko, by dotrzymać danego mu słowa – zapewnia Spiro Gagaczowski. – Podczas gdy moi bracia studiowali medycynę, a siostra Pola w Wyższej Szkole Rolniczej, ja dostałem się na Wydział Chemiczny Politechniki Szczecińskiej

Po śmierci ojca pieczę nad naszym legnickim domem przejęła Pola, bo pierwsza z czwórki Gagaczowskich skończyła studia i dostała pracę w legnickim browarze. Pozostałe rodzeństwo wracało do domu stworzonego przez ojca w przerwach od nauki.

– Nie wiedząc kiedy, wrastaliśmy w tę nową ojczyznę. Wykorzystaliśmy możliwości, które dał nam PRL w stu procentach: lokum i wyżywienie bezpłatne, bezpłatna nauka, stypendium. Była jeszcze możliwość dorabiania w studenckiej spółdzielni „Bratniak" – wspomina pan Gagaczowski. – Chodziłem do portu i rozładowywałem statki ze śledziami i rudą. Dzięki temu po ukończeniu studiów miałem 3,5 tysiąca złotych na książeczce.

## Od spalin do korozji

W 1968 roku, zaraz po ukończeniu studiów chemicznych, Spiro Gagaczowski ożenił się z Anną Tutorską, koleżanką z wydziału. Oczywiście zamieszkali w legnickim domu.

– Szukałem pracy w Legnicy lub jej pobliżu. Akurat w Zakładzie Doświadczalnym KGHM w Lubinie potrzebowali chemików do laboratorium – opowiada o okolicznościach przyjęcia do ZD KGHM. – Moim pierwszym szefem był inż. Wojciech Czajowski, wspaniały człowiek i specjalista. To pod jego nadzorem badaliśmy w laboratorium gazy spalinowe pod kątem zawartości dwutlenku siarki. Zjeżdżaliśmy na dół, pobieraliśmy specjalnymi pompkami do pipet spaliny wydechowe, emitowane przez maszyny i urządzenia górnicze, i oznaczaliśmy ich skład, mając na uwadze bezpieczeństwo oraz unormowania prawne.

Nieco później zajął się problemem korozji. – Nawiązaliśmy współpracę z Politechniką Gdańską a dokładniej z prof. Romualdem Juchniewiczem, wybitnym specjalistą z zakresu korozji – mówi z satysfakcją. – Jego rozwiązania inżynierskie znalazły m.in. zastosowanie w ochronie przed korozją konstrukcji szybów kopalnianych „Lubina", „Polkowic" i „Rudnej".

Odrębnym problemem analizowanym w laboratorium był wpływ środowiska kopalnianego na różnego rodzaju farby.

– Z naszych doświadczeń i badań porównawczych wynikało, że najbardziej korzystne

w stosowaniu są farby epoksydowe dwuskładnikowe, których spoiwem są żywice epoksydowe (tworzywa chemoutwardzalne) – objaśnia pan Spiro. – Za pomocą tych farb uzyskuje się powłokę trwałą, odporną na czynniki mechaniczne i chemiczne, a także na wodę, oleje, zasady i wiele rozpuszczalników. Na drugim miejscu przydatności były farby chlorokauczukowe a następnie poliwinylowe. Nasze wyniki prac badawczych trafiały do zarządu kombinatu. Tam zapadały ostateczne decyzje o ich praktycznym zastosowaniu.

## Niby zwykłe machanie pędzlem

W 1971 Gagaczowscy przeprowadzili się do nowego mieszkania w wieżowcu, przy ulicy Kilińskiego w Lubinie. Względy finansowe zadecydowały również o podjęciu pracy w nowo utworzonym Zakładzie Remontowo-Montażowym z siedzibą w ZG Lubin, który powołano dla świadczenia usług remontowych i montażowych w zakładach KGHM. Pan Spiro szybko awansował na kierownika działu antykorozyjnego.

– Skierowano nas między innymi do prac w hucie Głogów I. Zajmowaliśmy się przede wszystkim zabezpieczeniami antykorozyjnymi metalowych konstrukcji – opowiada pan Spiro. – Każdą jedną przed malowaniem należało wypiaskować do gołego metalu. Aby uzyskać minimalną powłokę o grubości 0,5 milimetra, należało konstrukcję pokryć dwukrotnie warstwą podkładową i trzykrotnie warstwą nawierzchniową. Prace w gruncie rzeczy proste, bo polegające w większości na machaniu pędzlem, ale w warunkach szczególnie uciążliwych.

Kiedyś, na wydziale metalurgicznym, jeden z pracowników malował od wewnątrz duży rurociąg o średnicy 2 m, który miał doprowadzać świeże powietrze do czerpni. Powinien to robić w hełmofonie. Niestety uznał, że będzie mu niewygodnie i pod pretekstem, że hełmofon spowolni prace, osłony nie założył. Malował przez pewien czas, aż w końcu stracił przytomność. Gdyby nie pomoc kolegów pracujących w pobliżu, zwykłe machanie pędzlem mogłoby się skończyć tragicznie.

Mniej szczęścia miał pracownik, który dla wydziału elektrorafinacji pokrywał warstwą farby olbrzymie blachy o wymiarach 12 m długości i wys. 1,5 metra. Pracował na zewnątrz, rozszalał się huragan, on jednak koniecznie chciał dokończyć robotę. Niestety podpory, na których opierała się jedna z blach, nie wytrzymały, olbrzymi płat spadł i przywalił go całym swoim ciężarem.

## Pył wyniszczał konstrukcje

Do najtragiczniejszego zdarzenia doszło w 1974 roku, wtedy runął dach hali pieców szybowych. Stumetrowa konstrukcja hali o ponad 20-metrowej szerokości została doszczętnie zniszczona. Zatrzymano produkcję. Spod rumowiska wydobyto szesnastu ludzi. Dziesięciu pracowników, w większości z firm podwykonawczych, zginęło na miejscu.

– Na tę tragedię złożyło się wiele czynników – analizuje zdarzenie. – Przede wszystkim ogromne zapylenie, pośpiech i chęć wyprodukowania jak największej ilości miedzi. Zamiast normalnych dwóch wytopów - robiono trzy - ostatni zwykle na zmianie nocnej. Wtedy również gazy spalinowe, zawierające kwas siarkowy i olbrzymie ilości pyłu, wypuszczano w powietrze kominkami awaryjnymi. Pył osadzający się na dachu stanowił obciążenie konstrukcji, zwłaszcza gdy padał deszcz. W końcu doszło do katastrofy. Pamiętam, pracowaliśmy w straszliwym napięciu dzień i noc...

## Za racjonalizację do USA

W 1977 roku Spiro Gagaczowski awansował na kierownika największego w firmie Wydziału Remontów Hutniczych na „Głogowie". Wydział, liczący prawie 600 pracowników, tworzyły oddziały: antykorozyjny, budowlany, mechaniczny, robót ołowiarskich i wymurówek piecowych. Każdy z nich miał swojego kierownika, ale nad całością czuwał szef Gagaczowski. Miał ogromną satysfakcję, że to właśnie jemu, emigrantowi legitymującemu się „Kartą Stałego Pobytu", powierzono tak odpowiedzialne stanowisko. Za wszelką cenę chciał podołać nowym obowiązkom. To wiązało się z koniecznością dokształcania się na własną rękę.

– Wypożyczałem książki w bibliotece technicznej, działającej przy KGHM. Na bazie zdobytej teorii, opracowywałem plany pracy i, w uzgodnieniu z inspektorem nadzoru, szczegółowe instrukcje. Radziłem się również ludzi bardziej doświadczonych z innych firm podwykonawczych, jak np. wrocławskiego oddziału Piecobudowy, Mostostalu czy Energomontażu.

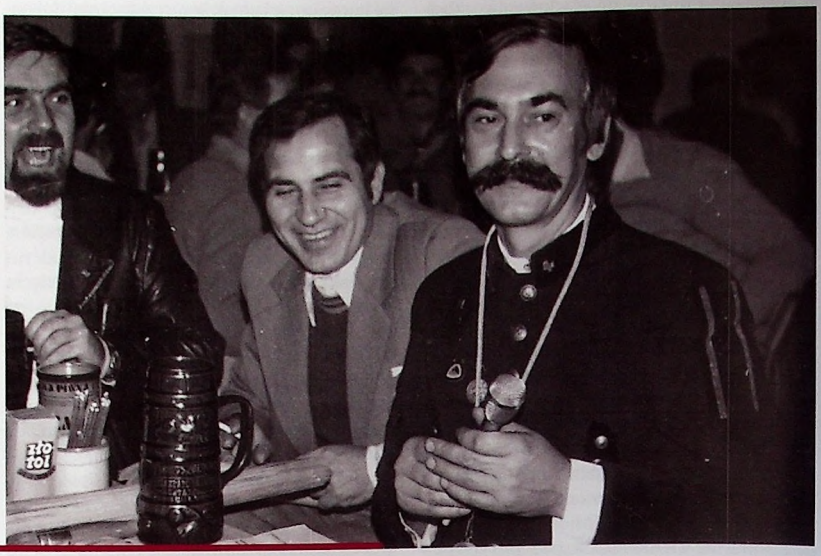

*Grudzień 1981, Karczma Piwna w ZRM. Od lewej: Edward Kretowicz, przewodniczący zakładowej „Solidarności", Spiro Gagaczowski oraz Jan Szmit, dyr. ds. hutnictwa w ZRM.*

Chętnie mnie wspierali swoim doświadczeniem i wiedzą, Nie przerażał mnie też ogrom obowiązków, może dlatego, że we wszystkich domach dziecka, przez które przeszedłem, wbijano mi do głowy, że w życiu samemu trzeba dawać sobie radę.

Pracując w ZRM pan Gagaczowski opracował kilka projektów racjonalizatorskich. Składał je w ZRM, w hucie Głogów i w kopalniach. Za jeden z wniosków dostał 20 tys. zł. Dzięki temu opłacił sobie podróż do USA i po latach odwiedził bliską rodzinę, która z Buf wyjechała za ocean.

## ▪ Nie jestem „towarzyszem"

Przysłowiowe pranie dziecięcych mózgów, zwłaszcza w pierwszych latach pobytu w Polsce, gdzie wiara w Stalina miała zastąpić wiarę w Boga i wartości przekazywane przez rodziców, w przypadku Spiro Gagaczowskiego na nic się zdało.

– Już „polski październik 56" całkowicie wyleczył mnie ze ślepego uwielbienia dla Związku Radzieckiego. Nigdy też nie zapisałem się do partii – podkreśla. – Zawsze chciałem, by oceniano mnie za umiejętności i kompetencje. Gdy w 1980 roku wybuchły robotnicze strajki, złożył mi wizytę na wydziale Zbigniew Korpaczewski, sekretarz wojewódzki KW PZPR w towarzystwie sekretarza zakładowej POP i zwrócił się do mnie per „towarzyszu". Nie wiem, coś się wtedy we mnie uruchomiło i wypaliłem: „Przepraszam pana, ja nie jestem żadnym towarzyszem, co najwyżej sympatykiem partii!". Sekretarz oburzył się moją wypowiedzią. Dwa tygodnie później usunięto mnie z funkcji szefa Wydziału Remontów Hutniczych. Pozwolono mi jednak pozostać w firmie na stanowisku kierownika kontroli jakości. W tym czasie również wszedłem do zarządu zakładowej „Solidarności". Byłem jedynym inżynierem, któremu związkowcy tak mocno zaufali. Jednak z powodu tego zaufania wielu kolegów bało się ze mną rozmawiać. Stałem się osobą „niebezpieczną". Kilka razy wzywano mnie na milicję, by się dowiedzieć, co zamierzam robić w pierwszomajowe święto. Czułem ogromny dyskomfort, presję, irytację i zniechęcenie do pracy. W końcu odszedłem z firmy.

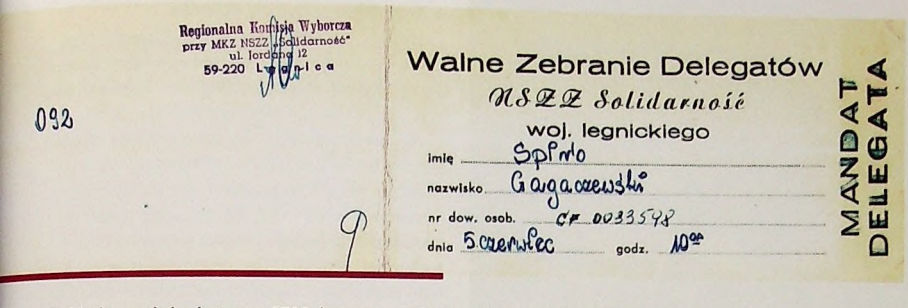
Regionalna Komisja Wyborcza
przy MKZ NSZZ „Solidarność"
ul. Jordana 12
59-220 Legnica

092

9

Walne Zebranie Delegatów
NSZZ Solidarność
woj. legnickiego
imię Spiro
nazwisko Gagaczewski
nr dow. osob. CF 0033548
dnia 5 czerwiec godz. 10

MANDAT DELEGATA

*Był jedynym inżynierem w ZRM, któremu związkowcy z „Solidarności" mocno zaufali.*

Spiro Gagaczowski zawsze był zaradny. Założył prywatny zakład zabezpieczeń antykorozyjnych i naprawy drobnych stłuczek samochodowych. Jak zapewnia, zarabiał dobrze, dzięki czemu udało się szybko spłacić pożyczkę na dom jednorodzinny wybudowany w Lubinie.

Po upływie roku zgłosili się ludzie z PeBeKa i zaproponowali mu poprowadzenie, a raczej wyprowadzenie z opałów Oddziału Wytwórni Klejów, produkującego ładunki klejowe do kotew.

– Nim mnie przyjęto, ponownie stanąłem przed komisją partyjną. Pytano o „Solidarność" i powody, dla których zapisałem się do związku. Mówiłem zgodnie z prawdą: „Należałem, bo czułem taką potrzebę" – objaśnia pan Spiro. – Widocznie nie spodobało się to wysokiej komisji, bo organizacja partyjna mnie nie zaakceptowała. Przypadkiem sprawa doszła do pana Petera, sekretarza POP z PeBeKa i naszego sąsiada. Zadzwonił do dyrekcji PeBeKa i poręczył za mnie. Myślę, że dyrektor nigdy nie żałował swojej decyzji. A ja wyprostowałem w Wytwórni wiele różnych spraw. Po restrukturyzacji KGHM stworzono z niej spółkę chemii górniczej „Ksante".

Nieco później pan Spiro objął funkcję dyrektora do spraw produkcji w PPH „Ksante"

*Rok 1999. Rudna Główna. Wizyta na dole w związku z wdrażaniem nowej technologii. Od lewej dyr. Spiro Gagaczowski i technolog Marek Andrachiewicz.*

*Rok 2000. Odbiór nowej instalacji do produkcji ksantogenianów. Od lewej dyr. Spiro Gagaczowski, kier. działu mechanicznego, Zbigniew Tutaj oraz Łukasz Latos, kier. wydziału produkcji ksantogenianów.*

z siedzibą w Polkowicach. Spółka zajmowała się produkcją żywiczych ładunków klejowych do kotwienia oraz ksantogenianów - podstawowych odczynników sterujących, używanych w procesie flotacji, i rozpuszczalników alkoholowych stosowanych w hutach do obróbki miedzi elektrolitycznej. Znów poczuł się na swoim miejscu.

## ▪ Tam, gdzie zaczął się eksodus

Mimo pochłaniającej codzienności, Gagaczowscy nie ustawali w próbach odwiedzenia Buf - miejsca swojego urodzenia. Niestety, nawet gdy po latach poszczególni członkowie rodziny otrzymali obywatelstwo polskie, władze greckie konsekwentnie odmawiały im wiz wjazdowych. Na rok przed pójściem na emeryturę, w czerwcu 2003 roku, Spiro Gagaczowski wraz z siostrą Polą podjęli kolejną próbę dotarcia do rodzinnej wioski. Tym razem na granicy nie było problemów. Niestety, sam powrót do miejsca dzieciństwa przyniósł rozczarowania, ale jednocześnie chęć ocalenia od całkowitego zapomnienia tego szczególnego dla nich miejsca.

– Po powrocie do kraju jeden z kolegów zachęcił mnie, bym spisał wszystko, co pamiętam o tamtych czasach. Uporządkowałem swoje wspomnienia oraz te przekazane mi przez ojca i rodzeństwo, i napisałem książkę „Pożegnanie z Ojczyzną" – wskazuje na leżący na stole egzemplarz. – Jestem dzieckiem dwóch ojczyzn: Macedonii i Polski, z którą zetknął mnie los.

***

Z potrzeby utrwalenia przeszłości powstała druga książka, w której pan Spiro zawarł historię rodzinną swojej małżonki. Obecnie redaguje już trzecią pozycję, będącą dalszym ciągiem rodzinnej historii Gagaczowskich. Poświęca ją dzieciom: synowi Stawrowi - Maciejowi i córce Natalii.

– Staraliśmy się wychować dzieci, jak najlepiej potrafiliśmy. Tak, aby w przyszłości mogły zapewnić sobie należyty byt – podsumowuje pan Gagaczowski. – Sądzę, że nam się to udało. Dzieci pokończyły studia, podjęły pracę, pozakładały własne rodziny i obdarzyły nas wspaniałymi wnukami – naszym drugim pokoleniem urodzonym w Polsce. ■

**Poczułem zimny pot na plecach. Pierwsza myśl: Jak można było się jednego chłopa nie doliczyć!? On mi teraz wstaje? Rozgarniam kamienie, chcę mu pomóc, ale zaraz opamiętuję się: to przecież niemożliwe. Co jest? Może spąg wyciska i będzie kolejny wyrzut?**

*Henryk Radek, sztygar zmianowy w ZG Lubin, kierownik oddziału i nadsztygar w ZG Rudna, dyrektor JRGH. Pracował w latach 1970 - 1999*

# Gwiazdki oficerskie zobowiązują

– Moi rodzice poznali się na robotach w Niemczech. Gdy w 1946 roku przyjechali do Głogowa, miałem dwa miesiące. Zatem z czystym sumieniem mogę powiedzieć, że jestem głogowianinem z urodzenia a także z wyboru – zaczyna swoją opowieść Henryk Radek. – Z początkiem lat sześćdziesiątych, kiedy zacząłem naukę w jedynym w Głogowie ogólniaku, dotarły do szkoły wieści o rozpoczęciu głębienia pierwszego szybu kopalni Lubin. Mówiono, że rozwijający się przemysł górniczy będzie potrzebował olbrzymią ilość ludzi. Ale ja marzyłem, by zostać strażakiem, choć w tym czasie straż pożarna była przede wszystkim służbą do gaszenia.

Po maturze ochota na naukę w Szkole Oficerów Pożarnictwa w Warszawie trochę mu przeszła. Wybrał krakowską Akademię Górniczo-Hutniczą (wydział górniczy), bo jako głogowianin zaczął wiązać swoją przyszłość z przemysłem miedziowym. W maju 1970 roku inżynier Radek rozpoczął pracę na Miedzi. Początkowo w Zakładzie Doświadczalnym, a po kilku miesiącach trafił na oddział wydobywczy do ZG Lubin, pod skrzydła Jerzego Markowskiego (późniejszego dyrektora kopalni).

– Powierzono mi, podobnie jak moim kolegom: Kazikowi Kuźniarowi, Wieśkowi Rychterowi i Zdzichowi Śmiei, funkcję sztygara zmianowego. Zarządzałem ludźmi sporo starszymi, od których wiele się nauczyłem. Dobrze wspominam z tego okresu Stefana Maciejewskiego, Edka Wiadernego, Bogdana Wiśniewskiego i Zbyszka Sikorskiego – wylicza Henryk Radek.

## ▪ Przycisnęło go do stropu

W listopadzie 1974 roku przeszedł do pracy na „Rudną", która w tym czasie dochodziła do 25 procent projektowanej zdolności wydobywczej, co było podstawę do przekształcenia jej w kopalnię. Skala robót inwestycyjnych na dole i na powierzchni miała o wiele większy wymiar niż w ZG Lubin. Zmieniła się również dyrekcja

„Rudnej". Włodzimierz Mięsowicz przeszedł na budowę kopalni „Sieroszowice", a jego miejsce zajął Zenon Słowiński.

– Nowy dyrektor ściągnął Jana Sadeckiego, Jana Foligowskiego, Stanisława Radziszewskiego, Ryszarda Furmaniewicza i nas młodych inżynierów, którym powierzył kierownictwo oddziałów. Wiktor Błądek dostał oddział G-1, Gienek Kranc G-11, a ja zostałem kierownikiem, a właściwie „ojcem" oddziału G-3, gdyż od początku go tworzyłem. „Rudna" miała swoje specyficzne problemy. Ze względu na dużą głębokość eksploatacji nasilała się skala zagrożeń związanych z ciśnieniem górotworu i wysokimi temperaturami skał. Wciąż brakowało rąk do pracy. Miałem też ludzi niedoświadczonych, a nawet (jak się okazało) czasem bez uprawnień. Ot, choćby taki przypadek. Chojrak wiózł na wysięgniku młodego górnika. W pewnym momencie najechał na muldę. Wysięgnikiem gibnęło i chłopak został przyciśnięty do stropu. Ileż miałem wtedy kłopotów! Okazało się, że operator PNB 3K wprowadził mnie w błąd, ponieważ nie miał uprawnień. Zawieszono mnie na dwa miesiące w obowiązkach. Na szczęście „młody" po kilku miesiącach leczenia wrócił do pracy, a sprawca zamieszania zdobył odpowiednie dokumenty.

*ZG Rudna. Kierownicy oddziałów, od lewej: Henryk Radek, Henryk Kamiński (przyszły dyrektor ZRG (SOWI) i Mirosław Flakowski.*

## ▪ Błądek mi nie wybaczył

W pierwszej fazie budowy „Rudnej" urobek w większości pochodził z wyrobisk przygotowawczych a wydobycie w końcu 1974 roku wynosiło około 1856 tys. ton rudy, z czego załoga własna (ZG Rudna) wciągnęła 666,3 tysiące. Jednak przygotowanie nowych oddziałów wybierkowych i opanowanie przez górników technologii urabiania złoża, spowodowało bardzo szybki wzrost wydajności. Do końca maja 1975 roku ufedrowano łącznie 5 mln ton rudy, a poszczególne oddziały ustanawiały pierwsze rekordy.

– Pamiętam, w lipcu 1975 roku załoga mojego oddziału (G-3) wydobyła w ciągu doby 2050 ton rudy. Lepszy był tylko oddział G-11, który uzyskał ponad 2200 ton – wspomina Henryk Radek. – Ale był taki miesiąc, że zrobiliśmy 611 metrów bieżących wyrobisk. Naprawdę był to niepowtarzalny wyczyn. Wiktor Błądek, z którym wtedy rywalizowałem, do dzisiaj nie chce mi tego zapomnieć.

## ▪ Będę przy was leżał

Służba ratownicza od samego początku pracy zawodowej bardzo go pociągała. Rzecz jasna, nie chodziło tu o pieniądze, bo dodatek ratowniczy starczał może na pół albo na litr wódki, ale o słuszną ideę i kontynuowanie młodzieńczej pasji. Kiedy po paru latach przeniesiono go na Rudną Zachodnią, miał już za sobą kilka akcji. Na „Zachodzie" od podstaw organizował oddział G-15. Nieco później awansował na nadsztygara górniczego.

Nadsztygar, to pod nieobecność Kierownika Robót Górniczych, najwyższe stanowisko na rejonie. Do jego obowiązków należy między innymi prowadzenie odpraw, przyjmowanie raportów po zmianie, kontrolowanie obudowy w głównych wyrobiskach transportowych i nadzór nad przebiegiem prac, a także w określonej sytuacji dopuszczanie oddziałów do ruchu.

Niektórzy twierdzą, że funkcja nadsztygara to najlepsza fucha w kopalni. Pan Radek stanowczo sprzeciwia się tej opinii, podkreślając, że do najtrudniejszych decyzji w kopalni zawsze

należały te, dotyczące dopuszczania oddziałów do pracy. Opowiada, jak kiedyś, nocą, tąpnęło na G-4.

– Pierwsza zmiana wyczekiwała, na drugiej musiałem dopuścić oddział do ruchu. Zjechałem na dół i z przodowym przeszliśmy po oddziale. Wszystko obstukałem, sprawdziłem. W jednym miejscu przysypało maszynę, obejrzałem ją i uznałem, że jest do wyciągnięcia. Wróciliśmy do komory, gdzie czekali ludzie. „Panowie, jest wszystko w porządku, możecie iść do roboty" – zadecydowałem. Ludzie wrócili do pracy, a ja poszedłem na podsadzkę. Nagle telefon: „Heniek, oddziałem znów zaczęło „robić" i wszyscy pouciekali!". Łączę się ze stacją sejsmiczną, a tam o kolejnym wstrząsie nic nie wiedzą. Wracam na odział wydobywczy i znowu z przodowym i sztygarem obchodzimy przodki. Nic się jednak nie dzieje. Jestem na komorze. „Panowie, na moją odpowiedzialność macie iść na stanowiska. Przecież wszyscy przyjechaliśmy do roboty" – dodaję. – Oni jednak wciąż się boją. Wtedy wybucham: „K... wa, powiedzcie mi gdzie, to pójdę z wami i będę leżał przy was na tej kufajce. Ale musicie już do końca zmiany fedrować!".

„Panie inżynierze, niech pan siada ze mną na wóz" – poprosił jeden z operatorów. Usiadłem. Całą zmianę z nim przejeździłem. Do dziś pamiętam szczęśliwe twarze górników po zakończonej szychcie. Cieszyli się, że nic się nie stało, że nafedrowali, i że cały czas byłem z nimi.

## ▪ Jakby przysypany wstawał...

Przywoływanie wspomnień jak w dominie uruchamia pamięć. Pan Radek nawiązuje do zdarzenia, które miało miejsce na oddziale G-11, na Rudnej Zachodniej. Kierownikiem robót górniczych był wtedy Eugeniusz Kranc.

– Na pierwszej zmianie doszło do tąpnięcia. Ratownicy zjechali na dół, ewakuowali ludzi. Potem został wywieziony górnik, który zginął przy wiertnicy. Na drugiej zmianie, na miejsce wypadku zjechała komisja, ale wciąż nie dopuszczano oddziału do ruchu – przedstawia sytuację. – Objąłem trzecią zmianę. Miałem wyciągnąć tę przywaloną wiertnicę. Pojechaliśmy z operatorem dużej ładowarki ŁK-2 na ten zatąpany oddział. On wjechał maszyną na początek oddziału i wybierał urobek po wybuchu skał. Stałem mocno schylony na wybieranym pasie, bo urobek w tym miejscu podchodził prawie pod strop. W pewnej chwili, było to po północy, zwałowisko znajdujące się przede mną zaczyna rosnąć, jakby nagle ktoś przysypany wstawał... Poczułem zimny pot na plecach. Pierwsza myśl: Jak można było nie doliczyć się jednego chłopa?! On mi teraz wstaje! Rozgarniam kamienie, chcę mu pomóc, ale zaraz opanowuję się: to przecież niemożliwe. Co jest? Może spąg wyciska i będzie kolejny wyrzut? Nagle mnie oświeca: wiertnica wjeżdżając do przodka, rozciągnęła wąż, pewnie zrobiła się na nim pętla. Gdy operator nabrał kamieni, pętla rozprężyła się i wysadziła skały!

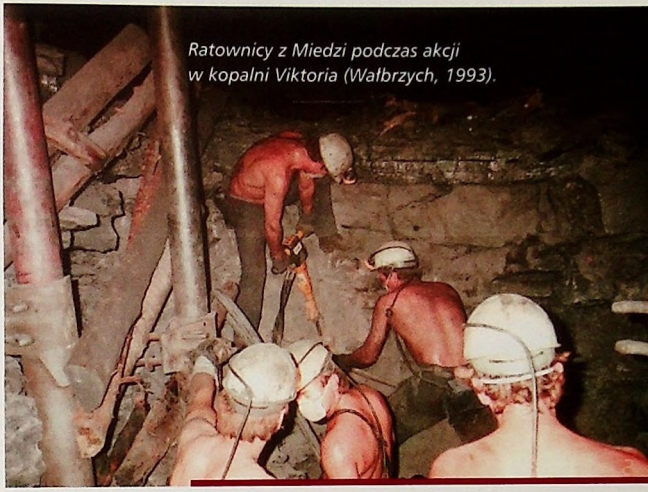

*Ratownicy z Miedzi podczas akcji w kopalni Viktoria (Wałbrzych, 1993).*

Do końca zmiany nic się nie wydarzyło i nie przerwaliśmy roboty. Kiedy rano, na odprawie, w biurze nadsztygarów, opowiedziałem o nocnych emocjach, Kranc odrzekł: „Po coś tam został! Miałeś spierniczać, przecież to wszystko było świeże!". Ale ja swoje zrobiłem, choć nieco później roboty w tym rejonie zostały zarzucone, bo od tego wypadku zaczęło na nim strasznie tąpać.

## Kaperowałem ludzi w ich domach

Prawie równolegle z awansem zawodowym, pan Radek zdobywał kolejne stopnie ratowniczej hierarchii: z ratownika przeszedł na zastępowego a nieco później, po odbyciu kursu w Centralnej Stacji Ratownictwa Górniczego w Bytomiu, na kierownika kopalnianej stacji ratownictwa górniczego. W tym czasie, jako inż. ds. podsadzki, uczestniczył we wdrażaniu nowych systemów likwidacji wybranej przestrzeni za pomocą podsadzki hydraulicznej.

– Nie powiem, baliśmy się tego ciśnienia – przyznaje po latach pan Radek. – Wcześniej nikt w polskim górnictwie nie wpuszczał podsadzki na głębokość 1000 metrów, przy ciśnieniu hydrostatycznym słupa wody i piasku rzędu ponad 100 atmosfer. Żeby wykonać to zadanie, potrzebowałem doświadczonych fachowców z „Lubina". Więc ich werbowałem, nie zważając na to, że dyrekcja ZG Lubin była oburzona tym kaperowaniem. Kiedy zakazano mi wstępu na kopalnię, odwiedzałem ludzi w ich domach. Udało się pozyskać Żuchowskiego (imienia nie pamiętam), Stanisława Delczyka, Henryka Tymińskiego, Bernarda Rosata i paru innych. To naprawdę dobrzy fachowcy. Dzięki współpracy z nimi mogliśmy wpuścić pierwsze pół miliona podsadzki bez problemów – mówi z satysfakcją.

*Podczas uroczystości barbórkowej w Centralnej Stacji Ratownictwa Górniczego w Bytomiu. Henryk Radek na „beczce" (1995).*

## Już trochę przeżyłem

Rok 1991, w którym pan Radek przeszedł do Okręgowej Stacji Ratownictwa Górniczego i został zawodowym ratownikiem (kierownikiem pogotowia górniczego), był szczególnie trudny dla całej rodziny Radków. Wówczas zmarł ich syn Marcin. Może zmiana miejsca pracy i potrzeba tłumiącej ból adrenaliny pomogły przetrwać ten ciężki czas.

Nigdy się nie oszczędzał. Kiedyś, jako kierownik drużyny, pojechał do akcji przeciwpożarowej na Rudną Główną, gdzie palił się magazyn i komórka oddziału M-1. Ogień był bardzo blisko szybu.

– Najpierw ewakuowaliśmy ludzi, potem w to zadymione i płonące pomieszczenie puściłem, oczywiście w maskach i aparatach, jeden zastęp. Po chwili wyszli, odnaleźli hydrant, więc postanowiliśmy go odkręcić. Z rurociągu buchnęło przegrzaną parą, poparzyło ratownika „Kiciusia". Kolejny zastęp wszedł do komory, żeby spenetrować jej magazyn. Znaleźli tam na wózku dwie butle z tlenem i acetylenem. Co robić? Uciekać jak najdalej?! Połączyłem się z kolegą ze stacji - Waldkiem Jakubowskim. Ustaliliśmy, że należy wyjechać z butlami gdzieś daleko od ludzi. Niech tam powoli ostygną albo w najgorszym razie wybuchną. Wziąłem za rękę Leona Romanika, który kiedyś pierwszy raz prowadził mnie do akcji na Polkowicach Zachodnich i weszliśmy, oczywiście w ratowniczych aparatach. Przy zerowej widoczności namacałem wózek. Jego opony i węże były ponadpalane. Myślałem: „Jeśli pierdyknie..., no cóż, trochę już przeżyłem!". Ale wyjechaliśmy tym wózkiem do oddalonej przecinki i w nogi! Wtedy mogliśmy już spokojnie ciągnąć linie gaśnicze i gasić pożar. W tej walce z ogniem nie byliśmy sami. Wspierał nas zastęp Jurka Likusa (nieco później zastąpił mnie na stanowisku dyrektora).

Za tę akcję Henryk Radek został odznaczony przez prezydenta Lecha Wałęsę medalem „Za

Ofiarność i Odwagę". Spośród wielu odznaczeń jakie posiada w domowych szufladach, ten medal jest dla niego najcenniejszy.

## Talizman od generała

Złoty okres dla ratowników Miedzi przyszedł w latach 90. Na rynku ukazało się wtedy mnóstwo nowoczesnego sprzętu: hydraulicznego, łącznościowego, oświetleniowego, także geofony i sprzęt pneumatyczny.

– Pierwszą kamerę termowizyjną sprowadziłem dzięki generałowi Ryszardowi Dąbrowie, komendantowi wojewódzkiemu Państwowej Straży Pożarnej w Legnicy, z którą od lat współpracowaliśmy. Przyjeżdżała do nas także wierchuszka z wojewódzkiej komendy we Wrocławiu. Pewnego razu, staraniem generała Dąbrowy, zawitał na naszą Karczmę Piwną generał Maciej Schroeder, z-ca Komendanta Głównego PSP. Po karczmie, na „dożynkach", zawsze załatwiało się wiele fajnych rzeczy. Wówczas generał Schroeder zwrócił się do mnie: „Heniu (bo wtedy przeszliśmy na ty), tobie by się przydała taka termowizyjna kamera o nazwie Talizman. Strażacy sprowadzili jedną do Szkoły Głównej Służby Pożarniczej w Warszawie i tam ją testowali". Zaświeciły mi się oczy do tego sprzętu, mówię: „Słuchaj no Maciek, chcę mieć tę kamerę!". Za kilka dni, gdzieś pod Warszawą, znaleźliśmy dilera od kamer. Prezes Siewierski natychmiast dał na nią pieniądze i w niedługim czasie mieliśmy u siebie pierwszą w polskim ratownictwie kamerę termowizyjną – opowiada z dumą pan Radek. – Pech chciał, że doszło do pożaru na Lubinie Głównym, zapaliło się coś na taśmach. Zadymienie było jak jasna cholera. Powiązaliśmy się liną i poszliśmy do pożaru całym zastępem. Szedłem pierwszy i niosłem właśnie tę kamerą. Taka żółta, trzeba było ją trzymać w ręce i przytykać do maski, ale dzięki temu bardzo szybko doszliśmy do miejsca, gdzie się paliło. Zaraz rozciągnęliśmy linię gaśniczą i bardzo sprawnie ugasiliśmy pożar – nawiązuje do ratowniczych wynalazków. – Teraz już mamy nowoczesne kamery. Każdy zastęp je ma. Ale ta pierwsza kamera, to dopiero było coś!

## Nie zawiodła intuicja

– Będąc dyrektorem stacji, podobnie jak wszyscy inni ratownicy, również brałem sobotnio-niedzielne dyżury. Kiedyś zdarzył się wypadek w kopalni Lubin. Najprawdopodobniej tąpnęło, zawalił się strop na wiertnicę i czterech ludzi. Wzięliśmy ze Stefciem Wałowskim przyrządy, którymi lokalizuje się ludzi i weszliśmy na zawalisko, pod strop, który w dalszym ciągu jeszcze pracował. Chcieliśmy zobaczyć, czy się da kogoś wyciągnąć. Niestety, chodziłem, nawoływałem, nikt się nie odzywał. Nie odebraliśmy też ani jednego sygnału wskazującego na miejsce, gdzie mogą być zasypani. Po chwili usłyszałem, jakby ktoś głośno i głęboko odetchnął. Mówię: „Stefciu, słyszałeś to?". Potwierdził, że słyszał, ale nie był to jednak odgłos człowieka. Nagle coś mnie tknęło: „Stefciu, spadamy stąd!". Uciekaliśmy co sił w nogach. Już z oddali doszło do nas: ryyppss! To strop kolejny raz się obrywał. Intuicja mnie nie zawiodła – dodaje pan Radek. Niestety, po długiej i ciężkiej akcji wydobyliśmy cztery ciała.

Kiedy pada pytanie o lęk przed naturą, przyznaje, że będąc w skrajnie niebezpiecznej sytuacji, w pierwszym odruchu nieraz „chciałoby się dać dyla". Zaraz jednak bierze górę poczucie solidarności, lojalności. No i świadomość noszenia gwiazdek oficerskich zawsze zmusza do opanowania strachu.

## Uratowała ją komora

Początki ratownictwa górniczego na Miedzi wiążą się z uruchomieniem Stacji przy kopalni Lubin. Jej założycielem był inż. Józef Kuświk. Po nim przejął pałeczkę inż. Jerzy Kolasiński, który dokończył budowę siedziby w Sobinie i przeniósł tam Okręgową Stację Ratownictwa Górniczego. Kolejnym jej szefem został inż. Marek Kowalik, a po nim inż. Henryk Radek, który w rozmowie zaznacza, że KGHM na wyposażenie Stacji nigdy nie żałował pieniędzy. Do historii przeszła komora hiperbaryczna, sprowadził ją inż. Kolasiński dla nurków, do dziś dwa ich zastępy są w jednostce.

– To była sobota, popołudnie. Zadzwonił do mnie lekarz ratownik Roman Koronowski: „Panie dyrektorze, zgodzi się pan, żeby umieścić w komorze 18-letnią dziewczynę zatrutą tlenkiem węgla?". „Jeszcze się pytasz? Dawaj ją!" – odpowiedziałem i popędziłem autem do stacji, by mechanicy w trybie alarmowym uruchomili komorę.

Dziewczyna, maturzystka, była nieprzytomna. Lekarz dwukrotnie umieszczał ją na noszach w komorze. Cały czas przy niej czuwał, aby nie doszło do drgawek tlenowych, które zawsze są możliwym powikłaniem leczenia tlenem hiper-

*Komora hiperbaryczna sprowadzona przez dyrektora Jerzego Kolasińskiego.*

barycznym (W takiej sytuacji konieczne jest podanie leku, który przerywa drgawki). W trakcie dwóch sesji leczniczych dziewczyna odzyskała przytomność. Trudno sobie wyobrazić lepszy obrót sprawy...

**▪ Wtedy powiedziałem „nie"**

Proces restrukturyzacji zachodzący w KGHM, w 1997 roku dotarł również do Jednostki Ratownictwa Górniczego w Sobinie. W efekcie została przekształcona w oddział KGHM pod nazwą Jednostka Ratownictwa Górniczo-Hutniczego.

Z chwilą powstania JRGH wszystkie służby związane z ratownictwem górniczym, pożarowym, chemicznym, technicznym, ekologicznym itp. połączono w jedno. Zawarte zostały odpowiednie umowy z oddziałami KGHM na prowadzenie w pełnym zakresie usług ratowniczych, jak też działań profilaktycznych oraz szkoleń. Przekształcenia te, szczególnie sprawdziły się w czasie powodzi w 1997 roku, gdy służby ratownicze JRGH zabezpieczały ciągłość produkcji KGHM, a także zapewniały pomoc okolicznym gminom.

*Sobin, wizyta saperów z VI Pułku Drogowo-Mostowego z Głogowa (1996). W cywilu - Henryk Radek.*

– Wreszcie mogliśmy również wyjść na zewnątrz KGHM, nie tylko po to, by pokazać swoje możliwości, ale także by je konfrontować – wyjaśnia Henryk Radek. – Po raz pierwszy w 1999 roku uczestniczyliśmy w pierwszych Mistrzostwach Ratowników Górniczych w USA, dokładniej w Louisville (stan Kentucky). W przeddzień naszego wyjazdu, gdy miałem już wszystko dopięte, a w kieszeni trzydzieści tysięcy dolarów i bilety na samolot, nowo powołany prezes KGHM Marian Krzemiński odwołał mnie ze stanowiska. Miałem w trybie pilnym zwrócić pieniądze i powierzyć wszystkie sprawy mojemu następcy.

*Louisville, Mistrzostwa Świata Ratowników Górniczych. Reprezentacja ratowników Miedzi: Od prawej (stojący): Henryk Radek, Marek Misiak, Andrzej Czerniawski, Piotr Arłukowicz, Robert Podolski. Poniżej od lewej: Stefan Wałowski (zastępowy), Jerzy Chyliński i Józef Ornatowski. Do kompletu zabrakło Rafała Wiciaka, który również był w miedziowej ekipie.*

– Wtedy powiedziałem: „Nie! Ja wszystko podpisałem, ja za to wszystko odpowiadam! Jeśli nie pojadę na mistrzostwa, to cała ekipa też nie pojedzie. I będzie wstyd, bo z Louisville do Nowego Jorku już wyjechali po nas ludzie z organizacji ratowniczej". Ostatecznie pozwolono mi pojechać z ekipą. Był to wyjazd raczej po naukę niż sukcesy. Ale też nie można powiedzieć, że dostaliśmy baty. Zajęliśmy piąte miejsce. W następnych zawodach w roku 2000 nasi wykosili wszystkich – uśmiecha się na to wspomnienie Henryk Radek.

Po powrocie z Louisville nie chciał podpisać zaproponowanego przez dyrekcję nowego angażu, w którym zmniejszono mu pensję o połowę. Mówi, że nie chodziło nawet o pieniądze, ale o sposób potraktowania wszystkich ówczesnych dyrektorów oddziałów.

– Nie ugiąłem się. Dzięki uporowi, odchodząc na emeryturę, dostałem właściwą odprawę. Widocznie Pan Bóg czuwał nade mną – podsumowuje Henryk Radek. – Może za tych wszystkich ludzi, co ich z dołu wyciągnęliśmy?

Na pytanie, czy chciałby jeszcze raz pojechać na akcję, odpowiedział:

– Po przejściu na emeryturę jeszcze przez dziesięć lat nocami śniłem, że jestem na akcji. Teraz od pewnego mam sen, że wsiadam do wozu bez skompletowanego sprzętu, i ludzie to widzą...

***

Na emeryturze nadal pozostawał aktywny. Pracował w firmie Rudkop, a później prowadził zakład produkujący słomiane brykiety.

Przed dwoma laty wrócił do młodzieńczej pasji – żeglarstwa. Na jachcie Tango Family przemierza jeziora i rzeki. W planach ma rejs od Krakowa do Bydgoszczy i dalej Wielką Pętlą Wielkopolski do Kostrzyna nad Odrą. ■

**Dostęp do zasypanego górnika był bardzo trudny. Mimo to ratownik, ryzykując własnym życiem, doczołgał się do niego. Nawet wydostał go ze szczeliny, ale niestety mężczyzna doznał takiego szoku bólowego, że stracił przytomność. Reanimowaliśmy go kilkadziesiąt minut, lecz nie chciał już z nami „współpracować". Zmarł na naszych rękach.**

*Roland Szczepaniak, lekarz, specjalista medycyny pracy, ratownik górniczy. Pracował w Miedziowym Centrum Zdrowia od 1971 do 2001 roku. Obecnie współpracuje z Poradnią Medycyny Pracy w MCZ*

# Ratował pod ziemią, leczył na pustyni

Doktor Roland Szczepaniak chciał dołączyć do drużyny ratowników górniczych krótko po podjęciu pracy w wałbrzyskiej kopalni. Fascynujące wydawało się mu połączenie funkcji ratownika i lekarza. Wiceszef wałbrzyskiej służby zdrowia doradził młodemu stażyście cierpliwie czekać, bo do tego potrzebne było doświadczenie. Doktor dopiął swego i został ratownikiem górniczym dopiero, gdy osiedlił się w zagłębiu miedziowym, bo też z takim nastawieniem tu przyjechał.

W Wałbrzychu zajmowali z żoną Danutą i dzieckiem dwa pokoiki, maleńką kuchnię i łazienkę. W najbliższym czasie nie mogli liczyć na większe mieszkanie, a na wyremontowanie starego domu, który im proponowano w Szczawnie Zdroju, po prostu brakowało pieniędzy. Dlatego Roland Szczepaniak, po odbyciu służby wojskowej w Zgorzelcu, nie wrócił do Wałbrzycha. Postanowili z żoną, która też jest lekarzem, że poszukają lepszych warunków do życia. W zagłębiu miedziowym można było więcej zarobić i w krótkim czasie dostać przyzwoite mieszkanie. Osiedlili się więc w Lubinie, z tych samych powodów, dla których ciągnęli tu ludzie z całej Polski.

Znaleźli zatrudnienie w Górniczo-Hutniczym Specjalistycznym Zespole Opieki Zdrowotnej. Żona doktora Szczepaniaka przyjechała do Lubina kilka miesięcy przed nim. Kiedy jej mąż dojechał, była z synem już zadomowiona w D-19. Jakiś czas potem państwo Szczepania-

kowie otrzymali z kombinatu M-5 w wieżowcu przy ul. Niepodległości.

## Natłok pacjentów i zadań

Do GHSZOZ przyjmował ich dyrektor Zbigniew Regulski. Oboje z żoną zamierzali specjalizować się w medycynie pracy, bardzo potrzebnej w KGHM, stąd przywitano ich z otwartymi ramionami. Pracując, łączyli podstawową opiekę zdrowotną z profilaktyką zakładowo-przemysłową i dyżurami w szpitalu. W lecznicy były wówczas tylko trzy oddziały. Internistycznym kierował Jerzy Woźniak, laryngologicznym Włodzimierz Kaczkowski, a okulistycznym Tadeusz Głodzik. Natomiast szefową działu metodyczno-organizacyjnego, po wyjeździe doktora Regulskiego, została Maria Idzikowska.

W ramach GHSZOZ funkcjonowało też kilka przychodni. Legnicką prowadził Lubomir Hebdziński, polkowicką Piotr Marcinkowski, natomiast placówką w Głogowie kierowała Lidia Zakrzewska. W przychodni Przedsiębiorstwa Budowy Kopalń Rud Miedzi (PeBeKa) szefowała Mirosława Błażejewska, a w Nowym Kościele pracował doktor Zegarowski. Roland Szczepaniak natomiast nadzorował pracę przychodni ZG Lubin.

– Przed laty mieściła się ona w starych budynkach. Lekarzy zniechęcały panujące tu warunki. Było w niej kilka pomieszczeń i tylko trochę sprzętu medycznego, a przy tym natłok pacjentów i zadań. W latach 80. dla „Lubina" wybudowano nową przychodnię na Szybie Głównym. W 1979 roku zrobiłem specjalizację II stopnia. Szlify się przydały, bo w kombinackiej służbie zdrowia można było rozwinąć skrzydła. W miarę jak przemysł miedziowy nabierał rozmachu, poprawiała się opieka zdrowotna – wspomina Roland Szczepaniak, który po reorganizacji został też szefem przychodni PeBeKa. Następnie pełnił funkcje wicedyrektora ds. opieki zdrowotnej w GHSZOZ, którego nazwę zmieniono potem na Miedziowe Centrum Zdrowia. Był też konsultantem wojewódzkim, co wiązało się z organizacją poradni medycyny pracy na terenie dawnego Legnickiego.

*Z kardynałem Henrykiem Gulbinowiczem w kopalni ZG Lubin. Lata 80. Czwarty od prawej Roland Szczepaniak.*

## Trochę nieporozumień, ale...

Gdy z oddziału wewnętrznego wyodrębniał się oddział kardiologiczny, między pracownika-

mi dochodziło do pewnych nieporozumień na tym tle. Niektórzy nie wierzyli w sens zmian organizacyjnych.

– Mimo to doktor Maciej Dałkowski dopiął swego. Z czasem oddział pięknie się rozwinął i dzisiaj kardiologia jest oczkiem w głowie Miedziowego Centrum Zdrowia. Oddział wyposażony jest w bardzo dobry sprzęt i świadczy usługi na wysokim poziomie medycznym. Nic więc dziwnego, że leczą się tu ludzie z całej Polski. Żałuję natomiast, że nie udało się utworzyć w GHSZOZ oddziałów: chirurgicznego i ortopedycznego. Proponowanych warunków szpitalnych nie zaakceptował profesor Janusz Bielawski, który początkowo miał pracować w MCZ, ale ostatecznie rozwinął oddział ortopedyczny w szpitalu przy ul. Bema. Natomiast w swojej specjalności od lat walczę z chorobami zawodowymi, i niestety, stwierdzam, że nadal nagminnie występuje zawodowe uszkodzenie słuchu u górników.

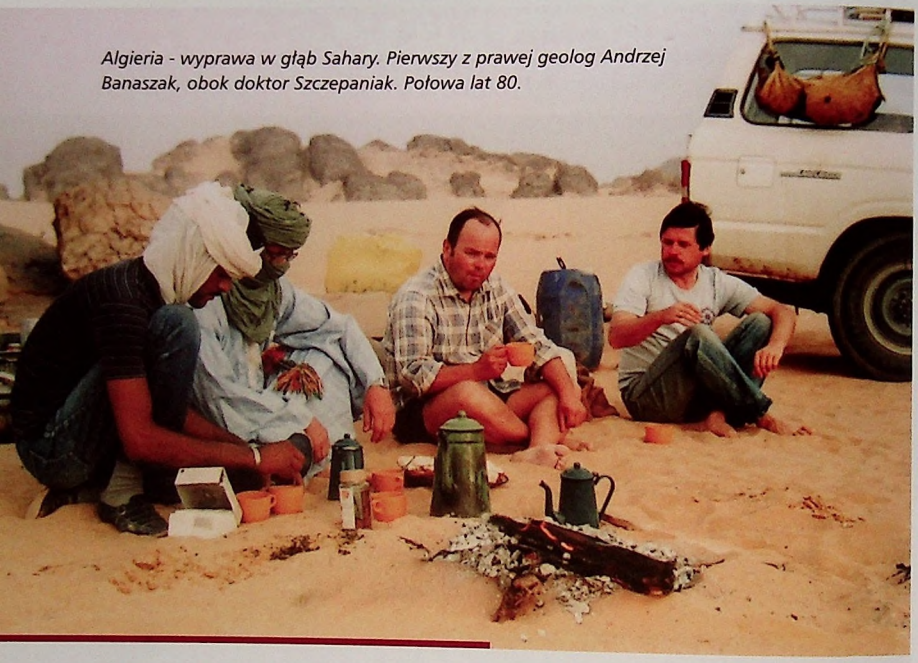

*Algieria - wyprawa w głąb Sahary. Pierwszy z prawej geolog Andrzej Banaszak, obok doktor Szczepaniak. Połowa lat 80.*

## Z rozmachem

W 1974 roku, czyli niepełne trzy lata po przyjeździe do zagłębia miedziowego, doktor Szczepaniak dołączył do drużyny lekarzy-ratowników. Dwa lata później powierzono mu nadzór nad pracą tego zespołu.

Pierwotnie Okręgowa Stacja Ratownictwa Górniczego mieściła się w ZG Lubin na Szybie Głównym, gdzie warunki były skromne. Kierował nią dyrektor Józef Kuświk. Potem stację przeniesiono do Sobina a jej tworzenie w nowym miejscu powierzono Jerzemu Kolasińskiemu. Przedsięwzięcie było dość kosztowne, ale skuteczne ratownictwo wymagało większego rozmachu - zespołu dobrze wyszkolonych ludzi, wielu pojazdów i nowoczesnego sprzętu. Na ten cel KGHM pieniędzy nie żałował. Z tego powodu w Centralnej Stacji Ratownictwa Górniczego w Bytomiu na wyposażenie miedziowych ratowników patrzono trochę zazdrosnym okiem.

Przez lata mieli oni do dyspozycji między innymi komorę hiperbaryczną, która służyła nie tylko szkoleniu sekcji nurków.

– Urządzenie to uratowało życie co najmniej kilku górnikom, których poddawano ostrej tlenoterapii z powodu zatrucia się tlenkiem węgla. Pamiętam też ludzi, którzy zranili się przy pracy

i nabawili zgorzeli gazowej. Groziła im amputacja kończyn, ale właśnie dzięki terapii w komorze wyszli z opresji cało – przypomina doktor Szczepaniak.

Okręgową Stację Ratownictwa Górniczego na początku lat 80. przekształcono w Jednostkę Ratownictwa Górniczo-Hutniczego. Przez pierwsze lata kierował nią dyrektor Jerzy Kolasiński, jego zastępcą był Henryk Radek, który z czasem został szefem stacji.

## Płakaliśmy jak dzieci

Roland Szczepaniak dla przełożonego Henryka Radka miał szczególny szacunek. Ściągali go nawet do akcji prowadzonych poza zagłębiem miedziowym, np. do kopalni węgla w Wałbrzychu, gdyż w kręgach ratowniczych cieszył się dużym uznaniem.

– Pamiętam jedną z trudniejszych akcji, którą przeprowadziliśmy w 1990 roku w kopalni Lubin. Dostęp do zasypanego górnika, zakleszczonego w komorze, był niezwykle trudny. Prowadziła do niego tylko wąska szczelina, do której mógł wejść szczupły, odważny ratownik. Henryk Radek spełniał tylko ten drugi warunek, mimo to wczołgał się tam, choć dla niego samego, mogło to zakończyć się tragedią. Podpowiadał górnikowi, co ma robić, niestety ten zaklinował się i sytuacja stała się jeszcze trudniejsza. Henrykowi mimo to udało się jakoś wyciągnąć górnika przez szczelinę. Człowiek ten doznał jednak tak wielkiego szoku bólowego, że stracił przytomność. Reanimowaliśmy go 40 minut, niestety zmarł na naszych rękach. To było niesamowite przeżycie, płakaliśmy wówczas jak dzieci – opowiada o dramatycznych chwilach doktor Szczepaniak.

Wspomina też lekarza Cezarego Przybylskiego, który odznaczał się wyjątkową odwagą. Kiedy Roland Szczepaniak przyjechał do kombinatu, on już działał w drużynie. Podczas akcji wchodził nawet w najbardziej niedostępne i niebezpieczne miejsca. Kiedyś zawalił się strop i górnicy zostali odcięci od reszty oddziału. Dostać się do nich można było tylko ponadstumetrową wąską rynną. Nie zawahał się, doczołgał się do uwięzionych i dzięki temu przeżyli. Za ten odważny czyn został uhonorowany Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

## Nie wchodzili w drogę

W kwietniu 1986 roku, po 15 latach pracy w kombinackiej służbie zdrowia i ratownictwie górniczym, doktor wyjechał wraz z pracownikami Zakładu Budowy Kopalń (późniejsze PeBeKa) na kontrakt do Algierii. To przedsiębiorstwo pracowało wówczas na rzecz Kopeksu, a ten dla francuskiej firmy Bouyques. ZBK drążyło w tym kraju tunele na trasie linii kolejowej budowanej przez Francuzów.

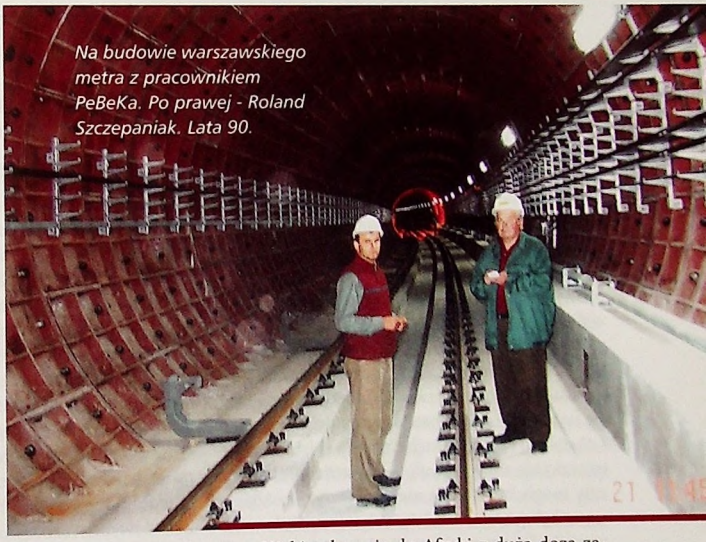

*Na budowie warszawskiego metra z pracownikiem PeBeKa. Po prawej - Roland Szczepaniak. Lata 90.*

– Wybierałem się do Afryki z dużą dozą zaciekawienia i poczuciem, że w każdej chwili mogłem wrócić do pracy w kombinacie, ponieważ wyjeżdżałem z Polski z błogosławieństwem Jerzego Turzańskiego, lekarza wojewódzkiego i ówczesnego szefa kombinatu Mirosława Pawlaka. W Algierii miałem pod opieką medyczną 500 Polaków. Od czasu do czasu bywałem w kraju,

bo zdarzało się, że ktoś uległ wypadkowi i trzeba było opiekować się nim podczas powrotu do Polski – wspomina Roland Szczepaniak.

Wyjeżdżając, spodziewał się, że będzie miał do czynienia z chorobami tropikalnymi, ale takich przypadków na szczęście wśród pracowników ZBK nie było. Zgłaszali się natomiast z banalnymi dolegliwościami, raczej zestresowani niż chorzy.

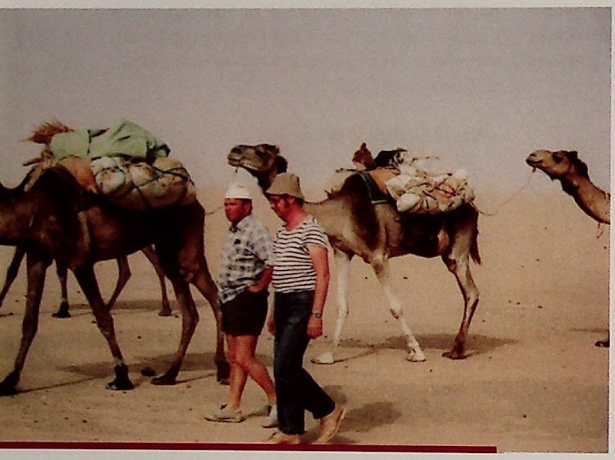

*Algieria - wędrówka po pustyni. Po lewej - Roland Szczepaniak. Końcówka lat 80.*

Roland Szczepaniak zajmował się nie tylko pracownikami ZBK. Kiedy Algierczycy zorientowali się, że prowadzi w bazie małą przychodnię, zaczęli zgłaszać się do gabinetu z rodzinami.

– Niektórzy zapraszali mnie do siebie, by przebadać żony i dzieci. Kobiety gromadziły się w jednej części domu, mężczyźni w drugiej. Luksusów pod ich dachem nie widziałem, ale mieszkania utrzymywali w czystości. Takie wizyty mogły być trochę niebezpieczne, bo Algierczycy byli podejrzliwi i dość drażliwi. Stale mieli zatargi z Francuzami i niechęć do nich przenosili na Polaków. Nasza ekipa mieszkała na terenie wydzielonym, w kampusie. Ale kiedy przebywaliśmy poza tym obszarem, trzeba było uważać, by nie wejść im w drogę, zwłaszcza w czasie ramadanu. Mogło się to dla nas źle skończyć, bo zemsta u nich, to święta powinność – snuje opowieść Roland Szczepaniak.

**▪ Dajcie mi spokój!**

Wrócił do kraju po 2,5-letnim pobycie, zanim nasiliły się działania fundamentalistów muzułmańskich i zrobiło się bardzo niebezpiecznie. Zdarzało się, że niektórzy Francuzi ginęli nawet z rąk ekstremistów. Najważniejsi pracownicy mogli jednak liczyć na ochronę.

– Do takich należał główny inżynier, świetny fachowiec, Jerzy Turlej, bez którego trudno było wyobrazić sobie budowę metra w Algierze - czym firma zajmowała się już po moim powrocie do kraju. Ale w końcu i on miał dość, chciał wracać do Polski. Algierczycy zaproponowali mu wówczas podwyżkę, ale Jurek odmawiał: „Nie chcę u was pracować. Dajcie mi święty spokój! Wyjeżdżam do Polski". Im częściej tak mówił, tym większe pieniądze mu oferowali. W końcu położyli na szali taką kwotę, że Jurek się skusił i został tam na budowie metra, mimo że reszta Polaków już z Algierii wyjechała – opowiada doktor Szczepaniak.

Miał też okazję przebywać z pracownikami PeBeKa na wielkiej budowie w angielskim wówczas Hongkongu. Kombinacka firma drążyła tam tunel łączący ląd z wyspą, na której powstawało lotnisko.

Doktor Szczepaniak, ma za sobą liczne podróże po świecie. Szczególną przyjemność sprawia mu jednak towarzyszenie w koncertach wyjazdowych Górniczemu Chórowi Męskiemu, działającemu przy ZG Lubin. Przyjaźni się z jego członkami i dyrygentem Piotrem Strzeleckim.

– Jestem poruszony, kiedy śpiewają patriotyczne pieśni, zwłaszcza na obcej ziemi. I cieszy mnie każdy ich sukces. Gratuluję im złotego medalu, który zdobyli w 2013 roku na międzynarodowym turnieju chórów w Barcelonie i dwóch brązowych medali w prestiżowym festiwalu w Rimini, we Włoszech – kończy doktor Roland Szczepaniak.

Z pracą lekarza się nie rozstał, choć w 2001 roku przeszedł na emeryturę. Nadal przyjmuje pacjentów w Poradni Medycyny Pracy Miedziowego Centrum Zdrowia. ■

**Nie pamiętam już, ile razy przetoczyło mnie po kopalnianym wyrobisku. Nieraz tak mną walnęło, że kiedy się podniosłem, nie wiedziałem, gdzie jest mój hełm, lampa i aparat ucieczkowy. Nic nie widziałem. W oczach i ustach miałem pełno pyłu, nie mogłem nawet ruszyć językiem. Mimo to nie zamieniłbym zawodu górnika na żaden inny.**

*Aleksander Kosior, główny inżynier ds. mechaniki górotworu i obudowy w ZG Polkowice i ZG Polkowice-Sieroszowice. Pracował w latach 1972 - 2010*

# Postęp rodzi się na dole

Z lubińskiego dworca autobusowego poszedł na piechotę do biura zarządu KGHM. Tam zapytał o geologów, po czym wszedł do ich działu i oświadczył, że chce pracować na Miedzi. A koledzy po fachu poradzili mu: „Budują „Rudną", potrzebują ludzi. Tam jedź".

– Kiedy na przystanek podjechały autobusy do Polkowic i Rudnej, wskoczyłem do tego drugiego. Wysiadłem na miejscu, rozglądam się, ale kopalni nigdzie nie widzę. Pytam ludzi: „A gdzie kopalnia Rudna?". Ku mojemu zaskoczeniu słyszę: „Rudna" jest w Polkowicach! Do kopalni dojechałem potężnym krazem. W tamtym czasie jeździło ich tam sporo, gdyż w pobliżu Rudnej trwały przygotowania do budowy zbiornika odpadów poflotacyjnych Żelazny Most.

## ▪ Przyślij go do mnie

W „Rudnej" usłyszał: „Właśnie przyjęliśmy do pracy dwóch geologów i nie mamy już wolnego etatu". Ale jeden z pracowników zadzwonił do Eligiusza Wawrzyniaka, głównego geologa kopalni Polkowice z informacją: „Elek, mam tu chłopaka geologa, chce pracować na Miedzi". „Dobra, przyślij go do mnie" – odpowiedział.

I tak w listopadzie 1972 roku Aleksander Kosior został pracownikiem kopalni Polkowice.

Pochodzi z Bolesławca, gdzie w 1946 roku osiedliła się jego rodzina po powrocie z emigracji w Bośni. Ze średniego wykształcenia jest geologiem, uczył się w Technikum Geologicznym we Wrocławiu. Jeszcze w wojsku zaczął studiować na Politechnice Śląskiej, wybrał górnictwo ze specjalnością eksploatacja podziemna. Dzisiaj, po wielu latach od tej decyzji, mówi:

– Nie pamiętam, ile razy przetoczyło mnie po wyrobisku. Nieraz tak mną walnęło, że kiedy się podniosłem, nie wiedziałem, gdzie jest mój hełm, lampa i aparat ucieczkowy. W oczach, w ustach miałem pełno pyłu, nie mogłem nawet ruszyć językiem. Mimo to nie zamieniłbym zawodu górnika na żaden inny. Zawsze fascynowała mnie

*Komisja końcowa odbioru likwidacji szybów Polkowic Wschodnich (27.07.2009r.) Od lewej stoją: Dariusz Haraś - szef BHP, Sławomir Waszkowiak - szef działu koordynacji remontów, Ryszard Jędrusia - II zawiadowca, Józef Sarnicki - kierownik oddziału PBK likwidującego szyby wraz z dwoma pracownikami, Aleksander Kosior - pełnomocnik dyrektora ds. likwidacji, Tomasz Kowalczuk - nadsztygar działu szybowego, Stefan Strzałka - nadsztygar energetyczny, Ryszard Lindmajer - szef pionu remontowo-montażowego PBK.*

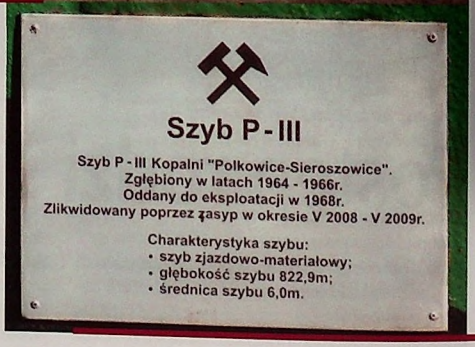


*Tabliczka informacyjna zamontowana na wózku kopalnianym postawionym na miejscu zlikwidowanego szybu.*

natura, dlatego wybrałem geologię. Jako młody człowiek interesowałem się wulkanami, kataklizmami, trzęsieniami ziemi. Wszystko to miałem w głowie.

## ▪ Ocios się błyszczy

W „Polkowicach" dostał angaż robotnika transportowego - próbobiorcy. Po uzyskaniu zatwierdzenia przez Okręgowy Urząd Geologiczny we Wrocławiu został geologiem oddziałowym. Dobrze pamięta pierwszy zjazd do kopalni miedzi. Zabrał go ze sobą Kazimierz Gąsior, dużo starszy od niego geolog, który się nim zaopiekował. Kopalnię poznał wcześniej, bo dyplom zrobił z zagrożeń hydrogeologicznych w „Wujku". I choć praca pod ziemią nie była mu obca, co jakiś czas go zaskakiwała. W pamięci utkwiło mu kilka zjazdów na Miedzi.

– Któregoś dnia, a było to w 1975 roku, wpadł do pokoju głównego geologa Elka Wawrzyniaka i jego zastępcy Leszka Bieli, Jerzy Szczupider, zastępca szefa laboratorium i powiedział: „Mam problem - wysiadł betatron". Na dowód tego położył na stół wyniki

*Położenie wieży szybu P-IV (6.06.2009r.)*
*W oddali widoczna wieża szybu P-III.*

badań na zawartość Cu w pobranych próbkach rudy, w których, jak pokazywało urządzenie, jest około... 70 procent miedzi! W tamtym czasie betatron, określający zawartość Cu, miała tylko kopalnia Polkowice. Przywożono więc tu do badania także próbki z „Rudnej". Kaziu Gąsior, szef rejonu, powiedział do mnie: „Chodź Olek, zjedziemy na dół, zobaczymy, skąd oni to pobrali". Dotarliśmy na oddział G-1, przy uskoku Rudnej Głównej, gdzie było zalane, nieczynne wyrobisko. Podeszliśmy bliżej i zdumieni zauważyliśmy, że cały ocios się błyszczy. Zobaczyliśmy 3,5-metrową metaliczną ścianę chalkozynu, a w nim rozproszone ziarenka kwarcu, drobne jak mak. Górnicy wyeksploatowali stamtąd tyle rudy, na ile tylko pozwoliła stosowana wówczas technologia (miąższość złoża bilansowego dochodziła do 20 m). Okazało się, że z jednego m kw. powierzchni złoża uzyskiwano kilka ton Cu. Potem już nigdy więcej nie spotkałem się z taką koncentracją miedzi w rudzie – wspomina Aleksander Kosior.

Innym razem, w trakcie nadzoru geologicznego przy głębieniu szybu P-VII, znalazł sporo pięknych okazów bursztynu. Ale bywało i tak, że wraz z kolegą musiał uciekać z uskoku Biedrzychowa, bo zaczął stukać licznik Geigera. Zwiększona ilość uranu, który zwykle znajduje się w złożach polimetalicznych, spowodowała, że wypływająca woda niosła promieniotwórczy gaz radon.

– Wyszliśmy niezwłocznie z tej strefy, bo mówiło się, że mężczyźni, którzy pracują na dole, są narażeni na jego promieniowanie i nie mogą mieć dzieci. Na mnie się to nie sprawdziło – zauważa pan Aleksander.

**▪ W dziale mechaniki górotworu.**

Po skończeniu studiów przeniósł się do działu mechaniki górotworu i obudowy. W miarę postępu eksploatacji, w pierwszej połowie lat 70., w kopalni rosło zagrożenie wstrząsami i tąpaniami. Pierwszy silny wstrząs nastąpił w 1972 roku na Polkowicach Głównych, w polu D-1 i był wy-

*Inspekcja frontu po tąpnięciu w oddziale G-23 prowadzącym eksploatację w uwolnionych zasobach po likwidacji szybów (16.04.2009r.) Od lewej: Aleksander Kosior, Jan Kujawski - sztygar zmianowy G-23, Edward Morawski - kierownik oddz. G-23, Krzysztof Maciejewski - sztygar zmianowy, Artur Wrona - nadsztygar górniczy działu tąpań.*

nikiem tąpnięcia filarów międzychodnikowych bezpośrednio pod uskokiem Biedrzychowa. Został nawet zarejestrowany przez Obserwatorium Sejsmologiczne w Książu. Na szczęście zdarzyło się to w niedzielę, kiedy górników nie było w kopalni i nie doszło do żadnego wypadku. Jednak z czasem zagrożenia rosły. Pierwszym tragicznym zdarzeniem było tąpnięcie w 1974 r. w oddziale G-21, na Polkowicach Wschodnich. Zginęło tam trzech górników. Po tej tragedii uznano zagrożenie tąpaniami za istotne, choć wcześniej naukowcy twierdzili coś innego. Zapewniali: „Jeśli się będzie prowadzić furtę w piaskowcu, to nie będzie tąpać".

– Rzeczywistość przeczyła tej hipotezie, bo przecież „Rudna" prowadziła eksploatację w piaskowcu, a tąpało tam bardziej niż gdzie indziej. Na zagrożenie nie wpływało tylko umiejscowienie furty w profilu złoża, ale też wysokość furty eksploatacyjnej, geometria frontu i własności wytrzymałościowe skał złoża, spągu i stropu. Trochę to trwało, zanim naukowcy przyjęli do wiadomości te fakty – przypomina Aleksander Kosior.

Ponieważ początkowo nie spodziewano się tąpań, KGHM dysponował jednym sejsmometrem, który był na wyposażeniu Zakładu Doświadczalnego. Dlatego po pierwszych silnych wstrząsach szybko zakupiono dla „Polkowic" i „Lubina" urządzenia do prowadzenia obserwacji sejsmicznych. Błyskawicznie uruchomiono stację sejsmiczną, ale wówczas wyposażono ją w prymitywną aparaturę rejestrująca drgania górotworu na taśmie papierowej. Z czasem sprowadzono z Anglii urządzenia sejsmiczne firmy Racal-Thermionic, zapisujące dane na taśmie magnetycznej. W latach 80. w Kopalnianej Stacji Sejsmicznej w „Polkowicach" wdrożono Elogor – analogową aparaturę rodzimej produkcji. Skonstruowano ją w Zakładzie Doświadczalnym KGHM. W latach 90. urządzenie udoskonalono, wprowadzając zapis cyfrowy sygnału sejsmicznego, jego elektro-

Inspekcja frontu po tąpnięciu.

Po inspekcji, za kierownicą Aleksander Kosior.

niczną obróbkę wraz z błyskawiczną lokalizacją epicentrum wstrząsu. Aparatura ta stosowana jest dzisiaj we wszystkich kopalniach KGHM.

Do końca lat 70. energie wstrząsów nie przekraczały wielkości 107J. W początku lat 80. zaczęły występować energie 107J, pod koniec lat 80. doszły do 109J. Jasne stało się, że wstrząsy i tąpania są głównymi zagrożeniami eksploatacyjnymi w kopalniach zagłębia miedziowego. W 1977 roku w każdej kopalni powołano służby specjalistyczne mechaniki górotworu i obudowy, które pracowały nad poprawą bezpieczeństwa i dopasowaniem sposobu eksploatacji do występujących zagrożeń.

## ▪ Metody „wykopane" spod ziemi.

– Wbrew temu co wielu ludzi sądzi, rozwiązania systemowe eksploatacji w obliczu tego zagrożenia nie były opracowywane w instytutach naukowych. Postęp rodził się na dole, w kopalniach, na podstawie codziennej obserwacji zachowania się górotworu i analizy zjawisk powodowanych jego ciśnieniem – przekonuje Aleksander Kosior.

Po niepomyślnych próbach zastosowania systemu ścianowego do eksploatacji złoża w „Lubinie", w roku 1968, wdrożono nowatorski system eksploatacji filarowo-komorowy. Najpierw rozcinano złoże na filary wielkogabarytowe, a w drugiej fazie na filary mniejsze. Na końcu urabiane były one do wymiarów resztkowych. Potem przestrzeń poeksploatacyjną likwidowano, przeprowadzając wymuszony zawał stropu. W latach 80. podstawowym sposobem eksploatacji był system komorowo-filarowy, ale już jednoetapowy z zawałem stropu. Zaniechano rozcinania calizny na wielkogabarytowe filary, bo jak się okazało w praktyce, zwiększały zagrożenie tąpaniami.

– Z czasem doszliśmy do wniosku, że duże filary, koncentrują naprężenia i później, przy próbie ich urabiania, zachowują się jak bomba – wyjaśnia Aleksander Kosior.

Przez lata stosowano wymuszony zawał stropu i rozstrzeliwano filary resztkowe. Potem z metody tej zrezygnowano i wprowadzono zawał ograniczony. W końcu doszło do tego, że górnicy „jadą bez zawału wymuszonego". Wygradzają tylko tablicami strefę poeksploatacyjną, by nikt nie wchodził tam, gdzie jest niebezpiecznie.

Początkowo front roboczy miał najwyżej 3 pasy eksploatacyjne, bo wydawało się, że tak jest bezpieczniej. Z doświadczeń wynikało - ku zaskoczeniu inżynierów - że dla poprawy bezpieczeństwa, trzeba zwiększyć szerokość otwarcia frontu, to jest liczbę pasów. Wprowadzane nowe metody nie zawsze były od razu akceptowane przez dozór, kierownictwo kopalni czy nadzór wyższego szczebla i gremia naukowe zajmujące się problematyką górniczą.

## ▪ Nauka 20 lat za praktyką

Kiedy Aleksander Kosior był nadsztygarem i zastępcą szefa mechaniki górotworu i obudowy, występowały problemy z wodoszczelnością obudowy szybów, zwłaszcza w materiałowo-zjazdowym P-V na Polkowicach Zachodnich. Tam z obudowy betonowej od zrębu i tubingowej do 430 m stale lała się woda. Szyb w zimie zamarzał, klatka do transportu ludzi oraz przeciwwaga przemieszczały się w lodowych pionowych tunelach. Przez długi czas nie można było dać sobie z tym rady. Aleksander Kosior wymyślał różne sposoby oraz oprzyrządowanie

do wtłaczania cementu za obudowę. Chodziło o wykonanie dodatkowego płaszcza izolacyjnego. Przez większość sobót i niedziel, z wyjątkiem miesięcy zimowych, prowadził w szybach cementację i inne zabiegi doszczelniające. Wówczas udało się ograniczyć dopływ wody z 800 l/min. do kilkunastu litrów. W drugiej połowie lat 80. zaczęły się problemy ze statecznością obudowy betonowej szybu skipowego P-VI na odcinku około 3 m. Zastosował wówczas do wzmocnienia obudowy nowatorski sposób - wytrzymały pierścień plastobetonowy o grubości 10 cm i wysokości 6 m. Zajmował się tym wiele lat i znał się na uszczelnianiu szybów jak mało kto, paradoksalnie w związku z tym czasem się narażał.

– Pamiętam zdarzenie z końca lat 70., kiedy przyjechała z ministerstwa komisja i dyskutowano między innymi o problemie szczelności i stateczności obudowy szybu P-V i perspektyw jego użytkowania. Zorientowałem się, że przedstawiciel ministra wymądrza się. Powiedziałem mu wtedy, że nie ma zielonego pojęcia o prowadzeniu cementacji obudowy tubingowej w warunkach LGOM. Nastąpiła konsternacja. Ale potem w kuluarach, po oficjalnym spotkaniu, przy wódce, przyznał mi rację – wspomina Aleksander Kosior.

Po jakimś czasie Kosior znalazł się w podobnej sytuacji.

– Wraz z przyjściem inżyniera Janusza Janusa w 1984 roku na szefa działu mechaniki górotworu i obudowy, zaczęliśmy rezygnować z zawału stropu i zwiększyliśmy otwarcie frontu roboczego do 6 pasów. W roku 1986 po raz pierwszy zastosowaliśmy zawał ograniczony. By móc wprowadzić na szerszą skalę zmiany w podejściu do sposobu eksploatacji, udaliśmy się z moim szefem do Głównego Instytutu Górnictwa. Nowa metoda niestety nie znalazła uznania u profesorów z komisji ds. tąpań w GIG. Powziąłem wówczas przekonanie, że naukowcy są 20 lat za praktyką, i że szefami takich komisji winni być inżynierowie górnictwa z doświadczeniem w kopalni – uważa Aleksander Kosior.

## ▪ Kosior, co mam z panem zrobić?

Jako zastępca głównego inżyniera mechaniki górotworu i obudowy przez 14 lat (1978 -1992) zajmował się bezpieczeństwem obudowy szybów i eksploatacji w zagrożeniu tąpaniami. W roku 1992 został głównym inżynierem ds. mechaniki górotworu i obudowy.

– Wyznaję zasadę, co w głowie to i na języku. Dla mnie nie było żadnych świętości. Przed połączeniem kopalń (Polkowic i Sieroszowic), gdy dyrektorem po raz drugi został Bogusław Kostka, w obszarze górniczym „Polkowic" eksploatacja prowadzona była już przy granicy pokładu złoża od strony południowej. Tu mieliśmy problemy z zapewnieniem stateczności wyrobisk w obudowie kotwiowej. Przy jakiejś okazji wizytował kopalnię ówczesny dyrektor OUG we Wrocławiu, Zbigniew Dańda. Na G-15 dyrektorom towarzyszyłem ja i długoletni, doświadczony kierownik oddziału Witold Krupa. W pewnym momencie dyrektor Dańda zasugerował zastosowanie nierealnych do spełnienia zabezpieczeń stateczności wyrobisk. To świadczyło, że zupełnie nie rozumie, na czym polega istota pracy obudowy kotwiowej. Nie mogąc tego słuchać, oświadczyłem, że jego propozycje są niedorzeczne. Dańda się obraził. Potem w łaźni dyrektor Kostka, podszedł do mnie i zapytał: „Panie Kosior i co ja mam z panem zrobić?". Odpowiedziałem: „Może mnie pan zwolnić, do pana należy decyzja". Nie zrobił tego.

Czasem jednak dosadny język się przydawał, zwłaszcza kiedy coś trzeba było wytłumaczyć specjalistom pracującym w KGHM za biurkiem.

– W 1999 roku pojechałem z zespołem inżynierów KGHM do Zambii, do kopalni rud miedzi Mufilira. Mieliśmy ocenić, czy kupno jej byłoby opłacalne - niektórzy kombinaccy urzędnicy mieli na to wielką ochotę. To złoże miedzi było jednak eksploatowane od kilkudziesięciu lat i jego efektywne, resztkowe zasoby leżały poniżej 3000 m. Występowało tu też ogromne zagrożenie sejsmiczne oraz zawodnienie (ok. 200 $m^3$/min). A odpompowywanie takiej ilości wody z głębokości 3800 m (poziom gł. komory pomp), znacząco podnosiło koszt eksploatacji. Polska Miedź miała już wtedy za sobą nieudany interes w Kongu na złożu Kimpe, a w Zambii zapowiadało się podobnie. Po zapoznaniu się z panującymi tam warunkami, uznałem więc, że należy się stanowczo sprzeciwić wchodzeniu w ten biznes – wspomina Aleksander Kosior. – Zwłaszcza że wcześniej (w 1996 r.), po połączeniu kopalni „Polkowice" i „Sieroszowice", z powodu niskich cen miedzi na rynkach światowych, wdrożono program oszczędnościowy i ograniczono inwestycje.

Skutkiem tego uruchamiano za mało frontów eksploatacyjnych. Wówczas zostałem jednym z głównych inicjatorów wdrożenia wydobycia bez okonturowania pól eksploatacyjnych wyrobiskami przygotowawczymi. Rok później wprowadzono system eksploatacji z filarem ruchowym zamykającym. Pozwoliło to zwiększyć bez nakładów liczbę frontów eksploatacyjnych i tym samym wzmóc wydobycie rudy miedzi.

## Z niebezpiecznym zapałem

– Kiedy zaczynałem pracę, nadzorowałem głębienie szybów, zajmowałem się ich doszczelnianiem i doświadczyłem osobiście ewolucji systemów eksploatacji. Kiedy w 2008 roku kończyłem pracę, likwidowano wyeksploatowany rejon. Było to pierwsze takie zadanie w historii KGHM. Trzeba było zasypać dwa szyby P-III i P-IV dawnej kopalni Polkowice, głębokie na ponad 800 m. Potrzebowaliśmy do tego gigantycznej ilości skały płonnej, piasku i betonu - około 50 tys. ton, to jest 8 tys. wywrotek. Dopiero potem mogliśmy jeszcze przez kilka lat eksploatować filary ochronne, zawierające sporo wartościowej rudy. To było najbogatsze złoże na „Polkowicach", ale niosło ze sobą pieruńskie zagrożenie tąpaniami. Urobienie tony rudy było tu nawet 6-krotnie tańsze niż na niezagrożonych oddziałach „Sieroszowic" – mówi Aleksander Kosior.

Na emeryturę po raz pierwszy przeszedł w 2004 roku, ale uznał że na odpoczynek za wcześnie i przez dwa następne lata pracował jako główny inżynier górniczy w Kopeksie wykonującym roboty udostępniające dla kopalni. Później przez trzy kolejne lata, zajmował się likwidacją szybów. Do tego zadania ściągnął go dyrektor „Polkowic-Sieroszowic" Mirosław Biliński, w związku z trudnościami technicznymi i prawnymi.

Dzisiaj pan Kosior mieszka pod Lubinem i z pasją zajmuje się sporym ogrodem. Jak dawniej, z zamiłowaniem gra w bilard, ale nie ma zbyt wielu chętnych kompanów do rozgrywek, bo jak zdradza, niełatwo z nim wygrać. Górnicy mają znacznie większe doświadczenie w piłce nożnej, którą kopali czasem z niebezpiecznym zapałem.

– Na międzykopalnianym turnieju „Rudna" - „Polkowice-Sieroszowice", mocno popadało, trawa była śliska i dwóch dyrektorów kopalni, Witold Bugajski i Kajetan Bargieł, z kontuzjami wylądowało w szpitalu. Bezpieczniej było na balach organizowanych przez kopalnię, na które zapraszano nas z żonami. Wyjeżdżaliśmy na trzy dni. Z piątku na sobotę był wielki bal, w sobotę grill, a w niedziele dochodzenie do siebie i wyjazd do domu – opowiada pan Aleksander.

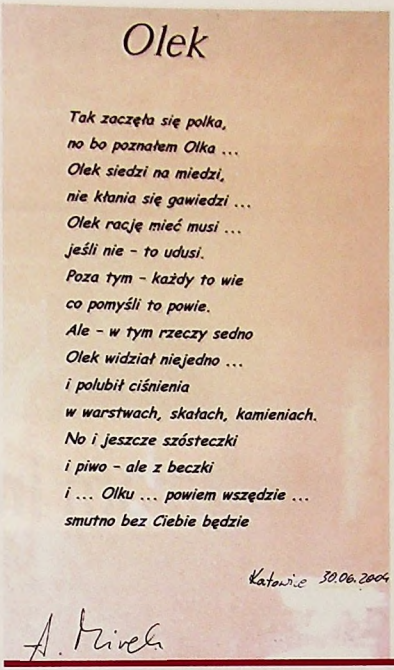

Olek

Tak zaczęła się polka,
no bo poznałem Olka ...
Olek siedzi na miedzi,
nie kłania się gawiedzi ...
Olek rację mieć musi ...
jeśli nie - to udusi.
Poza tym - każdy to wie
co pomyśli to powie.
Ale - w tym rzeczy sedno
Olek widział niejedno ...
i polubił ciśnienia
w warstwach, skałach, kamieniach.
No i jeszcze szósteczki
i piwo - ale z beczki
i ... Olku ... powiem wszędzie ...
smutno bez Ciebie będzie

Katowice 30.06.2004

A. Mirek

*Wiersz, napisany przez Adama Mirka z Wyższego Urzędu Górniczego, na pożegnanie Aleksandra Kosiora przechodzącego na emeryturę.*

Dobrze wspomina czasy dyrektora Jana Foligowskiego. Po zakończeniu roku, kiedy kopalnia wykonała zadanie, organizowano dla dozoru szkolenie. A po nim był męski jubel.

– Jeździliśmy do Sławy i innych miejscowości, KGHM wykupywał na ten czas całe hotele.

Nie oszczędzał też na Barbórkach, nie opuściłem ani jednej. Do dzisiaj przechowuję komplet kufli z tych górniczych imprez – chwali się pan Aleksander. W domu ma jeszcze jeden ważniejszy zbiór - kolekcję dyplomów za znaczące osiągnięcia w dziedzinie techniki. ■

**Publiczność podziwiała Kalinę Jędrusik-Dygat. Dama, choć wolna od konwenansów, słynąca z ciągłego spóźniania się, do górników przyjeżdżała punktualnie.**

*Teresa Peter, instruktor kulturalno-oświatowy, kierownik Domu Kultury ZG Lubin. Pracowała w latach 1972 - 2007 w ZG Lubin*

# Urządzałam innym świat

Zainteresowania teatrem, filmem, literaturą odziedziczyłam po mamie, która grała (jako amatorka) w Teatrze Ludowym przy domu kultury pierwszej w Polsce fabryki lokomotyw „Fablok" w Chrzanowie. Mnie też w dzieciństwie udało się zagrać w kilku niewielkich rólkach, między innymi w sztuce Howarda Fasta „Trzydzieści srebrników". Oczywiście dla nas chrzanowian największą mekką nauki, kultury, mody był zawsze odległy o 40 kilometrów Kraków. Dlatego nawet kiedy chciałyśmy podciąć włosy, jeździłyśmy z mamą do Krakowa, do salonu fryzjerskiego Marcela, przy ul. Długiej, gdzie czesała się nawet pani Elżbieta Penderecka.

Po maturze próbowałam dostać się na prawo, na Uniwersytecie Jagiellońskim. Kiedy plany nie wypaliły, skierowałam swoje kroki do Studium Kulturalno-Oświatowego, które mieściło się w tym samym budynku co Piwnica pod Baranami. Dzięki temu mogłam osobiście poznać Piotra Skrzyneckiego i Mieczysława Święcickiego (Księcia Nastroju), którym od wczesnej młodości byłam oczarowana – zwierza się pani Teresa Peter. – Miałam też niezwykłych nauczycieli – w większości wykładowców z UJ i Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej. Szczególnie zapadły mi w pamięć zajęcia z filmu, prowadziła je Maria Malatyńska, uznana publicystka i wspaniały krytyk filmowy.

## Piwnica pod Pegazem

Po ukończeniu studium rozpoczęłam pracę w Domu Kultury w Chrzanowie. W grudniu 1971 pobraliśmy się z Andrzejem, tym samym weszłam do rodziny z teatralnymi pasjami. Ojciec mojego męża na co dzień pracownik ZUS, popołudniami amatorsko reżyserował sztuki w Teatrze Ludowym, w których grywała moja mama.

Z początkiem 1972 roku, jako świeżo poślubiona małżonka, przyjechałam do Lubina. Andrzej, młody inżynier, miał już za sobą 3 lata w Zakładzie Doświadczalnym, gdzie kierował Wydziałem Maszyn i Urządzeń Przeróbczych.

Bez trudu znalazłam pracę instruktora kulturalno-oświatowego ZG Lubin i 13 kwietnia 1972 roku dołączyłam do grona pracowników, których zadaniem było stworzenie od podstaw Zakładowego Domu Kultury.

W tym czasie nasz zakład miał cztery hotele robotnicze, w jednym z nich - D-25, na osiedlu D, mieścił się ZDK. Warunki były niezbyt komfortowe, bo pracowaliśmy w pomieszczeniach piwnicznych, stąd pierwsza nasza nazwa: Piwnica pod Pegazem. Jako jej pomysłodawczyni, nawiązywałam nią nie tylko do skromności miejsca, ale również do moich krakowskich fascynacji i tęsknot.

Oficjalne otwarcie Piwnicy pod Pegazem nastąpiło 1 maja 1972 roku w obecności Adama

*Góbabnik. Przy stole prezydialnym od lewej prowadzący: Teresa Peter i Henryk Bolesławski.*

Jesionka, naczelnego dyrektora ZG Lubin, który od samego początku mocno wspierał nasze działania. Pierwszym kierownikiem Piwnicy pod Pegazem był Henryk Ryś, wówczas człowiek bez matury, ale ze sporą intuicją i zdolnościami organizacyjnymi. Trudno mi dzisiaj odtworzyć pierwszy skład pracowników, ale przez placówkę przewinęło się wielu ludzi, między innymi: Barbara Dąbrowska-Kalinowska (kaowiec), Wojtek Olszewski (plastyk), Mietek Kowal (fotograf), Rysiu Buler (plastyk), Józek Wygnański i Krystyna Malińska (pracownicy radiowęzła) i Leszek Skrzypek (fotograf). Później doszli też fotografowie: Janusz Budnicki, Jurek Kosiński, instruktorki kulturalno-oświatowe: Nina Stępień, Danuta Bobeła, Urszula Karst a także plastyczki: Bożena Ciskowska El-Sayed i Ewa Chlebowska.

## ▪ Każdemu według jego potrzeb

Podstawowym celem naszej działalności było organizowanie wolnego czasu mieszkańcom czterech hoteli robotniczych, nieco później nazywanych pracowniczymi. Oczywiście chodziło o to, by poprzez różne działania rozbudzać w nich ciekawość świata i ludzi, edukować, bawić. Aby po szychcie nie dekowali się w swoich pokojach przy alkoholu, ale spędzali czas bardziej sensownie i w dobrej kondycji fizycznej i psychicznej szli do pracy.

Nie zawsze w tym ludzkim konglomeracie nasze propozycje trafiały w potrzeby wszystkich mieszkańców. Społeczność hotelową stanowili przecież nie tylko pracownicy fizyczni, ale i technicy, jak również młodzi inżynierowie, którzy przychodzili do kopalni bezpośrednio po

*Comber. Od lewej Regina Nowak, Halina Urban i Teresa Peter.*

studiach. Najprostszą formą integracji, oczywiście na miarę peerelowskiej rzeczywistości, było współzawodnictwo międzyhotelowe. Podstawy zmagań zawierał regulamin, w oparciu o który działała komisja złożona z pracowników działu socjalnego. Bardzo skrupulatnie sprawdzała stan każdego z czterech hoteli. Wygrywał ten najschludniejszy, z najciekawszym wystrojem - dyrekcja ZG Lubin zawsze przyznawała zwycięzcy ciekawe nagrody. Inną formą współzawodnictwa było uczestnictwo w zajęciach Domu Kultury, a dokładniej w turniejach szachowych, konkursach wiedzy, różnorodnych prelekcjach i spotkaniach.

### ▪ Artyści z pierwszych stron

Jeśli chodzi o najaktywniejszych mieszkańców, to na pierwszym miejscu muszę wspomnieć Wojciecha Sobieszka, młodego inżyniera. Często nas odwiedzał i chętnie zgłaszał się do konkursów, zwłaszcza z wiedzy o Polsce i świecie współczesnym. To on przyciągnął do nas grupę młodych inżynierów, którzy imponowali wiedzą z różnych dziedzin. Z kolei pracownicy fizyczni niekoniecznie gustowali w prelekcjach typu „Europa stary kontynent", natomiast ochoczo stawiali się np. na spotkania z artystami kabaretowymi.

W miarę rozwoju placówka nasza powiększyła swoją siedzibę poprzez zaadaptowanie na działalność pomieszczeń na parterze hotelu. Wreszcie mieliśmy salę widowiskową, która dawała możliwość wprowadzania nowych form działalności. Intensywniejsza stała się współpraca z Przedsiębiorstwem Imprez Artystycznych Impart, które docierało do najbardziej znanych artystów, dzięki temu nasi hotelowicze mogli spotykać się z artystami z pierwszych stron gazet.

### ▪ Kwiaty... bez frekwencji

Przyjeżdżał np. kabaret „Kaczki z Nowej Paczki" i działo się wtedy, oj działo się! Potwierdzeniem tego są wpisy do księgi pamiątkowej.

Jednak nie zawsze udawało się trafić w potrzeby naszej społeczności. Kiedyś na przykład zaprosiliśmy z recitalem Joannę Rawik i ponieśliśmy fiasko. Na spotkaniu z nią byłam tylko ja i moja mama. Pani Rawik wybrnęła z tej niezręcznej sytuacji, bo na spotkaniu w lubińskim Empiku publiczność dopisała, choć nie dostała żadnych kwiatów. U nas natomiast otrzymała przepiękny bukiet kwiatów, choć frekwencji zabrakło.

Dzięki współpracy z wrocławskim Impartem i hojności dyrekcji kopalni Lubin mieszkańcy hoteli mogli podziwiać kunszt Kazimierza Wichniarza (grał postać Zagłoby z Potopu J. Hoffmana), Bronisława Pawlika, Andrzeja Waligórskiego, Alicji Majewskiej a także śpiewaków operowych: Bernarda Ładysza i Kazimierza Kowalskiego.

Publiczność podziwiała Kalinę Jędrusik-Dygat. Dama, choć wolna od konwenansów, słynąca z ciągłego spóźniania się na występy, do naszych górników przyjeżdżała punktualnie.

Inną osobowością była Rena Rolska; zwracała uwagę na dobre maniery, kiedyś jednego z naszych reporterów nawet ze sceny uczyła savoir-vivre'u. Raz przyjechała w zielonej sukni i ja też miałam wtedy na sobie zieloną sukienkę. Podeszła do mnie i powiedziała: „Jestem Rena Rolska", a ja odpowiedziałam: „Jestem Rena Peter"..., i jak to kobiety, roześmiałyśmy się z tych podobieństw (Tu muszę dodać, że Reną, nie Teresą, nazywali mnie od zawsze moi bliscy i przyjaciele).

## ▪ Łukaszewicz się zachwycił

Z czasem do naszej placówki zaczęli przychodzić pracownicy ZG Lubin z rodzinami. Występy artystów takich jak: Marek Perepeczko, Edward Hulewicz, Stenia Kozłowska przyciągały różne grupy pokoleniowe. Kiedyś nawet odwiedziła nas prof. Danuta Buttler - autorka Polskiego dowcipu językowego. Jej prelekcja cieszyła się dużym zainteresowaniem zwłaszcza wśród inżynierów. Zapamiętałam też spotkanie z panem Olgierdem Łukaszewiczem, przyjechał ze spektaklem poetyckim Grochowiaka „Epilog w stearynie". W sensie scenograficznym był kompletnie nieprzygotowany. Zorganizowałam mu naprędce jakieś rekwizyty, chyba były

*Na chwilę przed otwarciem Wystawy twórczości amatorskiej. Od lewej: Andrzej Bugajski, Stanisław Dziedzic (autor scenariuszy Combrów i Karczm Piwnych), Edward Warzecha (prowadzący Karczmy Piwne), dalej Czesław Moryks, dyr. Kazimierz Ziaja, Teresa Peter, Henryk Klaudel, obok Anna Wachowiak i Teresa Pacek.*

to świece, gazety, a potem zabrałam na obiad do naszej pracowniczej stołówki. Artysta był zachwycony naszą gościnnością, serdecznością i moją znajomością środowiska teatralnego, czego nie omieszkał odnotować w naszej Księdze gości.

Jednak najwyższą frekwencją cieszyli się Hanna i Antoni Gucwińscy. Niemal zawsze przywozili ze sobą jakieś zwierzątka, toteż na te spotkania ściągali nie tylko mieszkańcy hoteli, ale również pracownicy ZG Lubin ze swoimi pociechami.

Mając na uwadze rodziny pracowników, zwłaszcza ich dzieci, przez wiele lat organizowaliśmy imprezy na Dzień Dziecka, dziecięce bale karnawałowe, Mikołajki, imprezy plenerowe, spotkania w Parku Wrocławskim, Małomicach i w Wojnowie. Nawet w okresie ferii zimowych zapewnialiśmy dzieciom zajęcia w ramach półkolonii, a także letnie festyny.

Koniec lat 70. był też czasem realizacji projektu artystycznego Ministerstwa Kultury i Sztuki pod nazwą „Sojusz świata pracy z kulturą". W jego ramach odwiedzali nasz zakład różni artyści. Zjeżdżali na dół, by poznawać warunki górniczej pracy. Potem przelewali własne emocje na płótno, papier, fotografię itp. Powstałe w ten sposób prace wystawialiśmy w cechowni, a także 610 metrów pod ziemią, w komorze nazywanej przez górników Kawiarnią Kongresową.

## ▪ Z górniczej taryfy

Ktoś mógłby myśleć: „Jaką mamy ciekawą pracę, cały czas przebywamy w gronie znanych artystów i piosenkarzy". Ale w tamtych czasach praca kaowca była również ciężkim wysiłkiem fizycznym. Mieszczącą się na parterze salę widowiskową ze stołami i krzesłami, wykorzystywaliśmy do bardzo wielu imprez. Np. jednego dnia odbywało się w niej spotkanie zakładowego koła ZBOWiD, drugiego wynosiliśmy stoły i krzesła gdzieś na I czy II piętro, bo przygotowywaliśmy wystawę twórczości profesjonalnej, np. grafik Wojciecha Górki, czy też wystawy plakatu, fotografii albo twórczości amatorskiej rodziny Klaudelów, Henryka Moryksa, Jana Gabrysiaka, Stefana Cybulskiego. Mieliśmy też wieczory poezji amatorskiej Janiny Komarnickiej, późniejszej prezeski Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury. Moja praca w kulturze do końca życia będzie mi się kojarzyć z obowiązkiem wnoszenia i wynoszenia stołów, układania krzeseł, wieszania obrazów, by wszystko było jak należy. Faktycznie my kaowcy byliśmy pracownikami do wszystkiego, czyli również do rozdzielania prasy, pisania i rozwożenia plakatów, budowania scenografii, robienia wystrojów, do których rekwizyty często przywoziliśmy z naszych własnych domów.

Nieco później, nasz ZDK zaczął się rozrastać lokalowo, pozyskiwaliśmy coraz więcej pomieszczeń po pokojach hotelowych, gdyż ich mieszkańcy otrzymywali klucze do własnych mieszkań. Wówczas znalazł u nas swoją siedzibę Górniczy Chór Męski i Orkiestra Dęta ZG Lubin.

Choć pracowaliśmy w zakładzie górniczym, przez dłuższy czas płacono nam skromne pensje według taryfikatora budżetówkowego. Pamiętam, nieraz spoglądaliśmy z zazdrością i poczuciem żalu na pracowników zakładu, którym przyznawano roczne nagrody. Raz kiedyś mieliśmy szczególne święto, bo Stanisław Kowalczyk, sekretarz zakładowy, spowodował, że i nam również przyznano dodatkowe gratyfikacje. Potem, dzięki staraniom kierownika Mariana Skórskiego, zatrudnieniowy absurd został rozwiązany i wreszcie mieliśmy górnicze stawki, które zapewniały nam również udział w nagrodach, na równi z innymi pracownikami ZG Lubin.

## ▪ Poczet kierowników i przyjaciół

Moje życie w sensie zawodowym przypominało trochę grę w serialu, w którym ciągle urządzałam innym świat. Robiłam to z dużym zaangażowaniem i pasją, ale rodzina była dla mnie zawsze wartością największą. Gdy odszedł kierownik Ryś, dyrekcja zakładu zaoferowała mi jego stanowisko. Nie przyjęłam propozycji, bo spodziewałam się dziecka. Po urodzeniu Dominiki, po urlopie macierzyńskim, zdecydowałam się jeszcze na bezpłatny 3-letni urlop wychowawczy. W tym czasie domem kultury kierowała Teresa Pacek (plastyczka), która podobnie jak kiedyś ja, ściągnęła do Lubina za mężem. Kiedy wróciłam z urlopu, kierownictwo w ZDK objął Marian Skórski, wcześniej szef działu informacji i propagandy w ZG Lubin. Po nim czwartym kierownikiem był pan Wojciech (nie pamiętam nazwiska), dojeżdżał z Wrocławia, był krótko i się nie sprawdził. Piątym szefem został Antoni Najdziński z Legnicy, a kolejnym Andrzej Patrzek, wspaniały organizator, utalentowany manualnie, literacko, plastycznie i kulinarnie. Kiedyś nawet w pracy przygotował mi makaron domowej produkcji. Zamiast wałka, którego nie

było, użył butelki. Makaron wypadł wyśmienicie i w moim domu był dodatkiem do niedzielnego rosołu.

W międzyczasie spełniłam też swoje ambicje zawodowe - studiowałam pedagogikę w zakresie pracy kulturalno-oświatowej na Wydziale Historyczno-Filozoficznym Uniwersytetu Wrocławskiego. Pod wpływem wiedzy psychologicznej i pedagogicznej zmieniło się moje nastawienie do życia. Kiedyś byłam bardziej radykalna, widziałam świat w dwóch kolorach. Studia nauczyły mnie dostrzegać barwy pośrednie, co przełożyło się również na moje życie rodzinne. Myślę, że dzięki temu moje relacje z córką Dominiką ułożyły się na stopie przyjacielskiej. W tej wewnętrznej przemianie miała swój udział Misia Orzechowska (jej mąż - Erazm Orzechowski - był dyrektorem pracowniczym w KGHM), z którą studiowałam na UWr. Misia była bardzo mądrą kobietą, miała ogromny dystans do wielu spraw. Mimo sporej różnicy wieku, nigdy nie mogłyśmy się nagadać w autobusie relacji Lubin - Wrocław i z powrotem. Kiedyś mi powiedziała: „Wiesz co Rena, gdyby nas zamknęli na wiele lat i siedziałybyśmy w jednej celi, to jeszcze po wyjściu na wolność, stałybyśmy przed bramą więzienia i gadały, i gadały".

Piwniczna-Kosarzyska, na Cyrli pod schroniskiem.

### ▪ Nie roztrząsać, co się stało

Rok 1987 zaczął się dla mojej rodziny tragicznie. 23 stycznia mój mąż umarł w pracy, przy biurku. Akurat Jan Filipi - kolega pytał: „Andrzej, czy jedziemy w sobotę na ekspres narty?". Już mu nie odpowiedział... Cóż, nie nażyliśmy się razem w nowo wybudowanym domu. Od tego dnia z życiem borykałam się sama.

Kilka miesięcy później dyrekcja kopalni zaproponowała mi objęcie kierownictwa w ZDK. Zgodziłam się, w wirze obowiązków nie roztrząsałam tego, co się stało - odnalazłam się na nowym stanowisku.

### ▪ Od Combrów do Góbabników

Z początkiem lat 80. wraz z koleżankami przejęłyśmy organizację zakładowych combrów. Scenariusze do nich pisał początkowo Kazimierz Dziedzic, pracownik ZG Lubin, a potem Bożena Ciskowska El-Sayed. Tematyka combrów była różnorodna. Do historii przeszedł comber o tematyce cygańskiej. Na podium w sali widowiskowej D-25 stanął prawdziwy tabor cygański. Był wóz drabiniasty z zadaszeniem, na sznurach suszyła się bielizna, płonęło ognisko. Pamiętam, jak wszyscy uczestnicy combra ulegli czarowi romskiej muzyki i zabawa była wyjątkowa.

W 1988 roku odbył się pierwszy Góbabnik połączony z Balem u Ciotki Peterowej. Samo słowo Góbabnik wiąże się z Jackiem Kińczykiem, kierownikiem działu administracji, wspaniałym, życzliwym ludziom człowiekiem, który mimo problemów ze zdrowiem, miał duże poczucie humoru. To właśnie on wymyślił nazwę Góbabnik, na oznaczenie zabawy, w której uczestniczą: górnik, baba i urzędnik.

Pamiętny Góbabnik prowadziłam z Henrykiem Bolesławskim, który jeszcze do dzisiaj pracuje w zakładzie. Góbabnik odbywał się w niebiańskiej scenerii, z aniołkami o twarzach dyrektorów: Szymczaka, Mularskiego, Kulczyckiego, Markowskiego i Ziai.

Lubiłam prowadzić Combry i Góbabniki, najchętniej w tandemie z Haliną Urban, z Renią Nowak i Krystyną Brandeburą.

Pod koniec lat osiemdziesiątych pozycja ZDK nieco osłabła, aby ją wzmocnić, na bazie dotychczasowego Zakładowego Domu Kultury

*2004 r., Holandia, Maastricht, z wizytą u przyjaciółki Danuty Bobeły, niegdyś pracującej w ZDK.*

powstał Międzyzakładowy Górniczy Dom Kultury. Rozszerzyliśmy działalność na kilka firm, przybyło nam obowiązków, ale dzięki temu w utrzymaniu naszego Domu partycypowały takie firmy jak: ZBK, ZBGH, ZRG i Zakład Doświadczalny.

W 1998 roku budynek, w którym mieścił się dom kultury, został przez ZG Lubin sprzedany. Pod młotek poszły również pozostałe hotele, tym samym nasza placówka przestała istnieć, a mnie przeniesiono na Lubin Główny do działu transportu. Dyrekcja nadal powierzała mi rożne zadania z zakresu kultury, między innymi organizowałam spotkania z matkami, które wychowały na górników trzech lub więcej synów. Do mnie należały uroczystości kombatanckie, zajmowałam się zakupem upominkowych wydawnictw albumowych i obrazów, i organizacją kameralnych spotkań na szczeblu zakładu.

## ▪ Pasja trwa

Po przejściu na emeryturę nadal staram się być aktywna fizycznie, z pasją uprawiam nordic walking. Dwa, trzy razy do roku wyjeżdżam do Piwnicznej-Kosarzysk, gdzie z grupą przyjaciół podziwiam piękno Beskidu Sądeckiego. Miałam szczęście spotkać tam parę razy panią Danutę Szaflarską i byłam bardzo szczęśliwa, bo moja pasja spotkań z aktorami nadal trwa. Jednak największą radością w ostatnim czasie jest wnuk Jędruś, który właśnie przyszedł na świat. Mam nadzieję, że wyrośnie na otwartego człowieka i kiedyś pójdzie w ślady dziadków i mamy, kontynuując górnicze tradycje, a może nawet artystyczne. Jego mama, a moja córka Dominika, również związała się z górnictwem, od 2006 roku pracuje w ZG Lubin. ■

**Końcówka komina już prawie weszła na swoje miejsce! Ogólna euforia! Z radości jeden z pracowników - spawacz, który stał na kominie, od razu na nią wskoczył, złapał się za linę i krzyczy: „Mam ją! Mam!". W tym momencie ta konstrukcja, wisząca na ramieniu dźwigu, odbiła w drugą stronę jak wahadło. Spawacz stał na rurze uchwycony zawiesia - bujało nim 120 m nad ziemią. Przerażeni krzyczeliśmy do niego: „Trzymaj się mocno! Trzymaj...!".**

*Aleksander Łozowski, elektroenergetyk, kierownik Wydziału Legnica ZBGH, ostatni dyrektor ZRM. Pracował w latach 1974 - 1992*

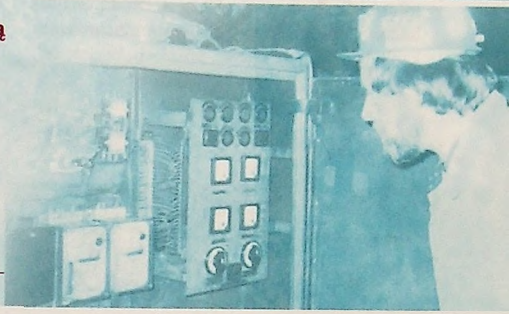

# Moje ślady na Miedzi

W mojej rodzinie nie było górniczych tradycji. Ojciec, Sybirak, po przejściu szlaku bojowego z I i II Armią Wojska Polskiego oraz rocznej służbie w Bieszczadach, znalazł się w Legnicy a potem w Lubinie, gdzie pracował w powiatowej radzie narodowej. Opowiadał, jak do urzędu w latach 60. przychodził odkrywca miedziowych złóż Jan Wyżykowski i pobierał jakieś dokumenty potrzebne do załatwienia transportu urządzeń geologicznych. Ojciec zapamiętał go jako bardzo skromnego człowieka w płaszczu i w berecie z „antenką". Nie było w nim nic z warszawskiego ważniaka, sprawiał wrażenie typowego roztargnionego naukowca.

## Prawa wielkiej budowy

Mogę o sobie powiedzieć, że jestem tutejszy, bo urodziłem się w Legnicy a wychowywałem i uczyłem w Lubinie. Potem znowu byłem związany z Legnicą, gdyż tam, w latach 1971-76, studiowałem w filii Politechniki Wrocławskiej, na Wydziale Elektrycznym. Od początku wiedziałem, że moja przyszłość to przemysł miedziowy. Nie było sensu szukać szczęścia gdzie indziej, tu potrzeby kadrowe były ogromne, angaż dostawało się niemal od ręki, i zarabiało się niezłe pieniądze.

Pracę znalazłem w Przedsiębiorstwie Budowlano-Montażowym Przemysłu Ciężkiego w Lubinie - firmie, która budowała zagłębie miedziowe. W ciągu dwudziestu lat przeszedłem całą ścieżkę zawodową; zaczynałem od majstra, potem byłem mistrzem na budowach, następnie kierownikiem budowy a kończyłem na stanowisku dyrektora.

W pierwszych dniach pracy od razu skierowano mnie na Rudną Zachodnią, gdzie miałem zająć się automatyką odstawy rudy, czyli po prostu uruchomić przenośniki taśmowe na powierzch-

ni. To była piękna szkoła życia! Akurat trafiłem na gorący okres, tuż przed odbiorem kopalni; wszyscy się spieszyli, by zdążyć z terminami. Jakimś cudem udało się je dotrzymać, tydzień przed odbiorem wszystko chodziło - no, ...może prawie wszystko.

Niektórzy psioczą strasznie na tamte lata, wytykają chaos na budowach i wielką prowizorkę. Ale presja i dziś jest taka sama. Doświadczyłem tego jako szef prywatnej firmy, gdy w trakcie budowy lubińskiej galerii handlowej Cuprum wykonywaliśmy roboty elektryczne. Dobrze to ujął mój zastępca, mówiac: „Olek, nic się nie zmieniło, wielka budowa rządzi się prawami wielkiej budowy, nieważne czy to w komunizmie czy kapitalizmie". Jest nacisk, pośpiech, bo jest cel, który trzeba zrealizować. Ale ja nigdy nie narzekałem, presja mi nie przeszkadza, na mnie działa wręcz mobilizująco - taką mam osobowość. Czuję się wtedy jak ryba w wodzie.

*Aleksander Łozowski przy stacji transformatorowej ZG Rudna - II połowa lat 80.*

## Gasiliśmy kilka dni

Na „Rudnej" pracowałem przez trzy lata (PBMC wykonywało tam różne roboty, m.in. przy budowie zakładu wzbogacania rudy), gdzie montowałem maszyny flotacyjne. Jednak najbardziej pamiętnym zdarzeniem było gaszenie potężnego pożaru szybu R-II. Mnie przypadło zadanie przeprowadzenia rewersji (zmiany) kierunku pracy wentylatorów, po to by ograniczyć efekt kominowy w szybie, a tym samym zmniejszyć dostęp tlenu do źródła pożaru, i w rezultacie zdusić ogień.

Kopalnianych wentylatorów mieliśmy za mało. Pan Polański, szef inwestycji z „Rudnej", polecił, bym jak najszybciej je ściągał, skąd się da, zapewniając, że kopalnia za wszystkie zapłaci. Uwijałem się jak tylko mogłem, zwoziłem wentylatory z całego zagłębia, brygady taszczyły je w rękach na szyb, trzydzieści metrów po schodach w górę. Tam były mocowane i podłączane przedłużaczami do prądu (bo sam szyb był odłączony od energii). Dmuchały powietrze w dół, tworząc poduszkę powietrzną utrudniającą dostęp tlenu. Akcja gaszenia trwała kilka dni. Pracowaliśmy w ogromnym napięciu, bo ogień stwarzał wielkie zagrożenie dla kopalni. Pożar udało się opanować dzięki temu, że wszyscy zachowali się odpowiedzialnie. Każdy robił swoje i na dodatek można było liczyć na pomoc innych zakładów, tak jak w przypadku wentylatorów - choć na rynku były towarem deficytowym, przekazywano je bez słowa sprzeciwu.

## Wanny przełączaliśmy w ruchu

Nasza firma PBMPC (od 1977 r. nazywała się PBMH, a w latach 1983-92 r. - ZBGH) prowadziła roboty budowlano-montażowe we wszystkich zakładach KGHM a także poza kombinatem. Nieraz jednocześnie nadzorowałem prace w kilku miejscach, a ludzie zależnie od potrzeby stale byli przerzucani, np. w jednym tygodniu brygada wykonywała zadania dla kopalni Polkowice, drugiego dla „Rudnej", a następnego dla „Sieroszowic". Tym sposobem poznałem wszystkie kombinackie zakłady i w każdym pozostał ślad prowadzonych przeze mnie robót. Zahaczyłem nawet o stare zagłębie, gdzie jako elektryk „gasiłem światło", demontując całą elektryczną infrastrukturę powierzchniową (stacje transformatorowe, kable).

Jednak jako elektryk zamiast „gasić", wolę „zapalać". Brałem m.in. udział: w montowaniu stacji rozdzielczej na Sobinie, która do dzisiaj funkcjonuje; w podłączaniu kabli (o mocy 6 MVA) zasilających główną stację wentylatorową na kopalni

Polkowice; w budowie stacji transformatorowej do podawania energii elektrycznej na plac, gdzie potem powstała kopalnia Sieroszowice (dzisiejszy szyb SW-1) a także w uruchamianiu agregatów mrożeniowych tego szybu .

Ważnym dokonaniem w moim inżynierskim życiorysie była wymiana szyn do zasilania energią wanien elektrolitycznych w hucie Głogów I. Operację tę należało przeprowadzić w ruchu, bez zatrzymywania procesu elektrolizy. Wspólnie z kolegami z huty znaleźliśmy rozwiązanie podpatrując naszych mechaników montażystów, którzy do podnoszenia stalowych konstrukcji używali siłowników hydraulicznych. Posługując się nimi zmontowaliśmy most szynowy powyżej czynnych szyn, potem opuściliśmy go na docelowe miejsce. Przerwa w pracy wanien była tak minimalna, że elektroliza została podtrzymana. Tę nowatorską metodę uznano w hucie za wniosek racjonalizatorski, a ja byłem jego współautorem.

## ▪ Wiroprądy ogrzewały piasek

Trochę uzbierało się na moim koncie tych projektów racjonalizatorskich. Do najważniejszych zaliczam wykorzystanie wiroprądów do podgrzewania piasku na podsadzkę, stosowanego w kopalni do wypełniania pustki po wyrobiskach. Piasek gromadzono w zbiornikach na Lubinie Zachodnim. Zimą, w tęgie mrozy, zamarzał. Aby go wydostać, płaszcze zbiorników

*1990 rok. Posiedzenie wyjazdowe Rady Pracowniczej KGHM w Leśnej Dolinie. Na zdjęciu m.in.: na dole, na pierwszym planie Mirosław Pawlak, dyr. naczelny KGHM, obok Grażyna Szulc, z księgowości ZG Rudna, Jerzy Nadolny - dyrektor ZUG Lena, w białej bluzce Barbara Filiczkowska z HM Cedynia, Leon Budziłowicz - późniejszy dyr. JRGH, przed nim Adolf Chyra - ostatni dyrektor ZG Konrad, czwarty od prawej stoi A. Łozowski.*

podgrzewano z zewnątrz dmuchawami. Widząc to, przypomniałem sobie swoją pracę magisterską na temat wykorzystania wiroprądów do rozruchu silników w kruszarkach stosowanych w górnictwie. Wysoko oceniono ją na politechnice i nawet została wytypowana na uczelniany konkurs. Co prawda żadnej nagrody nie zdobyła, ale bardzo przysłużyła się w mojej późniejszej pracy zawodowej. (A kolega w oparciu o nią napisał rozprawę doktorską - trochę żałuję, że nie ja sam, ale ucieszyłem się, że się komuś innemu też przydała). W praktyce zastosowałem ten pomysł z wiroprądami także do rozruchu silników agregatów mrożeniowych w Chłodni Legnickiej.

1988 rok. Wydziałowa Karczma Piwna ZBGH. Od prawej: Jerzy Kasiak, dyrektor naczelny firmy, obok Łozowski, dalej załoga wydziału.

Pomyślałem, że to elektryczne zjawisko można wykorzystać nie tylko do rozruchu silników, ale również do podgrzewania właśnie tych zbiorników z piaskiem. Odkurzyłem swoją pracę magisterską, sięgnąłem do zawartych w niej obliczeń matematycznych i w efekcie okazało się, że warto spróbować. Doszedłem bowiem do wniosku, że jeśli pole magnetyczne w stali zostanie pobudzone na tyle, że wydzieli się w niej odpowiednia ilość ciepła, to płaszcz zbiornika sam stanie się elementem grzewczym. Choć rozwiązanie to w środowisku inżynierskim miało swoich przeciwników, jednak zostało wdrożone i z powodzeniem było stosowane od 1985 roku do czasu rozpoczęcia likwidacji szybu.

Z zamarzaniem piasków mieliśmy również problem na naszych własnych budowach w ZBGH, gdyż wówczas brygady nie mogły pracować. „Jesteś inżynierem, wymyśl coś!" - zwrócili się do mnie moi szefowie. Znowu więc wykorzystałem wiroprądy i nawet w największe mrozy piasek był cieplutki. To wdrożenie, w przeciwieństwie do wcześniejszego na Lubinie Zachodnim, nie przyniosło żadnych materialnych profitów, jedynie satysfakcję i wzrost notowań w hierarchii zakładowej wśród przełożonych i załogi. Potem, gdy startowałem w wyborach do rady pracowniczej KGHM, byłem już na tyle popularny w zakładzie, że gładko powierzono mi ten mandat.

## ▪ Nocne rozgryzanie symfonii

Do rady pracowniczej kombinatu byłem wybierany przez dwie kadencje, w latach 1986-88 i 88-90. W drugiej byłem wiceprzewodniczącym. Poczułem się wyróżniony, mogąc współpracować z tak wybitnymi fachowcami, jak dyrektor Janusz Maciejewicz czy dyrektor Mirosław Pawlak. Rada w tym okresie, u schyłku lat osiemdziesiątych, miała dość mocną pozycję w strukturach kombinatu; podejmowaliśmy uchwały, które rzeczywiście były realizowane, mieliśmy też wiele do powiedzenia przy zatwierdzaniu kandydatur na stanowiska dyrektorskie w zakładach KGHM. Członkowie rady zabiegali także o interesy własnych zakładów. Pamiętam jak to było z komputerami. Gdy w 1986 roku IBM przywiózł do Polski, konkretnie do KGHM, dwa pierwsze pecety,

jeden z nich trafił do zarządu kombinatu a drugi właśnie do ZBGH. (Prawdę mówiąc, nie było na niego zbyt wielu chętnych). Kiedy przywiozłem komputer do firmy, dyrektor oniemiał. „Skąd go masz?" - pytał zaskoczony. A ja rozpływałem się z dumy: „To gratis panie dyrektorze, gratis!".

O komputerach miałem wówczas raczej skromne pojęcie. Czasem robiąc pewne projekty korzystałem jedynie z kombinackiego ośrodka obliczeniowego (COPI), wklepywałem dane, a Odra mi je obliczała. No i trochę liznąłem informatyki podczas parodniowego szkolenia IBM w ramach rady pracowniczej. Resztę trzeba było rozgryźć samemu. Pamiętam, że kiedy z Józkiem Sikorą, szefem działu informatyki w zakładzie, dorwaliśmy ten komputer, to głęboka noc nas zastała przy nim, i tak po paru dniach i nocach program kalkulacyjny Symfonia mieliśmy opanowany. Nawet nie przyszło nam do głowy, by domagać się wynagrodzenia za nadgodziny.

Komputer okazał się bardzo przydatny do obliczeń technicznych, zwłaszcza przy sporządzaniu projektów. Gdy zostałem dyrektorem ZRM kupiliśmy komputer AS-400, który był podstawowym urządzeniem przy tworzeniu centrum informatycznego KGHM-COPI. Nabyta wówczas umiejętność komputerowego projektowania do dzisiaj mi procentuje, teraz już w mojej prywatnej firmie PBM ZREM KOMPENERG.

Największym i najbardziej znaczącym projektem dla KGHM, którym mógłbym się pochwalić, było zaprojektowanie części elektrycznej odstawy rudy dla kopalni Sieroszowice. Oddelegowany przez dyrektora przez cały rok pracowałem nad tym zadaniem w naszym zakładowym biurze projektowym.

## ▪ Zaufali i strajk zakończyli

W 1989 roku awansowałem z kierownika budowy na kierownika Wydziału Legnica. Powierzono mi budowę głównego komina dla Huty Miedzi Legnica - i to jest ten najbardziej widoczny mój ślad pozostawiony na Miedzi.

Ale zanim zaczęliśmy budowę, musiałem zażegnać strajk brygady, która właśnie miała to zadanie realizować. Ludzie siedzieli w pakamerach na „Rudnej" i nie zamierzali pracować. Poszło o pieniądze za poprzednią robotę; ich zdaniem nie zostały wypłacone jak należy. Dyrektor do mnie: „Ktoś musi to załatwić, żeby poszli do pracy". Nie czułem się pewnie, bo pierwszy raz miałem do czynienia z taką sytuacją; oto stoi przede mną gromada rozgniewanych ludzi, a ja muszę jakoś do nich trafić. Nie zajmowałem się ich wcześniejszymi roszczeniami, tylko przedstawiłem konkretną propozycję. Powiedziałem ile taka robota przy budowie komina może trwać i ile każdy może zarobić (wcześniej wszystko dokładnie przeliczyłem). Osobiście zagwarantowałem, że takie pieniądze na pewno będą im wypłacone. Zaufali mi i strajk zakończyli. Od razu z bazy na „Rudnej" ruszyły w kierunku Legnicy samochody, dźwigi, transporty z dłużycą i wszelkim innym niezbędnym materiałem. Komin zbudowaliśmy jak należy, w terminie, co docenił ówczesny dyrektor huty Janusz Łyszczarz, dziękując nam podczas uroczystego spotkania w Klubie Hutnika. Ale sama budowa, a właściwie jej końcówka, wiązała się z pewną dość niebezpieczną przygodą.

*Aleksander Łozowski za biurkiem dyrektorskim w ZRM.*

Pod koniec budowy z Sochaczewa musieliśmy sprowadzić najwyższy dźwig w Polsce, bo komin zaprojektowano na 120 m. Trzeba było założyć jeszcze tylko ostatni element konstrukcji. Zrobiliśmy jedną próbę, potem drugą - nie

dało rady; brakowało ledwie kilkunastu centymetrów, by osadzić końcówkę komina.

Tego samego dnia po południu zebraliśmy się w hotelu Cuprum (tam mieszkali operatorzy dźwigu) i wspólnie zaczęliśmy się głowić, jak rozwiązać ten problem. W końcu wymyśliliśmy sposób, ale był on obarczony dużym ryzykiem, bo nie mieliśmy pewności, czy rzeczywiście będzie można ustawić dźwig w określonej odległości i pod obranym kątem. Na drugi dzień zwieńczenie komina idzie do góry, operator dźwigu stara się je nałożyć, ale nie wchodzi na swoje miejsce, drugi raz - to samo, korekta przez radiotelefon i trzecie podejście.

*Po pracy relaks w domowym zaciszu, z pupilką Piką.*

Końcówka komina już prawie weszła na swoje miejsce! Ogólna euforia! Z radości jeden z pracowników - spawacz, który stał na kominie, od razu na nią wskoczył, złapał się za linę i krzyczy: „Mam ją! Mam!". W tym momencie ta konstrukcja, wisząca na ramieniu dźwigu, odbiła w drugą stronę jak wahadło. Spawacz stał na rurze uchwycony zawiesia i bujało nim 120 m nad ziemią. Przerażeni krzyczeliśmy do niego: „Trzymaj się mocno! Trzymaj...!".

Po chwili element ważący kilkanaście ton zawrócił w stronę komina a my w strachu: czy trafi tam, gdzie trzeba, czy nie uderzy w komin!? Ale trafił, złapaliśmy tego nieszczęśnika i ściągnęliśmy szybko z tej konstrukcji. Już do końca robót montażowych nie wszedł na komin. Wszelkie roboty spawalnicze wykonywał tylko na dole.

## To była mocna załoga

Oczywiście wypadki czasem się zdarzały, jak to na budowie, gdzie pracuje się na wysokości, w wykopach, przy urządzeniach czynnych, pod napięciem itp. To wszystko rodzi zagrożenia. Nie uniknie się ich nawet, jak się jest w dozorze. Mnie urazy przytrafiały się dwukrotnie: raz złamałem nogę, innym razem rękę - w banalnych sytuacjach, nie ma o czym mówić. Takie zdarzenia są wkalkulowane w ryzyko zawodowe, i jeśli kończą się dobrze, trzeba być zadowolonym.

W Legnicy budowaliśmy także spółdzielcze mieszkania na Piekarach, wraz infrastrukturą osiedlową: sklepami, przychodniami itp. Dla naszego wydziału budowlanego to był złoty okres. Mieliśmy wtedy mocną załogę, technologicznie przygotowaną, z dużym doświadczeniem zdobytym na Miedzi.

Stroną czysto produkcyjną zajmował się inżynier Strzępek, a ja strategią i motywacją finansową. I jakoś to wszystko z powodzeniem się kręciło, osiągaliśmy wysokie wskaźniki jak na tamte czasy. Wyszło nam, że jeden człowiek w ciągu roku budował dwa mieszkania, co uchodziło za duży sukces.

## Sprzeciwiałem się fuzji

W 1991 roku ze stanowiska kierownika wydziału ZBGH niespodziewanie przeskoczyłem na dyrektorski stołek w Zakładzie Remontowo-Montażowym (ZRM). Rok wcześniej startowałem w konkursie na szefa swojej firmy. Wtedy doszedłem do ostatniego etapu razem z Romanem Wiśniewskim, ale dyrektor KGHM Mirosław Pawlak wskazał na mojego konkurenta. Zostałem więc przy swojej funkcji kierownika wydziału. Któregoś czwartku, jadąc żukiem z narady produkcyjnej, wpadłem do ZRM zaproszony przez szefową rady pracowniczej. Wiedziałem, że szukają kandydata na dyrektora, ale sądziłem, że będzie to spotkanie najwyżej w kilkuosobowym gronie a tu okazało

się, że przede mną rada w pełnym składzie. Od razu zaczęło się przesłuchanie, posypały się pytania w rodzaju: co by pan zrobił jako dyrektor? Byłem trochę zaskoczony niespodziewaną sytuacją, ale jakoś wybrnąłem. Wyszedłem z sali. Chwilę potem słyszę, że zostałem wybrany przy jednym głosie sprzeciwu. I tak wprost z żuka trafiłem na dyrektorski fotel. Posiedziałem na nim ledwie półtora roku i byłem ostatnim dyrektorem ZRM.

Sam zrezygnowałem, ponieważ sprzeciwiałem się fuzji ZRM i ZBGH, którą forsował KGHM; za łączeniem szczególnie opowiadał się prezes Paweł Ofman i Józef Spyra, członek zarządu. Miałem odmienne zdanie, uważałem, że trzeba zachować odrębność obu firm, by stworzyć warunki do konkurencyjności w ramach Polskiej Miedzi i jednocześnie dopuszczać do rywalizacji inne zakłady spoza KGHM. To mogłoby umocnić nasze firmy na rynku, zmuszając do obniżania kosztów i bardziej racjonalnej gospodarki. Zarząd był jednak za scalaniem, powstało BGHRM - ten moloch stał się zbyt pewny siebie, co skończyło się wielkim bankructwem.

## ▪ Pierwsze kompensatory na Miedzi

Widząc, że koncepcja fuzji wygrywa, odszedłem i założyłem firmę prywatną. Miałem trochę obaw, ale wiedziałem, że coś tam potrafię i jakoś dam sobie radę. Pojeździłem tu i tam, oferując swoje usługi i o dziwo, zaczęły się telefony, a za nimi poszły pierwsze zlecenia na instalacje, roboty budowlane - większość z firm miedziowych, ale też robiliśmy ogrzewanie podłogowe dla muzeum w Jaworze, czy roboty elektryczne w Legnickiej Chłodni. Dzisiaj nadal współpracuję z zakładami KGHM, z Metraco, z jednostką ratownictwa górniczo-hutniczego, z HM Cedynia. Na Lubinie Głównym budowaliśmy rozdzielnię 6kV do zasilania maszyny skipowej, stacje transformatorów na dole kopalni itp.

Trzeba jednak dodać, że w latach 90. stosunkowo łatwo było wystartować, ponieważ zapotrzebowanie na usługi rosło a konkurencja jeszcze była słaba. Teraz jest już o wiele trudniej. Dzisiaj żeby się utrzymać, wciąż trzeba się intensywnie szkolić i pracować nad jakością robót.

Bardzo sobie cenię okres pracy w miedziowych zakładach, zdobyte tam doświadczenie procentuje mi w prowadzeniu własnej firmy. Jeszcze w tamtych latach zainteresowałem się kompensacją energii biernej, czyli ogólnie rzecz ujmując - obniżaniem kosztów pobieranej energii dla dużych odbiorców. Od tego terminu wziąłem też nazwę swojej firmy - Kompenerg. Obecnie zajmuję się kompensacją w praktyce, produkując urządzenia do oszczędności energii elektrycznej, np. w silnikach kopalnianych taśmociągów. Byliśmy pierwszą firmą, która tutaj, w zagłębiu, wyprodukowała kompensatory mocy biernej na potrzeby Miedzi.

## ▪ Teraz życie pełniejsze

Moje hobby? To mój zawód, moja praca. A oto dowód - pisma fachowe (Atest, Inżynier Budownictwa, Stowarzyszenie Elektryków Polskich, WUG) a w nich moje artykuły. Niedawno zdarzyła mi się zabawna sytuacja. Robiliśmy badania urządzeń elektrycznych dla KGHM, pani, która je koordynowała z ramienia spółki miała pewne wątpliwości. Zwraca się do mnie: „Panie Aleksandrze, czy pan to wszystko na pewno dobrze robi? Bo ja tu mam artykuł w branżowym piśmie...". „To interesujące - mówię - ciekawe, kto to napisał?". Odwracamy stronę, pani odczytuje moje nazwisko pod artykułem i patrzy na mnie zaskoczona.

Mam już pomysł na kolejne publikacje, jedna będzie dotyczyła oświetlenia elektrycznego na stanowiskach pracy a druga - wyższych harmonicznych. Takie artykuły nie tylko nobilitują w środowisku, ale też pobudzają zawodowo, zmuszając do poszerzania swojej wiedzy, do bycia na bieżąco z najnowszymi trendami, technologiami i wszelkimi nowinkami.

Kocham swoją pracę i gdybym dzisiaj, w wieku 63 lat musiał przejść na emeryturę, byłaby to dla mnie prawdziwa klęska. Mając prawie 40 lat doświadczenia, czuję w sobie większą sprawność zawodową, niż wtedy, gdy miałem 30-40 lat. Życie teraz wydaje się mi pełniejsze. Dlatego chciałbym jak najdłużej utrzymać aktywność w swojej branży.

Razem ze mną w firmie pracuje moja żona - Ewa przedtem była dziennikarką w TV Lubin. Córki mieszkają daleko od nas: Eliza, absolwentka geologii, nie znalazła zatrudnienia w zagłębiu miedziowym i wyjechała do Warszawy. Ewelina, sinolog, jest w Chinach. Gdy miała pisać pracę magisterską na Uniwersytecie Warszawskim, jej promotorka (córka prof. Z. Religi) wyjeżdżała właśnie do Chin i zaproponowała, by Ewelina wyjechała razem z nią i tam pisała pracę. Pani promotor wróciła, a córka została i dokończyła studia w Pekinie. ■

**Na hali panowała produkcyjna cisza. Słychać było tylko hałas narzędzi ręcznych i elektronarzędzi. Żmudne i uciążliwe prace remontowe sprawiały, że robotnicy wykorzystywali każdą okazję, by urozmaicić sobie monotonne czynności. Najczęściej ofiarami ich dowcipów stawały się „pieczarki", czyli ludzie z dozoru noszący białe kaski ochronne.**

*Jerzy Hallala, kierownik oddziału remontowego wydziału automatyki i pomiarów; inspektor nadzoru w Hucie Miedzi Głogów. Pracował w latach 1974 - 2012*

# Bez automatyki ani rusz

Pierwszy kontakt z KGHM nie był dla państwa Hallalów zbyt fortunny. Pan Jerzy i jego żona, Jadwiga, w latach 60. studiowali na Wydziale Elektrycznym Politechniki Wrocławskiej: on automatykę, ona budowę sieci elektroenergetycznych. Byli już małżeństwem i mieli córeczkę, w której wychowaniu pomagali mieszkający we Wschowie rodzice pani Jadwigi. Na czwartym roku postanowili starać się o stypendia fundowane a swoje przyszłe miejsca pracy widzieli w nieodległej od Wschowy Hucie Miedzi Głogów.

## Koniecznie do huty

– To był rok 1969 – wspomina Jerzy Hallala. – Pojechaliśmy na rozmowę do huty. Dział kadr mieścił się, jak i cała dyrekcja, w barakach przed płotem, za którym budowano hutę. Niestety wróciliśmy z niczym. Pierwszy dyrektor huty Ryszard Sojka oświadczył nam wprost, że małżeństwa do pracy nie przyjmie - koniec, kropka. Do dziś nie wiem, dlaczego tak nas potraktował.

Szukali dalej i znaleźli stypendia w Nowej Soli; ona w Lubuskim Przedsiębiorstwie Budownictwa Przemysłowego, które było generalnym wykonawcą głogowskiej huty, on - w Dolnośląskich Zakładach Metalurgicznych DOZAMET. W tej odlewni żeliwa produkowano po wojnie części do czołgów, a potem m.in. tubingi do silosów rakietowych i do kopalnianych szybów. Zakład znany był również z wytwarzanych w nim kotłów na paliwa stałe, a także z maszyn i linii odlewniczych. Pan Jerzy zatrudnił się jako konstruktor, zajmował się przygotowaniem elektrycznych układów sterowania maszynami z ciągu odlewniczego. Jednak klimat w zakładzie dla młodych ludzi nie był sprzyjający, zła polityka kadrowa zamykała młodym dostęp do awansów. Dlatego niemal od samego początku myślał o zmianie pracy, ale zgodnie z umową musiał odrobić otrzymane stypendium.

Za pośrednictwem kolegów miał już upatrzone miejsce w głogowskiej hucie. Po wielu podejściach udało się mu przekonać dyrektora

*Czyn społeczny - porządkowanie skweru przy centralnej sterowni w HM Głogów II. Jerzy Hallala pierwszy z lewej (z prawej - Lech Mirynowski, obok - Bolesław Łoziński ). 1978 rok.*

Dozametu, by podpisał przeniesienie do huty za porozumieniem stron. I tak, 1 grudnia 1974 roku, został kierownikiem oddziału remontowego automatyki i pomiarów w pionie Głównego Automatyka.

– Cieszyłem się na tę pracę, bo tam była szansa na rozwój zawodowy i na dobre zarobki. Gdy w 1971 roku przyjmowałem się do Dozametu w angażu wpisano mi - 1500 zł brutto plus 10 proc. premii. W hucie dostałem trzy razy więcej, ale coś za coś; musiałem więcej z siebie dać w pracy, jak i znosić uciążliwości związane z dojazdami. Nie chcieliśmy się jednak przenosić do Głogowa, przyzwyczailiśmy się już do Nowej Soli, mieliśmy tu mieszkanie, które żona otrzymała z LPBP, dzieci chodziły do przedszkola i niedaleko było do teściów. Tak więc, codziennie o czwartej pobudka; początkowo dojeżdżałem koleją, potem przewozami pracowniczymi - większość z nas podczas 30. kilometrowej trasy dosypiała zarwaną noc.

## ▪ Kusili zarobkami i mieszkaniami

Jako kierownik warsztatów nadzorował naprawę, konserwację, sprawdzanie i legalizację aparatury kontrolno-pomiarowej znajdującej się w układach elektrycznych, elektronicznych, pneumatycznych i hydraulicznych. Podlegało mu do 40. ludzi, a w pionie Głównego Automatyka pracowało wtedy łącznie około 200 osób. Szefem pionu i bezpośrednim przełożonym pana Jerzego był Krzysztof Krzyżanowski. Przeszedł on z HM Legnica wraz z Ryszardem Kryńskim, Antonim Bednarczykiem i Edwardem Ryzykowem. To oni tworzyli w „Głogowie" kadrę wydziału automatyki, byli jego pionierami. Fachowców w tej nowej na tamte czasy dziedzinie brakowało, wyławiali więc specjalistów z innych zakładów, podkupując dobrymi zarobkami i przydziałami mieszkań niemal od ręki.

– Obszar działania automatyków rozciągał się niemal na całą hutę, tj. na: wydział przygotowania wsadu, ciąg ogniowej produkcji (piece szybo-

we, konwertory, piece anodowe), wydział elektrorafinacji i oczyszczalni elektrolitu, wydział kwasu siarkowego, elektrociepłownię, dmuchawy, wydział ołowiu. Jednym słowem - bez automatyki ani rusz. Kierując oddziałem dostrzegałem konieczność jego reorganizacji – mówi Jerzy Hallala o początkach pracy w hucie. – Chodziło mi o to, by w jednym miejscu, tzn. w pracowniach Warsztatów Remontowych (pneumatycznej, termometrycznej i elektronicznej) sprawdzano, kalibrowano i legalizowano urządzenia oraz przyrządy kontrolno-pomiarowe, takie jak: ciśnieniomierze, mierniki temperatury, przetworniki, rejestratory, urządzenia sygnalizacyjne, elementy wykonawcze automatyki. Do tego czasu ta procedura była rozproszona po różnych wydziałach.

*Pracownicy Warsztatów Remontowych Automatyki Kontrolno-Pomiarowej i Automatyki. Pierwszy z prawej kierownik Jerzy Hallala, obok mistrz Leon Ostrowski. 1980 rok.*

## ▪ Anoda anodzie nierówna

Gdy zaczynał w hucie pracę, do pomiarów (ciśnienia, temperatury, przepływu, wagi) używano aparatury analogowej, tzn. mówiąc potocznie - wskazówkowej, bo praktycznie innej wtedy w naszym kraju się nie spotykało. Pod względem precyzji daleko jej było do dzisiejszej elektronicznej czy cyfrowej. Tymczasem dla zakładu to niezwykle istotne z jaką dokładnością wskazuje choćby waga do ważenia hutniczych produktów, np. anod (wagowo nie są identyczne), gdyż od tego ostatecznie zależy, ile zakład otrzyma pieniędzy z ich sprzedaży. A z kolei sprawność przepływomierza gazu decyduje o wysokości rachunków za gaz - huta zużywa go przecież w ogromnych ilościach.

Aby być pewnym, że przyrząd (manometr, termometr, przetwornik) działa bezbłędnie, uprawniony pracownik porównywał jego działanie z urządzeniem wzorcowym, które znajdowało się w hutniczym laboratorium. Wzorzec z kolei też musiał być co pewien czas weryfikowany albo na miejscu w warsztacie kierowanym przez Jerzego Hallalę, albo w Okręgowych Urzędach Miar we Wrocławiu, Krakowie, Warszawie czy Centralnych Zakładach Automatyzacji Hutnictwa w Katowicach.

Podobnie rzecz się miała w przypadku czujników temperatury. Od ich niezawodnego działania zależała jakość odlewu. Np. do wytopu

wymagana była temperatura topu 1250 st., ale dopiero wprowadzenie cyfrowego pomiaru dawało pewność, że wskazanie jest zgodne ze stanem faktycznym. Dlatego z początku pomiary analogowe temperatury wspomagało hutnicze rzemiosło: wiedza, doświadczenie i rzetelność zawodowa pracowników. Piecowy pobierał metal łyżką na długim wysięgniku, wylewał jako sztabkę, oceniał „na oko", potem dla pewności sztabkę szybko przekazywano do Działu Kontroli Jakości, gdzie decydowano, czy już można odlewać, czy dalej trzeba topić. Dzisiaj nad tymi czynnościami czuwają analizatory.

## ▪ Ciągła modernizacja sterowania

Czasy hutniczych rzemieślników to przeszłość. Obecnie można opomiarować dowolną ilość parametrów precyzyjnie sygnalizujących przebieg procesu technologicznego i uwidocznić je na ekranach monitorów w różnych miejscach huty: w sterowniach obiektów, w biurach mistrzów, kierowników, dyspozytorów, szefów produkcji i dyrekcji.

– W trakcie mojej pracy – mówi pan Hallala – technologia hutnicza a także technika jej opomiarowania przeszły istną rewolucję; od prostych analogowych urządzeń do techniki komputerowej. Huta nieustannie się modernizowała i nadal modernizuje, wprowadzając dokładniejsze i szybsze opomiarowanie. A to z kolei zmusza załogę, a szczególnie kadrę inżynierską, do ciągłego dokształcania się. Żeby wdrożyć się w problematykę hutniczą, już na początku pracy ukończyłem na Politechnice Warszawskiej dwa rodzaje studiów podyplomowych: z zakresu mechaniki precyzyjnej i automatyzacji prac. Przeszedłem również sporo krótkich kursów delegacyjnych w różnych zakładach i instytucjach. Szkolono też całe grupy pracowników, najpierw na wyjazdach, a z czasem ze względu na koszty, wysyłano tylko jedną osobę, która po powrocie przekazywała wiedzę i umiejętności szerszej grupie. Nie odrywano już ludzi od pracy, tylko szkolono po zakończeniu zmiany, albo na styku zmian.

## ▪ Mistrz zastąpił dyrektora

Kiedy przebieg procesu technologicznego zależał głównie od percepcji człowieka, zdarzało się więcej awaryjnych sytuacji. Później wraz z postępem automatyzacji było ich coraz mniej. Najpierw pojawiły się duże sterownie tablicowe, a poszczególni sternicy mieli przydzielone pola do obserwacji. Sterownie były sporych rozmiarów, ponieważ musiały pomieścić duże ilości przyrządów, z tej przyczyny, że do każdego rodzaju pomiaru stosowano oddzielne wskaźniki, mierniki i rejestratory. Dopiero później pojawiły się pomiary zespolone - wielokanałowe, dzięki temu na jednym przyrządzie można było pokazywać kilka parametrów jednocześnie. Z czasem ta wielka ścienna sterownia skurczyła się do rozmiarów monitora z uwidocznionym schematycznym opomiarowaniem obiektu.

– W pierwszych latach zdarzało się dużo awarii, ale nie wynikały one z zawodności aparatury pomiarowej, raczej z ludzkich błędów – przekonuje inż. Hallala. – W trakcie mojej pracy ostatnia duża awaria przydarzyła na wydziale metalurgicznym „jedynki". Nieumiejętne podstawianie kadziowozu spowodowało, że podczas wlewania do niego topu z kadzi odbita struga płynnego metalu i gazów o wysokiej temperaturze spaliły kilka metrów bieżących kabli zasilających i sterowniczych. W rezultacie natychmiast stanęła produkcja na tym odcinku. Do akcji od razu ruszyły służby serwisowe; należało się spieszyć, żeby nie „zamrozić" pieców szybowych oraz podtrzymać pracujące konwertory. Przede wszystkim uruchomiono zastępcze sterowanie, czyli taki sterowniczy by-pass. Niebezpieczna sytuacja po paru godzinach została opanowana, ale usuwanie skutków awarii trwało jeszcze sporo dni. Awarie prześladowały nas również podczas uruchamiania HM Głogów II. Brały się stąd, że wdrażano wówczas nowoczesną, ale nieznaną w kraju fińską technologię wytopu rodzimego koncentratu w piecu zawiesinowym, której po prostu musieliśmy się nauczyć.

Kompetencje kadry zarządzającej rosły z roku na rok. Inż. Hallala widział jak się zmieniały na przestrzeni 38 lat jego pracy w hucie. Początkowo podczas rozruchów po planowanych czy awaryjnych przestojach remontowych w zakładzie obowiązkowo dyżurowali dyrektorzy czy szefowie produkcji. Minęło ileś lat i nadzór uruchomień powierzano kierownikowi wydziału. A gdy pan Jerzy odchodził na emeryturę, nad planowanym rozruchem czuwał pracownik na szczeblu mistrza i sternicy. Kompetencje zeszły tak nisko, ponieważ procentowało doświadczenie i nieustanne szkolenie. Kadra przestała zajmować się

szczegółami, wszelkie potrzebne dane ma teraz pod ręką w sterowni lub u siebie na monitorze, a w razie potrzeby bezpośrednią łączność z każdym stanowiskiem pracy. Pan Jerzy pamięta, jak wiele lat temu pracownicy technologiczni w sytuacji pilnego skontaktowania się z przełożonymi musieli biec do słupa, gdzie przymocowany był aparat telefoniczny w żeliwnej obudowie i na tarczy wykręcali numer do szefa.

*Żona często towarzyszyła panu Hallali w jego kajakowych wyprawach.*

Planowane remonty pieców były gorącym okresem także dla automatyków. Ich obecność była niezbędna od momentu nadzorowania poprawnego montażu nowych czujników temperatury w odtwarzanej wymurówce do końcowego etapu uruchomienia pieca. Nawet na te zaplanowane remonty zawsze było za mało czasu, dlatego nieraz przez całą dobę automatycy nie mogli odejść od pieca, czuwali nad jego wygrzewaniem i przyjęciem pierwszego załadunku czy topu.

## ▪ Wrabianie „pieczarki"

Początkowo duże remonty pieców na hucie 1 odbywały się po całkowitym wygaszeniu i wystudzeniu ciągu hutniczego (piec szybowy, konwertor). Na hali panowała produkcyjna cisza. Słychać było tylko hałas narzędzi ręcznych i elektronarzędzi. Żmudne i uciążliwe prace remontowe sprawiały, że robotnicy wykorzystywali każdą okazję, by urozmaicić sobie monotonne czynności. Najczęściej ofiarami ich dowcipów stawały się „pieczarki", czyli ludzie z dozoru noszący białe kaski ochronne.

– Gdy wymurówkarze remontujący oko wlewowo/wylewowe konwertora siedząc na rusztowaniach z wysokości około sześciu metrów zobaczyli wchodzącą do hali świeżą „pieczarkę", rozpoczynali akcję – opowiada pan Jurek. – Celowo upuszczali narzędzie, np. klucz maszynowy, który upadając na betonową podłogę pod konwertorem czynił metaliczny raban. Następnie spuszczali linę i wołając oraz machając rękoma przywoływali „pieczarkę" prosząc o przywiązanie do liny upuszczonego narzędzia. Aby spełnić tę prośbę „pieczarki" odbywające kontrolny obchód remontowy wzdłuż bezpiecznego ciągu komunikacyjnego hali, były zmuszone do przejścia na skróty przez zalaną nieckę awaryjnego wylewu topu. Kolor powierzchni wody pokrytej „filmem" osiadłego pyłu tworzył powierzchnię nie różniącą się kolorem od otaczającej nieckę posadzki betonowej. Z pośpiechu „pieczarki" wchodziły do niecki, mocząc buty i spodnie. Remontujący reagowali salwą śmiechu, a na pancerzu remontowanego konwertora przybywała kolejna biała krecha.

## ▪ Pozostał przy Głogowie

W 1997 roku, w ramach restrukturyzacji HM Głogów polegającej na wydzieleniu służb pomocniczych ze struktury zakładu, większość Wydziału Automatyki i Pomiarów przekształcono w spółkę z o.o. - Przedsiębiorstwo Automatyki i Pomiarów, późniejszą „Automatykę - Miedź". Wówczas, po 23 latach pracy na kierowniczym stanowisku, Jerzy Hallala musiał zdecydować, czy przechodzi do spółki, czy też zostaje w hucie, ale już na mniej korzystnych warunkach. Wybrał to drugie rozwiązanie, obawiając się, że spółka może podzielić los wielu innych, które nie poradziły sobie z samodzielnością i po pewnym czasie upadały. Wolał pewniejsze zatrudnienie w hucie, mimo że tracił stanowisko kierownika i w związku z tym początkowo gorzej zarabiał.

Panu Hallali w hucie zaproponowano posadę inspektora nadzoru automatyki - kontrolował roboty wykonywane przez spółkę PAiP na rzecz huty Głogów I. (PAiP w ramach tzw. parasola ochronnego, przez kolejne trzy lata miało zagwarantowane zlecenia z huty na bieżący serwis i remonty). Jerzy Hallala nadzorował wszystkie prace związane z automatyką, brał udział w odbiorach i odpowiadał za dokumentację rozliczeniową. Ponadto koordynował harmonogram prac różnych firm usługowych, które w jednym czasie pojawiały się w hucie, by wykonać zlecone zadania.

W sumie był obarczony większym zakresem obowiązków i większą odpowiedzialnością niż na poprzednim stanowisku; podpisem przy odbiorze ręczył za jakość wykonanych robót.

– Zawsze był nacisk na skrócenie czasu postoju – mówi – bo jeśli szybciej oddaliśmy obiekt do wygrzewania, to można było wcześniej rozpocząć produkcję. Porządne wykonanie remontu i do tego w terminie było doceniane przez zwierzchników, także w formie premii. A samemu też miało się satysfakcję, że harmonogram remontów jest płynnie realizowany.

*XXX Zimowy Spływ Energetyków na Brdzie. Zespół z KTK Głogi. Temperatura w tym dniu ( -23°C). Hallala z numerem 15. Styczeń 1996 rok.*

## ▪ Zamiłowanie do wioseł

Nie tylko samą pracą żyło się w zakładzie. Był skarbnikiem, sekretarzem i przewodniczącym koła nr 3 Stowarzyszenia Elektryków Polskich w ramach Stowarzyszeń Naukowo Technicznych działających w hucie.

Działał w Oddziale Zakładowym PTTK, pełniąc przez 6 kadencji funkcję prezesa - na emeryturze nadal jest członkiem tego Oddziału. Ruch turystyczny w hutniczym środowisku zapoczątkowany został w 1969 roku, a więc jeszcze w trakcie budowy huty. Pan Ryszard Adamczyk z LPBP był pierwszym prezesem. Jerzy Hallala dołączył w 1975 roku i od razu turystyka na dobre go wciągnęła, przede wszystkim ta kwalifikowana, polegająca na zdobywaniu różnych stopni i uprawnień. Turystyczne ciągoty zawdzięcza rodzicom, szczególnie ojcu, który często zabierał go w Beskid Śląski i Żywiecki. Tam też stawiał swoje pierwsze wodniackie kroki.

Obecnie w hutniczym PTTK działa wiele różnych klubów zajmujących się krajoznawstwem w Polsce i turystyką zagraniczną. Największą popularnością cieszy się Klub Turystyki Pieszej i Górskiej MRÓWKA, poza tym istnieją takie kluby jak: taternictwa jaskiniowego i głogowski klub morski FREGATA. Pan Jerzy założył Klub Turystyki Kajakowej GŁOGI, ale jego aktywność niestety zamarła, gdy w 2012 roku przeszedł na emeryturę.

– Przez kilkanaście lat byliśmy kajakarską potęgą, działając na rzecz pracowników KGHM i ich rodzin – podkreśla z dumą pan Jerzy. – Zorganizowaliśmy 70 ogólnopolskich spływów dwutygodniowych i weekendowych na różnych akwenach w całym kraju, a wzięło w nich udział około 5400 osób. Bardzo dobrze wspominam czasy, gdy dyrektorem ds. pracowniczych w kombinacie był Edward Rippel, który nie skąpił funduszy na turystykę i rekreację. To za jego kadencji zaczęły

*Zakończenie XXI Ogólnopolskiego Spływu Kajakowego Górników i Hutników Miedzi. Józef Bober, dyr. pracowniczy HM Głogów wręcza puchar Danielowi Klaczkowskiemu, sternikowi HM Głogów II. Na dalszym planie Jerzy Hallala. Wieleń, 2003 rok.*

się odbywać coroczne spływy współfinansowane przez miedziową firmę: w maju/czerwcu z okazji Dnia Hutnika i w listopadzie/grudniu z okazji Dnia Górnika. Dla braci wodniackiej organizowaliśmy kajakowe wyścigi w ramach Spartakiad Sportów Wodnych na jeziorze Sławskim. Naszymi sprzymierzeńcami byli również dyrektorzy ds. pracowniczych huty: Czesław Gmitruk, Henryk Szunejko, Ryszard Bajorski i Józef Bober. Zwykle pojawiali się na finiszu naszych spływów połączonych z imprezami sportowo-rekreacyjnymi i krajoznawczymi.

Miedziowe spływy przeszły już do historii, od czasu gdy KGHM zaprzestał do nich dokładać, ale wielu osobom zamiłowanie do wioseł pozostało. Dziś tych ludzi pan Jerzy spotyka na rzekach całego kraju, również na spływach w ekstremalnych zimowych warunkach. W styczniu tego roku sam brał udział (po raz 37) w zimowym spływie energetyków na rzece Brdzie. Miał tam okazję pogawędzić z guru kajakarstwa, utytułowanym Aleksandrem Dobą (m.in. Podróżnik Roku 2015 w plebiscycie National Geographic za samotne przepłynięcie kajakiem Atlantyku), niegdysiejszym uczestnikiem miedziowych imprez wodniackich.

Pan Jerzy Hallala uprawia turystykę kajakową kwalifikowaną, a to oznacza, że wszystkie swoje wyczyny dokładnie dokumentuje. Obliczył, że do grudnia ub. roku przepłynął 16 tys. km rzek, brał udział w spływach przez 855 dni, z tego 678 siedział w kajaku. Często pływał z małżonką, która chętnie - choć już coraz rzadziej - wsiada do kajaka, ale jako amatorka. Ma już siedem stopni wtajemniczenia, a będzie się starał o najwyższy ósmy. Za swoje wodniackie wyczyny otrzymał również europejski dyplom uznania a najbardziej sobie ceni brązową odznakę International Canoe Federation.

## ▪ Dzień za krótki

Oprócz kajakarstwa, uprawia żeglarstwo, już ponad 40. lat Zaczynał w swoich stronach rodzinnych, na Zalewie Żywieckim, potem zdobywał kolejne stopnie żeglarskie (aż do kapitana jachtowego) w Centralnym Ośrodku Żeglarskim w Trzebieży i Centrum Wychowania Morskiego w Gdyni. Wyprawiał się na rejsy morskie z kolegami. Teraz już nie zapędza się tak daleko, zwykle pływa po Jeziorze Sławskim wraz z żeglarzami z nowosolskiego klubu TKKF Żeglarz, do którego też należy. Mówi, że kondycja już nie ta co kiedyś, mimo to bez większego wysiłku pokonuje kilkadziesiąt kilometrów na rowerze. Nadal też jeździ na narty w Karkonosze, najczęściej z wnukami Basią i Michałem.

Mimo emerytury dzień dla pana Jerzego jest wciąż za krótki; bo rodzina, działka, wodniackie pasje. Oboje z żoną wspierają muzyczne zainteresowania wnucząt. Dwójkę, mieszkającą w Nowej Soli, wożą na zajęcia do szkół muzycznych w Nowej Soli i Zielonej Górze oraz na zajęcia sportowe. Dzieci syna mieszkającego w Oleśnicy również grają na instrumentach, stąd spotkania rodzinne często uświetniają popisy najmłodszego pokolenia. ■

*W rajdach Klubu MRÓWKA biorą udział również rodziny pracowników. Na zdjęciu: córka pana Jerzego - Sylwia, z mężem Karolem (elektryk w HM Głogów), synem Michałem i córką Basią. Wołowiec, 2011 rok.*

**Po silnym wstrząsie w „Rudnej" telefon nie milkł i drzwi działu szkód górniczych się nie zamykały. Mieszkańcy Polkowic i pobliskich miejscowości interweniowali na okrągło. Wtedy musieliśmy ściągać do pomocy kolegów z kopalni Lubin, Sieroszowice i specjalistów z centrali KGHM, bo sami nie dawaliśmy sobie rady z nawałem zgłoszeń.**

*Witold Dobrut, zastępca kierownika działu szkód górniczych ZG Rudna. Pracował w latach 1975 - 2006*

# Przecinaliśmy wieżowce

Na początku lat 70. Lubin pilnie potrzebował wielu nowych domów dla ludzi, którzy ściągali tu z całej Polski do pracy na Miedzi. Witold Dobrut, wówczas młody inżynier konstruktor po Politechnice Wrocławskiej, przyjechał, bo tutaj mógł szybko otrzymać etat i mieszkanie. Zatrudnił się w Legnicko-Lubińskim Przedsiębiorstwie Budowlanym. Potem, już jako pracownik „Rudnej", przez kilkadziesiąt lat zajmował się tym, co naprawdę lubił.

## Do „Rudnej" z ogłoszenia

Stawiał jedne z pierwszych wieżowców w Lubinie, w powszechnie wówczas stosowanej technologii wielkiego bloku, zajęcie to wydawało się mu dość monotonne.

– Budowałem i budowałem, aż w końcu doszedłem do wniosku, że czas zmienić pracę. Zacząłem przeglądać gazety w poszukiwaniu ofert. Któregoś dnia przeczytałem, że potrzebują budowlańców do nowo powstającej kopalni Rudna. Zatrudniło się tam kilku moich znajomych, miałem więc jako takie rozeznanie, czym w tej firmie może zajmować się inżynier budowlany – wyjaśnia Witold Dobrut.

Do „Rudnej" przyjmował się dwukrotnie. W 1975 dostał zajęcie w dziale inwestycji. Od razu rzucono go w wir wielu zadań; nadzorował budowę obiektów Rudnej Zachodniej i podsadzkowego szybu R-6. Trwało to pięć lat. W dziale inwestycji miejsca nie zagrzał jednak na stałe i przeszedł do sekcji szkód górniczych. Krótko potem o mało nie został zwolniony z pracy, o czym dowiedział się w niecodziennych okolicznościach.

– W czasie stanu wojennego, jakiś czas po strajkach, dyrekcja poprosiła kilka osób, w tym mnie, bym wpisywał na listę zatrudnionych górników, których wcześniej „karnie" zwolniono z kopalni za udział w protestach. Kiedy już wszystkich zainteresowanych wpisałem, okazało się, że ja też jestem wśród zwolnionych, o czym

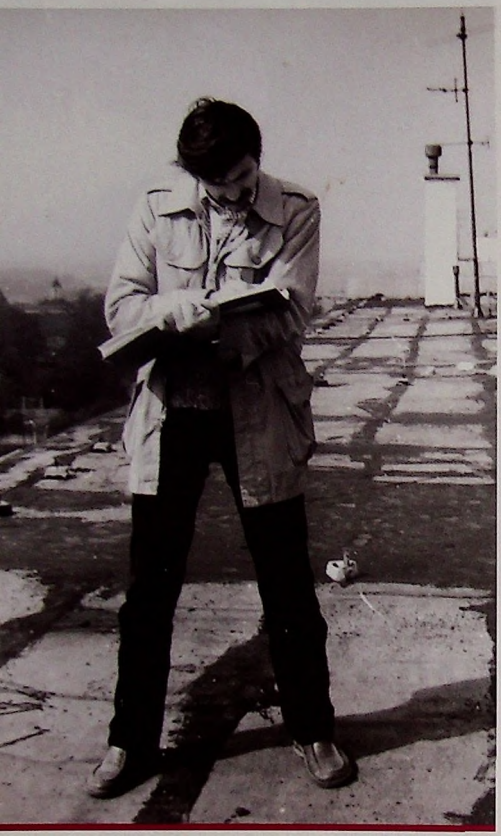

*Witold Dobrut na dachu jednego z polkowickich domów, które poddawane były udrażnianiu dylatacji. Rok 1978.*

nie miałem pojęcia. Musiałem także zostać wpisany do wykazu przywróconych do pracy – opowiada z rozbawieniem pan Witold.

## Zaczyna tąpać

Po kilku latach eksploatacji rudy miedzi, wbrew przewidywaniom naukowców, w zagłębiu zaczęło tąpać. Wstrząsy coraz dotkliwiej odczuwano na powierzchni, szczególnie w Polkowicach i okolicy. Szybko ujawniły się szkody górnicze, zwłaszcza że stare poniemieckie budynki nie miały zabezpieczeń przed wstrząsami. A że w latach 60. i później liczyła się głównie ilość wybudowanych mieszkań, pierwsze nowe polkowickie bloki były tylko nieco bardziej odporne na tąpania niż stare domy.

– Po jakimś czasie od wybrania rudy, pod ziemią powstawała niecka – tłumaczy inżynier Dobrut. Wtedy długie, zblokowane budynki, nie mając swobody ruchu, parły jeden na drugi, zakleszczały się, i na złączach ścian pojawiały się pęknięcia. W Polkowicach straty były znacznie rozleglejsze niż w Lubinie, dlatego w kopalni Rudna sekcję szkód górniczych, już po trzech latach powiększono i przekształcono w dział. Mimo to po silnych wstrząsach musieliśmy ściągać do pomocy kolegów z kopalni Lubin, Sieroszowice, a nawet z centrali KGHM, bo nie dawaliśmy sobie rady z nawałem zgłoszeń. Mieszkańcy Polkowic i pobliskich miejscowości interweniowali na okrągło. Telefon nie milkł i drzwi działu szkód górniczych się nie zamykały. Jeśli była taka potrzeba, przełożony dzwonił nawet w nocy i zapowiadał, że następnego dnia rano zaczynamy akcję przeglądów.

## Tłuką się szklanki, pękają ściany

Pracownicy działu jeździli do gospodarstw, szkół, sklepów, kościołów i do miejscowych zakładów. Mieszkańcy zgłaszali nie tylko poważne szkody, jak pęknięcia ścian, ale też i te drobne, kiedy stłukło się kilka szklanek lub towar w sklepie spadł z półki i został zniszczony.

– Kopalnia zawsze zwracała pieniądze za poniesione straty – zapewnia pan Dobrut. – Wszystko dokładnie zliczaliśmy, spisywaliśmy i wycenialiśmy, a właściciel mieszkania, domu czy szef firmy potwierdzał to swoim podpisem. Niektórzy próbowali zawyżyć wycenę szkód, dlatego zastrzegaliśmy sobie, że do naszego przyjazdu zniszczone rzeczy musiały pozostać na miejscu. Rutynowo sprawdzaliśmy newralgiczne obiekty, niezależnie od tego czy dotyczyło ich jakieś zgłoszenie, czy też nie.

Witold Dobrut szczególnie zapamiętał kłopoty z polkowickim blokiem przy dawnej ul. Lenina, dzisiejszej Sztygarskiej. W tym budynku o długości stu metrów często pękały ściany. Rozmowy z lokatorami przebiegały trochę nerwowo, bo ludzie bali się w nim przebywać. Nigdy nie zdarzyło się jednak, by ktoś z lokatorów podczas wstrząsów stracił życie, czy choćby został ranny.

– Przez trzydzieści jeden lat mojej pracy na „Rudnej" wykwaterowaliśmy na stałe tylko jedną rodzinę – zaznacza inżynier Dobrut. – Dwóch najemców musiało przenieść się na pewien czas do lokali zastępczych, które kopalnia zawsze trzymała w pogotowiu. Potem wrócili do swoich mieszkań, bo szkody, które w nich powstawały, potrafiliśmy już usuwać, a nawet im zapobiegać.

*Barbórka, rok 1999. Witold Dobrut (z prawej) z zaprzyjaźnionym księdzem Witoldem Pietschem, proboszczem parafii w Grodowcu. Obok kierownik działu szkód górniczych Zbigniew Samokar.*

## ▪ Dylatacje i przypory

Specjaliści działu szukali skutecznych sposobów zapobiegania szkodom i ich usuwania. Zlecali projekty naukowcom z Politechniki Wrocławskiej, Krakowskiej, a także Politechniki Częstochowskiej. Na tej ostatniej wykładał świetny fachowiec, profesor Józef Ledwoń, z którym dość długo „Rudna" współpracowała. Kopalnia wybierała najlepszy projekt i go realizowała. W usuwaniu szkód górniczych specjalizował się też Przesław Król z Pracowni Projektowej Moduł w Lubinie, który wykonywał różnego rodzaju ekspertyzy i projekty zabezpieczeń. Witold Dobrut mówi o nim, że był jak „strażak", zawsze do dyspozycji jego działu. Wtedy po raz pierwszy w Polsce zastosowano udrażnianie dylatacji budynków.

– Pamiętam, jak cięliśmy od dachu aż do piwnic 5-kondygnacyjny blok przy Sztygarskiej, na krótsze, około 30-metrowe segmenty. Pomiędzy nimi, w niedrożnych dylatacjach, przeciskał się łańcuch zaopatrzony w tnące zęby widiowe, które obracając się, udrażniały szczeliny dylatacyjne – objaśnia. – Robiliśmy w ten sposób przerwy między segmentami szerokości nawet 10 cm. Ten luz pozwalał budynkom pracować, co zapobiegało spękaniom ścian. Było przy tych pracach trochę hałasu i lokatorzy się skarżyli, zwłaszcza, że udrażnianie kilku długich budynków trwało parę lat. Dylatacje udrażnialiśmy też w dwóch wieżowcach w Polkowicach. Ponadto dostawiliśmy im z boku przypory, to jest nowe segmenty mieszkalne, które dosztywniały budynki. Przypory, tak samo jak udrażnianie dylatacji, były w tym czasie nowością w Polsce. Dlatego sami musieliśmy sobie radzić z tą nowatorską techniką. W miarę nabywania doświadczenia tak się wyspecjalizowaliśmy, że służyliśmy pomocą innym. Opracowane dla „Rudnej" i sprawdzone przez nas metody zastosowano na Górnym Śląsku. Fachowcy zagłębia miedziowego pojechali tam, by pomóc kopalniom węgla w przeprowadzeniu pierwszych udrożnień dylatacji. Zastosowane rozwiązania okazały się skuteczne, bo budynki, które zabezpieczano, zarówno te na Górnym Śląsku, jak i u nas, do dzisiaj stoją i nic złego się z nimi nie dzieje. Stosowane metody były dość kosztowne, ale pieniądze nie stanowiły problemu, dlatego ani z nami, ani z projektantami nikt z kierownictwa o kosztach nie dyskutował. Zapewnienie ludziom bezpieczeństwa było najważniejsze – zapewnia Witold Dobrut.

## ▪ Wzmacnialiśmy kościoły i domy

Na skutek szkód górniczych ucierpiały też niektóre stare kościoły, ale nieczęsto się to zdarzało, bo budowle te wzmacniano profilaktycznie. Przykładem jest stary gotycki kościół św. Michała Archanioła w Polkowicach. Aby nie dopuścić do osłabienia jego konstrukcji, zapobiegawczo zastosowano ściągi i scalono fundamenty

*Witold Dobrut z żoną Barbarą przed zrekonstruowaną główną bramą wejściową kościoła w Grodowcu.*

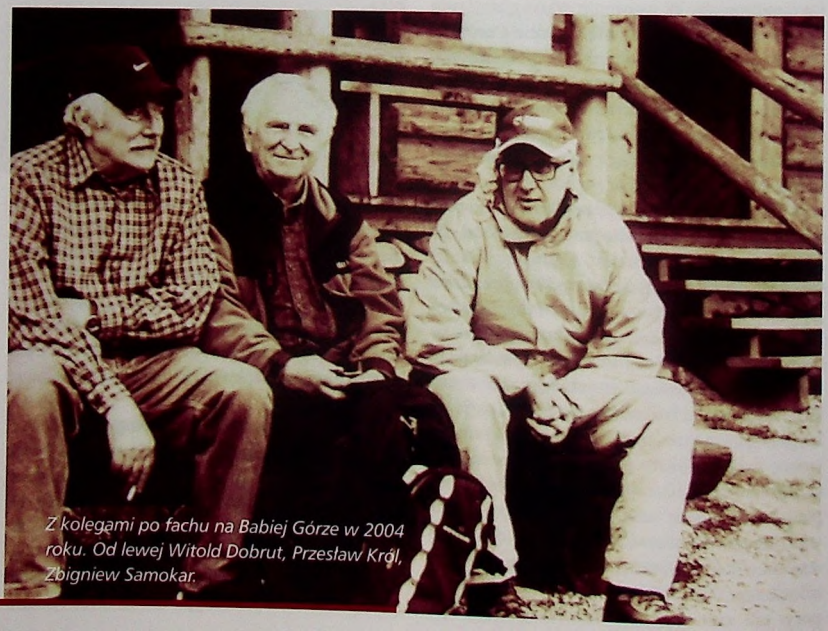

*Z kolegami po fachu na Babiej Górze w 2004 roku. Od lewej Witold Dobrut, Przesław Król, Zbigniew Samokar.*

za pomocą opaski żelbetowej wokół kilkusetletniej budowli. Wzmocniona została więźba dachowa, której poszczególne elementy połączono za pomocą drewnianych trzpieni. A jeśli tylko na ścianach jakiegoś kościoła pojawiły się pęknięcia, sklejali je odpowiednim preparatem. Żelbetem i specjalną siatką wzmocniono też gotycki kościół Jana Chrzciciela w Grodowcu, w którym pękło sklepienie kopuły.

– Spośród pracowników działu głównie ja zajmowałem się tymi pracami przy budowlach kościelnych. Miałem przy tym okazję posmakować dobrego mszalnego wina i poznać kilku biskupów. Odpuścili mi wówczas tyle grzechów, że jeszcze na emeryturze mogę spać spokojnie – śmieje się pan Witold.

*Witold Dobrut z żoną Barbarą, byłą pracownicą biura zarządu KGHM.*

Kopalnia wzmacniała też domy w Trzebczu, Moskorzynie, Komornikach, Pieszkowicach, Polkowicach Dolnych, Guzicach, Biedrzychowie oraz w Grodowcu.

## ▪ Mniej interwencji

– W mojej pracy najbardziej stresował mnie kontakt z ludźmi. Nerwy na wodzy musiałem trzymać zwłaszcza wtedy, gdy rozmawiałem z gospodarzem „puszczającym wiązanki" jedną po drugiej. Niektórzy objeżdżali mnie z powodu, ich zdaniem, zbyt niskiej wyceny szkód. Ale niełatwo też było, gdy musiałem starej płaczącej kobiecie wytłumaczyć, że nie sposób jej pomóc, bo usterek w jej domu nie można zaliczyć do spowodowanych działalnością kopalni.

Wtedy sen w nocy miałem niespokojny – mówi pan Witold.

Problemy pojawiały się nawet wówczas, gdy wydawało się, że strony uzgodniły zakres strat. Niekiedy chłopi nie chcieli wpuszczać do domów pracowników Zakładu Remontowo-Montażowego, którzy przeprowadzali naprawy. Zdarzyło się, że musieli wchodzić do mieszkania przez okno. Inni zachowywali się przyjaźnie, chcieli ugościć wódeczką, ale pracownicy „Rudnej" stronili od takich poufałości, by nie narażać się na podejrzenia o zawyżanie wysokości szkód.

– Niektórzy właściciele nie odnawiali poniemieckich budynków od czasu, gdy je zasiedlili, a po wstrząsie zgłaszali szkody, licząc, że będą mogli wyremontować domy na koszt kopalni. Na szczęście takie sytuacje nieczęsto się zdarzały – zapewnia pan Witold.

Gdy pracownicy „Rudnej" i właściciele domów nie mogli dojść do porozumienia, sprawy trafiały do Okręgowej Komisji Szkód Górniczych we Wrocławiu, a potem ewentualnie do instancji odwoławczej w Katowicach. Z czasem takie spory zaczęły rozpatrywać sądy.

– Rozprawy zwykle przebiegały spokojnie. Pamiętam tylko jedną wpadkę: na sali sądowej mój adwersarz gadał tak oczywiste głupstwa, próbując wyciągnąć z kopalni pieniądze, że mnie poniosło. Niewiele brakowało, a sędzia wyprosiłby mnie z sali i nałożył grzywnę. Jego groźba poskutkowała, bo już do końca rozprawy trzymałem język zębami – opowiada Witold Dobrut.

Od początku lat 80., w starych budynkach usuwanie szkód górniczych i zabezpieczenia przed ewentualnymi stratami wykonuje się według indywidualnych projektów. Natomiast plany nowo wznoszonych budowli muszą już uwzględniać dodatkowe zabezpieczenia, których koszty ponosi kopalnia.

Teraz Witold Dobrut odpoczywa na emeryturze, wciąż jednak utrzymuje kontakty z kolegami z pracy - często razem wędrują po górskich szlakach. ■

**Pamiętam posiedzenie zarządu szpitala. Uczestniczący w spotkaniu pułkownik Korzeniowski opowiadał o śmiertelnych „rykoszetach". Wtedy zabrałem głos i odpowiedziałem mu: „Towarzyszu, na strzelaniu to ja się nie znam, ale na ranach owszem. Jeżeli z tyłu głowy jest mała dziura, a z przodu wywalona kość czołowa, czy jest to rykoszet?".**

*Janusz Bielawski, profesor, twórca i ordynator Oddziału Urazowo-Ortopedycznego Szpitala im. Jonstona w Lubinie, wojewódzki specjalista ds. ortopedii i traumatologii, a także senator RP. Jako ordynator pracował w latach 1976-2003, a w latach 2003-2005 był konsultantem oddziału*

# Stabilizatory nie tylko dla górników

**▪ Czy wybór studiów medycznych był kontynuacją rodzinnych tradycji?**

Moi rodzice, pochodzący z Górnego Śląska, byli nauczycielami – mama polonistka a tato uczył matematyki. Ja zaś prawie od zawsze chciałem być lekarzem.

**▪ Pamięta pan swój pierwszy kontakt ze szpitalem?**

– Kiedy wybuchła wojna miałem 11 lat. W 1943 roku zachorowałem na krwiopochodne zapalenie kości. Trafiłem do szpitala w Mińsku Mazowieckim, gdzie kilka miesięcy byłem pacjentem. Wtedy właśnie bardzo spodobało mi się udzielanie pomocy medycznej. Oczywiście w szpitalu napatrzyłem się różnych rzeczy. Któregoś popołudnia na korytarzach zrobiło się jakoś pusto i cicho. Nagle z sąsiedniej sali doszły nas odgłosy strzelaniny. Okazało się, że jacyś konfidenci niemieccy zostali postrzeleni i trafili do szpitala, i właśnie przyszli ludzie z podziemia, by do końca wykonać wyrok...

**▪ To traumatyczne przeżycie nie miało wpływu na pana zainteresowania?**

Zupełnie nie miało znaczenia. W lipcu 1947 roku zdałem maturę i podjąłem studia w Akademii Medycznej we Wrocławiu. Po pięciu latach otrzymałem dyplom lekarza i uzyskałem specjalizację pierwszego stopnia z chirurgii ogólnej. Przez 4 lata pracowałem w Środzie Śląskiej, a następnie w drodze konkursu zostałem mianowany asystentem w III Klinice Chirurgicznej we Wrocławiu, którą wtedy kierował profesor Zdzisław Jezioro. Mój profesor skierował mnie na oddział chirurgii urazowej i kazał zająć się

bakteriologią kliniczną. Jako młody człowiek odebrałem to za szykanę. Ale z perspektywy czasu dostrzegłem, że to było bardzo dalekowzroczne posunięcie, bo zgłębiłem problemy bakteriologii dużo szerzej niż na studiach. To zaprocentowało później właściwym podejściem do pourazowych powikłań infekcyjnych.

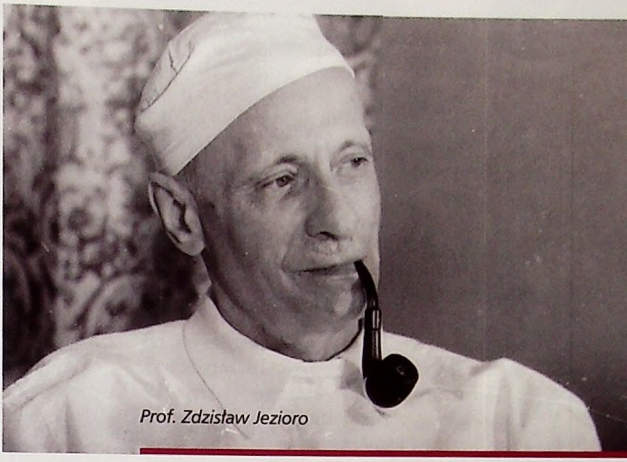
Prof. Zdzisław Jezioro

**▪ Portret lekarza w operacyjnym czepku latami zdobił ścianę pana gabinetu w szpitalu. Teraz rozpoznaję go u pana w domu. Kim jest ta postać?**

To właśnie mój mistrz prof. Zdzisław Jezioro na fotografii wykonanej przeze mnie. Pamiętam pod koniec pracy w klinice poszedłem do niego i zapytałem, czy mogę mu zrobić zdjęcie, bo chciałbym mieć pamiątkę. Profesor zgodził się na to, ale swoje powiedział: „Po co ci to? Żebyś pluł na mnie?". Miał takie ciężkie poczucie humoru. A dla mnie ta fotografia do dzisiaj jest bardzo cenna. Przypomina mi o mistrzu, który na podstawie badania fizykalnego, stawiał bezbłędne rozpoznania.

**▪ Kiedy kończył pan studia, nie było jeszcze takich środków wspomagających proces diagnostyczny, jakie są dzisiaj...**

Eelektrokardiografia była w powijakach, bo rejestracje EKG dokonywano na taśmie światłoczułej, którą, aby obejrzeć zapis, należało wywołać. Badanie radiologiczne pozwalało na wykonanie zdjęć przeglądowych i ewentualnie warstwowych. Badania biochemiczne ograniczały się do badań podstawowych. W tym czasie, co wielu współczesnym młodym lekarzom trudno sobie wyobrazić, o postawieniu rozpoznania decydowało badanie fizykalne. W ten sposób rozpoznawano wówczas i wady serca, i zmiany płucne. Takim mistrzem był profesor Antoni Falkiewicz jak również mój guru profesor Jezioro. Kiedyś, a działo się to w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku, profesor został poproszony na konsultację do Kliniki Chorób Wewnętrznych, która mieściła się w tym samym budynku tyle że piętro wyżej, do chorego, u którego rozpoznano raka trzustki. Po zbadaniu palpacyjnym powiedział: „To jest torbiel". Obecni interniści patrzyli na profesora co najmniej ze zdziwieniem. Oczywiście operacja potwierdziła rozpoznanie profesora. Po wszystkim dwóch adiunktów udało się na uczoną dysputę do mojego mistrza. Na wstępie zadali pytanie: „Jak pan do tego doszedł?". Profesor najpierw załadował fajkę, zapalił i dość długo milczał, a potem rzekł: „Bo to proszę panów trzeba pomyśleć!". I na tym skończył dyskusję. No i rzeczywiście trzeba pomyśleć, a właściwie skojarzyć wszystkie informacje dotyczące chorego. Ale do tego potrzebna jest wiedza, doświadczenie i choć trochę wyobraźni, niezależnie od tego, jaką metodą badania lekarz się posługuje, czy używając ultrasonografu, własnych rąk, wzroku i słuchu, ważne jest to, by myślał po lekarsku i działał po mistrzowsku.

**▪ Lata, które przepracował pan pod okiem prof. Jeziory, były wspaniałą szkołą lekarskiego myślenia. Czy uczeń przerósł mistrza?**

Myślę, że nie osiągnąłem biegłości mojego mistrza w badaniu fizykalnym jamy brzusznej. Być może dlatego, że od początku pracy na klinice zajmowałem się głównie traumatologią narządu ruchu. Ale też nie mam się czego wstydzić. Pamiętam, na początku lat siedemdziesiątych, pełniąc ostry dyżur w Klinice Chirurgii Urazowej, przyjąłem 15 -letnią dziewczynę w ciężkim stanie. Choroba rozpoczęła się kilka dni wcześniej nagłym bólem uda i wysoką

temperaturą. Niebawem pojawiła się duszność. RTG klatki piersiowej wykazało typowy obraz gronkowcowego zapalenia płuc. W badaniu fizykalnym uda, poza niewielkim obrzękiem, zmian się nie stwierdzało. Wykonałem punkcję uda i spod zgrubiałej okostnej uzyskałem kilka mililitrów surowiczo-krwistego płynu, który natychmiast posiałem w laboratorium. Rano na podłożu stałym wyrosło kilka kolonii gronkowca. Sprawa rozpoznania, przynajmniej dla mnie, nie budziła wątpliwości. Było to krwiopochodne zapalenie kości. I w tym momencie zaczynają się schody, bo stan pacjentki był ciężki a zabieg operacyjny ryzykowny. Większość lekarzy uznała, że najpierw należy, stosując antybiotyki, wyleczyć zapalenie płuc, a po tym zajmować się kością udową. Ale ja wymogłem na kierowniku kliniki zakwalifikowanie dziewczyny do operacji w trybie nagłym. Nie pamiętam, jakich argumentów użyłem, ale przesadnie układny nie byłem. Przystępując do operacji zauważyłem, że za moimi plecami ustawiła się galeria zwolenników leczenia zachowawczego. Gdy rozwierciłem jamę szpikową, pod ciśnieniem wypłynęła ropa. Po chwili odwróciłem się do tyłu, i za plecami nie było już nikogo.

**▪ Co zdecydowało o przeniesieniu się z akademickiego miasta w teren, czyli do Lubina?**

W Akademii Medycznej była reorganizacja. III Klinika Chirurgiczna, w której rozpocząłem pracę, została podzielona na Klinikę Chirurgii Urazowej i Chirurgię Przewodu Pokarmowego. Ja siłą rzeczy znalazłem się na urazówce, natomiast kierownikiem kliniki został prof. Wrężlewicz, który traumatologią narządu ruchu nigdy się nie interesował. Stąd wynikały różne nieporozumienia. Z drugiej strony coraz więcej mówiono o potrzebie uruchomienia oddziału urazowo-ortopedycznego w Lubinie, bo następstwem rozwijającego się przemysłu górniczego był wzrost wypadków. Działo się tak dlatego, że brakowało ludziom tej ostrożności górniczej, jaką posiadali „dolnicy" z Górnego Śląska. Lekceważenie przepisów BHP było powodem mnożenia się urazów przede wszystkim w obrębie narządów ruchu i kręgosłupa. Bardzo często wysyłano poszkodowanych w wypadkach do Wrocławia i Piekar Śląskich. Niestety, to co powinno być doraźnie załatwione, z powodu braku możliwości było odwlekane. Kiedy więc KGHM nawiązał współpracę z Akademią Medyczną i w efekcie tych kontaktów otrzymałem propozycję uruchomienia oddziału urazowo-ortopedycznego, pomyślałem: Zamiast się użerać, lepiej zmienić pracę. Również względy osobiste sprzyjały wyjazdowi z Wrocławia. Po nieudanym pierwszym małżeństwie (w 1972 został orzeczony rozwód), nowy związek chciałem rozpocząć w nowym miejscu.

**▪ Dokładnie, w którym roku rozpoczął pan pracę w lubińskim szpitalu im. Jonstona?**

Oficjalnie w 1976, ale dwa lata wcześniej dojeżdżałem do Lubina z Wrocławia i robiłem przymiarki do objęcia oddziału. Oczywiście wcześniej trzeba było ten oddział zorganizować od podstaw. To nie była sprawa wywieszenia tabliczki na drzwiach, ale przede wszystkim zorganizowanie zespołu, z którym zajęliśmy parter nowego budynku szpitalnego przy Bema. Rozpocząłem pracę ze świeżo upieczonymi lekarzami, bez doświadczenia w chirurgii urazowej narządu ruchu. Jedyny, który się na tym znał, był doktor Sławomir Kwapisiewicz, pierwszy mój doktorant. Dlatego przez pierwsze 3 lata pracy w Lubinie prowadziłem nocne życie. Po każdym poważniejszym wypadku trzeba było jechać do szpitala i operować, bo zespół lekarski był niedoświadczony. W miarę lat liczba przypadków wymagających mojej obecności się zmniejszała, bo lekarze z którymi pracowałem, nabrali doświadczenia, porobili specjalizacje.

**▪ I mógł pan się wreszcie wyspać?**

Nie do końca, bo mieszkanie na tzw. prowincji nie zwalniało mnie z prowadzenia działalności naukowej. Do tego potrzebny był czas. Wstawałem więc wcześnie rano i pisałem. Mam ponad setkę publikacji na swoim koncie, a także napisaną wspólnie z doktorem Sygnatowiczem i doktor Konarską książkę „Zapalenie kości". Z perspektywy czasu mogę powiedzieć, że dzisiaj przeszkodą w pracy naukowej na prowincji jest tylko brak chęci i wyobraźni, bo z dostępem do literatury nie ma problemu. Niestety zmieniły się czasy i ludzie gonią za zarobkiem, mają inne priorytety.

**▪ Odczuwał pan szacunek i przychylność miejscowych władz i KGHM?**

Na stanowisku ordynatora czułem się dobrze, aczkolwiek bardzo różnie wyglądała przy-

chylność władz lokalnych i KGHM. Nie powiedziałbym, że wszystko szło gładko. Zdarzały się też nieporozumienia z chirurgami, którzy bardzo się dziwili temu nawałowi pacjentów, jakich miałem.

**▪ Co było tego przyczyną?**

Od samego początku zajmowałem się powikłaniami po urazach. W krótkim czasie nasz oddział stał się wiodącą placówką w leczeniu powikłań w chirurgii urazowo-ortopedycznej. Szczególnie wyspecjalizowaliśmy się w leczeniu zapalenia kości. Zorganizowaliśmy kilka konferencji naukowych, a w 1993 r. XXV Dni Ortopedyczne, na które przyjechało około 500 ortopedów. Tak liczna obecność specjalistów świadczyła o dużym zainteresowaniu osiągnięciami, którymi mogliśmy się pochwalić. Już w latach 90. zgłaszali się do nas pacjenci z całej Polski, bo oddział stał się niejako ponadregionalnym ośrodkiem leczenia powikłań infekcyjnych po urazach kości. Można powiedzieć, że w tej wąskiej specjalizacji staliśmy się czołówką krajową.

*Zespół pod kierunkiem doc. dra Janusza Bielawskiego stabilizuje otwarte złamanie kości przy pomocy stalowych płytek systemu Zespol, umieszczonych na zewnątrz kończyny.*

**▪ Spektakularnym osiągnięciem było również zastosowanie nowoczesnego systemu stabilizacji „ZESPOL" (Zespolenie polskie) w leczeniu skomplikowanych złamań kości. Jaki był pana udział w tym patencie?**

Metoda ZESPOL została opracowana przez prof. Witolda Ramotowskiego, dra Roberta Granowskiego, inż. Kazimierza Pilawskiego i prof. Eugeniusza Kamińskiego z Politechniki Warszawskiej. Wynalazcy systemu stabilizacji ZESPOL określali go jako wewnętrzny stabilizator kostny. Ja natomiast po raz pierwszy zastosowałem ten stabilizator zewnętrznie na goleni i zaproponowałem określenie: uniwersalny stabilizator płytkowy ZESPOL.

**▪ Kiedy po raz pierwszy zastosował pan uniwersalny stabilizator płytkowy ZESPOL?**

Pierwszy raz stabilizacja zewnętrzna została wykonana w naszym oddziale w lutym 1984 roku. Metal stabilizujący złamanie umieściliśmy nie bezpośrednio przy kości, ale na zewnątrz goleni. W ciele pozostały tylko śruby trzymające kość. Tę zastosowaną metodę uważam za najlepszą, bo kiedy metal jest w środku, to zawsze istnieje obawa, że dojdzie do zespołu ciasnoty powięziowej, co sprzyja rozwojowi zakażenia. Stabilizator zewnętrzny ujawnił też wiele zalet, do których należy bezsprzecznie możliwość jego demontażu bez potrzeby znieczulania i dodatkowego zabiegu operacyjnego oraz komfort związany z niewielkimi gabarytami konstrukcji, tak wysoko ceniony przez pacjentów.

**▪ Konsekwencją tych sukcesów było otrzymanie w Belwederze (11 stycznia 1988 roku) tytułu profesora nadzwyczajnego. Wydarzenie to zaprzeczało powszechnemu mniemaniu, że karierę naukową można zrobić tylko w dużym mieście...**

Myślę, że sama nominacja nie obaliła tego poglądu, ale raczej to, co się zdarzyło po drodze. A więc stworzenie zespołu medycznego leczącego na poziomie, którego nie musieliśmy się wstydzić na żadnym europejskim kongresie i nowatorskie zastosowanie uniwersalnego stabilizatora płytkowego ZESPOL, a także inne podejście do problemów bakteriologicznych w ortopedii, szczególnie w urazówce narządu ruchu.

Przede wszystkim zupełnie na innym podejściu do ogólnego stosowania antybiotyków u pacjentów.

Nastawiliśmy się na miejscowe stosowanie antybiotyków za pomocą drenażu przepływowego a także gąbki garamycynowej. Cała filozofia polegała na tym, że obok głównego właściwego rozwiązania operacyjnego, antybiotyk podany był za pomocą gąbki nasyconej garamycyną, co umożliwiało bardzo wysokie stężenie antybiotyku w chorym miejscu.

**▪ Ciekawość Pana Profesora, jako naukowca, przyczyniła się również do ubocznych działań badawczych, np. dotyczących TFX - preparatu grasiczego, zwiększającego ogólną i lokalną odpowiedź immunologiczną organizmu. Jakie były efekty tych badań?**

W oddziale, na zlecenie Jelfy, prowadziliśmy również badania kliniczne nad wpływem żelu

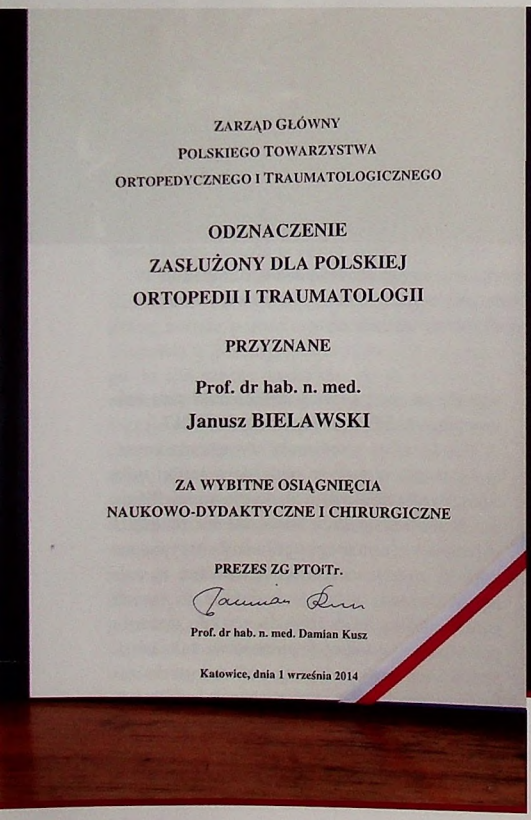

ZARZĄD GŁÓWNY
POLSKIEGO TOWARZYSTWA
ORTOPEDYCZNEGO I TRAUMATOLOGICZNEGO

ODZNACZENIE
ZASŁUŻONY DLA POLSKIEJ
ORTOPEDII I TRAUMATOLOGII

PRZYZNANE

Prof. dr hab. n. med.
Janusz BIELAWSKI

ZA WYBITNE OSIĄGNIĘCIA
NAUKOWO-DYDAKTYCZNE I CHIRURGICZNE

PREZES ZG PTOiTr.
Prof. dr hab. n. med. Damian Kusz

Katowice, dnia 1 września 2014

*Prof. Bielawski posiada wiele medali i odznaczeń. Najbardziej ceni sobie odznaczenie nadane przez Polskie Towarzystwo Ortopedii i Traumatologii.*

TFX na procesy gojenia owrzodzeń i ran o różnym pochodzeniu. Prace przyniosły dobre rezultaty w owrzodzeniach, trudno gojących się ranach i odleżynach. Już przy pierwszych próbach wyniki były zdumiewające. Całość obserwacji zawarliśmy w specjalnym raporcie przedłożonym dyrekcji Jelfy. Uważam, że gdyby preparat został wynaleziony w Ameryce, to o TFX byłoby dużo głośniej. Polski TFX jest bardzo ważnym biostymulatorem, który prawidłowo ustawia gospodarkę hormonalną człowieka, wzmacnia odporność organizmu, jest stosowany w wielu schorzeniach i co do skuteczności tego preparatu nie ma wątpliwości.

**▪ Oprócz sukcesów naukowych i zawodowych znajdował pan czas na działalność polityczną. Był pan radnym miejskim z ramienia SLD i przez 2 kadencje senatorem RP. Kiedy wstąpił pan do PZPR?**

To było w okresie, gdy pracowałem we Wrocławiu. Byłem już w trakcie przewodu habilitacyjnego. A ponieważ miałem poglądy lewicowe, więc przed wstąpieniem nie było z mojej strony specjalnych oporów.

**▪ Potrzebował pan wsparcia organizacji?**

Myślę, że to partia raczej potrzebowała mnie, niż ja jej, aczkolwiek przynależność do niej ułatwiała mi pewne sprawy.

**▪ Nie doszło nigdy do konfrontacji pomiędzy obowiązkami lekarza i partyjną przynależnością?**

Mocno zapadły w moją świadomość wydarzenia lubińskie z 1982 roku. Pamiętam posiedzenie aktywu kierowniczego szpitala zwołane po zdarzeniu. Uczestniczący w spotkaniu pułkownik Korzeniowski opowiadał o śmiertelnych „rykoszetach". Wtedy zabrałem głos i odpowiedziałem mu: „Towarzyszu, na strzelaniu to ja się nie znam, ale na ranach owszem. Jeżeli z tyłu głowy jest mała dziura, a z przodu wywalona kość czołowa, czy jest to rykoszet?". Nikt mi nie powie, że to nie była świadoma prowokacja. Gdyby tłum był agresywny, to nie byłoby dwóch zabitych, jednego śmiertelnie rannego i 10 rannych. Wielu z nich było postrzelonych od tyłu, więc do zomowców musieli być odwróceni plecami. Wszystkie strzały były z bezpośredniego trafienia. Ja miałem swoje zdanie na wiele spraw i tego nie taiłem. Zawsze starałem się być sobą.

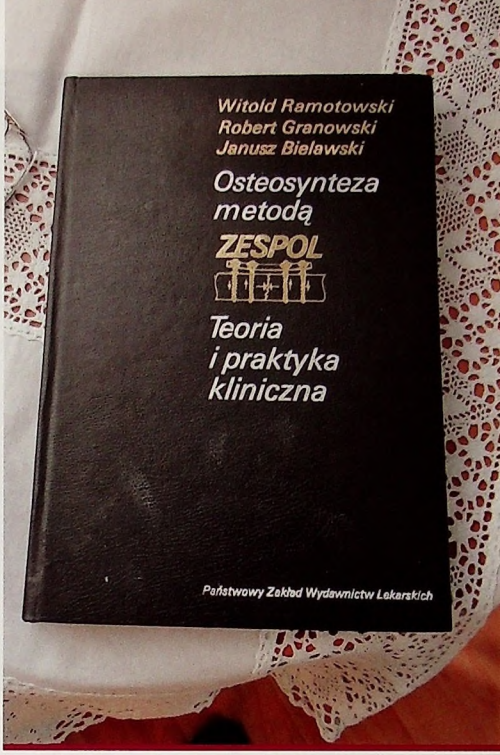


*W rodzimym piśmiennictwie ortopedycznym wydawnictwo to stanowi wyjątkową pozycję.*

**▪ Jak pamiętam, w relacjach z decydentami odznaczał się pan niebywałą zdolnością do głębszych analiz, ale też nie był pan łatwym partnerem...**

Na pewno nie byłem łatwy. Nigdy też nie byłem człowiekiem, który daje sobą komenderować, a z drugiej strony było wiele spraw, które wręcz domagały się interwencji. A Zbrzyzny chciał podporządkować sobie wszystkich i wszystko... i tak się zaczęły te różnice.

**▪ Swego czasu został pan wykluczony z SLD. Obecnie nie należy pan do żadnej partii. Gdyby dzisiaj szukał pan dla siebie miejsca w polityce, gdzie by pan się rozglądał?**

*Jubileusz 50-lecia pracy zawodowej. Na zdjęciu prof. Janusz Bielawski z małżonką.*

Zawsze miałem poglądy lewicowe i moje miejsce byłoby na lewicy.

**▪ Jak dzisiaj podsumowałby pan swój najaktywniejszy okres życia?**

Wiele osiągnąłem, ale też wiele rzeczy zrobiłem z opóźnieniem. Na przykład za późno się rozwiodłem z pierwszą żoną, za późno ożeniłem z obecną, za późno wybudowałem dom w Lubinie... i całe mnóstwo innych rzeczy mi uciekło. Jedyne co podjąłem w porę, to decyzja o zorganizowaniu oddziału urazowo-ortopedycznego, który przez wiele lat prowadziłem z dobrym skutkiem. Leczyłem nie tylko górników i ich rodziny, ale również pacjentów z całej Polski. Byłem też promotorem 9 prac doktorskich lekarzy z mojego oddziału. Doceniano mnie, otrzymywałem mnóstwo różnych medali i to najcenniejsze odznaczenie - Zasłużony dla Polskiej Ortopedii. Mam satysfakcję, że coś zdziałałem w tej specjalności. ■

**Byłem bezpartyjny i dyrektor często powtarzał mi: „Załóż w hucie Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej", chociaż takie dla oka, żebym nie musiał się za ciebie tłumaczyć w komitecie wojewódzkim PZPR. Tak też zrobiłem. Raz nawet zaliczyłem podróż pociągiem przyjaźni, ale niewiele pamiętam z tej wyprawy, po której długo dochodziłem do siebie...**

*Ryszard Kurek, kierownik wydziału energetycznego i ochrony środowiska Huty Cedynia. Pracował w latach 1978 - 2012*

# Naradzaliśmy się w lesie

Były dyrektor Huty Cedynia Bartłomiej Zaleski miał cenioną przez pracowników zaletę - umiał integrować ludzi.

– Bywało, że robiliśmy, co tylko mogliśmy, a produkcja w hucie nie szła jak należy. Dyrektor miał na to sposób. Po pierwszej zmianie zabierał mistrzów i kierowników do lasu na tzw. pranie mózgów, czyli piknik piwny. Przywoził trzy skrzynki piwa, kiełbasę, bułki i radziliśmy, co robić, żeby produkcja hulała. To pomagało, przynajmniej na jakiś czas – zapewnia Ryszard Kurek.

**▪ Szto u was?**

Pracownicy „Cedyni" nie mogli narzekać na brak zakładowych imprez. Zwyczajowo uczestniczyli w majowych dniach hutnika. Organizowali je w różnych lokalach i miejscowościach. Z tego czasu została panu Ryszardowi bogata kolekcja kufli do piwa. Z czasem hutnicy zaproponowali, by organizować bale, na które mogliby przychodzić z żonami. Dyrekcja na tę propozycję przystała. Bawili się na zamku w Czosze i w Książu.

– Na balu dyrektor Zygmunt Woźny, nawiasem mówiąc, świetny specjalista, starał się porozmawiać z każdą rodziną. To procentowało wyrozumiałością żon, kiedy byliśmy na przykład nagle wyrywani od świątecznego stołu do firmy, bo nastąpiła jakaś awaria. Nie ma co ukrywać, problemy z pracy, choćby nie wiem jak się przed tym bronić, przynosiliśmy do domu – mówi Ryszard Kurek.

– Kiedy wchodził do mieszkania, trzaskał drzwiami i rzucał teczkę, wiedziałam na sto procent, że w pracy poszło coś nie tak, jak trzeba – dodaje pani Maria.

Najbardziej pamiętną imprezę hutniczą pan Ryszard zaliczył w pociągu przyjaźni, którym pojechał do ZSRR. Zwiedził wówczas Lwów, Mińsk i Moskwę. Uczestnicy wycieczki spotykali się ze stołecznymi władzami. W domu pioniera było

*Ryszard Kurek, absolwent Technikum Górniczego im. S. Staszica w stroju galowym. Zdjęcie z 1967 roku.*

trochę sztywno, padały grzecznościowe pytania: „Szto u was?", na które odpowiadało się: „A u was szto?". Bywało, że Rosjanie dopytywali się, jak się żyje w Małej Moskwie. Potem uczestnicy pociągu przyjaźni obligatoryjnie zwiedzali Mauzoleum Lenina, kilka cerkwi i zaliczali Teatr Wielki.

– Jednak gwoździem programu była sama podróż pociągiem. Trzeba przyznać, że było co jeść i pić. Może nawet zbyt dużo, bo niewiele pamiętam z tej wyprawy, po której długo dochodziłem do siebie... – śmieje się Ryszard Kurek. – Do ZSRR pojechałem nie tylko jako hutnik, ale też jako członek Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, które w firmie założyłem. Byłem bezpartyjny i dyrektor często powtarzał mi: „Załóż w hucie Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, chociaż takie dla oka, żebym się za ciebie nie musiał tłumaczyć w komitecie partii". Tak też zrobiłem, po czym obaj mieliśmy spokój – wspomina pan Ryszard.

## Kontraktowali całe rodziny

Ryszard Kurek pochodzi z Sierszy. Tu skończył Zasadniczą Szkołę Górniczą, a w Dąbrowie Górniczej słynną „sztygarkę", to jest Technikum Górnicze im. Stanisława Staszica, które było kuźnią kadr dla przemysłu wydobywczego. O zagłębiu miedziowym usłyszał, kiedy był jeszcze uczniem tej szkoły. Do jego placówki przyjeżdżali ludzie z KGHM, a właściwie z Przedsiębiorstwa Budowy Kopalń Częstochowa i zachęcali do pracy w kopalni. Roztaczali wizje dobrych zarobków. Mówili, że podstawa może wynosić 2 tys. zł, a faktycznie zarobić można 5 tys. zł, bo praca jest akordowa, a godziny nielimitowane. Potem zorganizowali uczniom wycieczkę do Lubina. Z tego czasu panu Ryszardowi została w pamięci droga rozjechana przez ciężarówki kursujące z Lubina w kierunku Zielonej Góry, bo już na dobre szła budowa zagłębia miedziowego.

Wielu jego kolegów później przyjęło się do pracy „na miedzi". Ryszard Kurek chciał iść w ich ślady. Jednak po tym, jak kilka razy zachorował podczas praktyk w kopalni, lekarz wybił mu z głowy ten zawód i musiał zapomnieć o tradycjach rodzinnych, które zapoczątkował jego dziadek. Przed wojną Francuzi przyjeżdżali do Polski i całe rodziny kontraktowali do pracy w kopalniach węgla. W tym czasie wyjechało do Francji wielu Polaków, wśród nich w 1924 znalazł się dziadek pana Ryszarda wraz z rodziną.

– Mój ojciec miał wówczas zaledwie dwa lata, a kiedy skończył dziesięć, pracował już w kopalni jako sczepiacz wózków. Wagoniki z węglem często miażdżyły dzieciom ręce. To było okropne... – wzrusza się pan Ryszard.

Jego ojciec zdał we Francji małą maturę i mer miasteczka La Gran Comb, w którym mieszkał, chciał wykupić go z kopalni, by mógł się dalej uczyć. Ale pracodawca natychmiast zaproponował dziadkowi podwyżkę i ten się na wykup nie zgodził.

– Ludziom płacono tam dość przyzwoicie. Wielu przyjeżdżało do Francji z myślą, że jak tylko trochę zarobią, wrócą do kraju. Dziadkowi proponowali obywatelstwo francuskie, ale nie przyjął go i przed wybuchem wojny ściągnął z częścią rodziny do ojczyzny. W okolicy Sierszy, skąd pochodził, panowało spore bezrobocie, wielu robotników było zatrudnianych „góra na tydzień" – przytacza słowa ojca pan Ryszard. Po wojnie przyjechali na Dolny Śląsk, gdyż ojciec

*Grupa pracowników „Cedyni" na szkoleniu w Belgii, w 1979 r. Czwarty od lewej, w górnym rzędzie, Ryszard Kurek.*

dostał nakaz pracy w Brzegu Dolnym. Po pewnym czasie całą rodziną wrócili do Sierszy.

## A jednak zagłębie miedziowe

Po skończeniu szkoły średniej pan Ryszard na dłużej zatrzymał się w katowickiej Energoaparaturze. Wprawdzie marzenia o zatrudnieniu w kopalni Lubin poszły w zapomnienie, ale w 1968 roku ponownie trafił do zagłębia miedziowego, ponieważ jego zakład oddelegował go do pracy w Legnicy.

Przyjechali tu całą grupą i otrzymali zakwaterowanie w hotelu hutniczym przy ul. Poselskiej. Jego brygada montażowo-rozruchowa zajmowała się uruchamianiem układów automatyki i sterowania w Wydziale Elektrorafinacji. Potem modernizowała załadunek pieców szybowych, odpylnie gazów, Wydział Przygotowania Wsadu i Fabrykę Kwasu Siarkowego.

– Z tego czasu pamiętam dyrektora technicznego Ryszarda Pachonia, pochodzącego ze Starego Sącza, Jerzego Kotarskiego - kierownika Wydziału Pieców Szybowych, który potem został dyrektorem huty i Włodzimierza Babika z Wydziału Przygotowania Wsadu, późniejszego dyrektora technicznego. Najściślej współpracowałem jednak z Demidowiczem, szefem Wydziału Automatyki – wylicza Ryszard Kurek. – Potem wykonywaliśmy różne zlecenia związane z budową huty głogowskiej. Uczestniczyłem w budowie i uruchamianiu ciągu technologicznego. Tam zatrudnił się mój brat Tadeusz. Huta „podkupiła" go od Energoaparatury Katowice. Został najmłodszym kierownikiem ds. automatyki pieców szybowych.

Chociaż Ryszard Kurek formalnie nie był zatrudniony w KGHM, przez wiele lat pracował dla kombinatu. Jednocześnie kończył studia na Politechnice Wrocławskiej, na Wydziale Elektrycznym, potem podyplomowe z zakresu zarządzania finansami i organizacji. W 1976 roku katowicka Energoaparatura chciała przerzucić go do Elektrowni Opole, ale już na gorszych warunkach finansowych. Spróbował tej pracy, jednak krótko potem zrezygnował. W tym czasie kolega Stefan Jadłosz podpowiedział mu, że właśnie uruchamiają Hutę Cedynię i poszukują fachowców. Przyjęli go tam w 1978 roku na stanowisko mistrza elektryka.

## Na licencji belgijskiej

Huta na dobre ruszyła w 1979 roku. Dyrektorem był wówczas Ryszard Sojka. Jan Szpiczakowski, który przyszedł z Głogowa, razem z kierownikiem Gruszczyńskim i Ryszardem Kurkiem, stworzyli od podstaw Wydział Elektryczny.

*Pracownicy „Cedyni" na defiladzie pierwszomajowej w Rudnej. Trzeci od lewej Ryszard Kurek. Lata 80.*

Krótko po zatrudnieniu grupa pracowników pojechała na szkolenie do Szwecji. Pan Ryszard dojechał w trakcie, bo miał kłopoty z otrzymaniem paszportu służbowego. Jako 17-letni chłopiec wybrał się z ojcem do Francji. Kiedy mieli już wracać, we Wrocławiu wybuchła epidemia czarnej ospy i przedłużyli pobyt za granicą. Z tego powodu ojciec pana Ryszarda został zdegradowany z porucznika do szeregowca, a jemu samemu tę „samowolkę" władza komunistyczna pamiętała, jak się potem okazało, jeszcze po 16 latach. Stawiał się po paszport pięciokrotnie, w końcu go otrzymał i z opóźnieniem dojechał do Szwecji. Tam czekali już na niego koledzy i „opiekunowie", którzy czuwali nad polityczną poprawnością członków każdej zagranicznej delegacji.

Na szkoleniu poznał działanie sterownika PLC służącego do kierowania procesem całej linii produkcyjnej Huty Cedynia. Potem przeszli jeszcze jedno szkolenie w Belgii.

– Montowana w „Cedyni" linia do odlewania i walcowania miedzi na gorąco była ósmą w świecie, tak nowoczesną. Do tej pory walcówkę o przekroju 6 mm produkowała tylko huta w Szopienicach na angielskiej linii Morgana. Dostarczała odcinki drutu z wlewków 120-kg, które były niewygodne w przetwórstwie, bo końce drutu trzeba było zgrzewać. Ponadto wcześniej wlewki należało podgrzać do odpowiedniej temperatury. Zakupienie technologii na licencji belgijskiej było więc strzałem w dziesiątkę – przekonuje pan Ryszard. Potem walcówkę o przekroju 8 mm kupował od nich cały świat. Wysyłali ją do Niemiec, ZSRR, Szwajcarii, Izraela, Chin i innych krajów.

## ▪ Odszkodowanie od Niemców

Do rozruchu huty zatrudniono Niemców z dawnego RFN, Szwedów, Amerykanów, Belgów.

– Niemcy szkolili polskich pracowników i szkolili, i końca nie było widać. Najwyraźniej przedłużanie pobytu było im na rękę, bo dobrze tu zarabiali. Wreszcie dyrektor Ryszard Sojka się zdenerwował i zarządził: „Kończymy współpracę, przejmujemy kontrolę nad hutą". Niemcy byli oburzeni. Odgrażali się, że za pół roku będziemy prosić ich na kolanach, żeby wrócili. Nic takiego się nie stało, choć cała linia z instalacjami i aparaturą była dość skomplikowana. Składała się z mnóstwa elementów współpracujących ze sobą szeregowo, jak w sztafecie – wyjaśnia Ryszard Kurek.

Pojawiły się potem problemy, ale nie z powodu braku pomocy niemieckich pracowników, którzy – jak twierdzi pan Ryszard – też popełniali błędy, lecz się do nich nie przyznawali. Na linii produkcyjnej wystąpiły zakłócenia, doszło do wyłączenia dmuchawy Hoffmana, podającej powietrze do pieca Asarco. W rezultacie miedź zablokowa-

ła palniki i nastąpiło zamrożenie pieca. Musieli wykonać ogrom pracy, żeby nie dopuścić do jego wyburzenia. Zastygłą miedź wypalali lancami tlenowymi, aby udrożnić oko spustowe i kanały do palników. Później trzeba było jeszcze wyremontować palniki. Za te wszystkie szkody postanowili obciążyć Niemców. Pan Ryszard udowodnił, że to oni popełnili błąd w dokumentacji technicznej, co w konsekwencji doprowadziło do awarii dmuchawy. W ramach odszkodowania od niemieckich kontrahentów huta otrzymała części zamienne o wartości 33 tys. marek.

*Na pikniku piwnym - Zabielski zakuwa w dyby mistrza Ryszarda Kurka. Lata 80.*

## Silniki pod wodą

Pamięta pierwsze zalanie piwnic, skutkiem czego silniki pomp znalazły się pod wodą. Teoretycznie nie powinno było do tego dojść, bo wydawało się, że wszystko zostało zrobione jak należy.

– Dwa dni główkowaliśmy, w czym tkwił problem. Wykorzystywaliśmy znajomości w hutach i kopalniach, bo trzeba było pożyczać silniki - nasze w tym czasie suszyliśmy. Potem okazało się, że nie zadziały sondy – wyjaśnia Ryszard Kurek.

Innym razem rozsypała się nożyca wahadłowa tnąca odlewane pasmo, wysiadł cylinder i stanęła cała linia walcownicza.

– Najpierw zrobiliśmy prowizorkę, dorobiliśmy nowe śruby, wymieniliśmy uszczelnienie, wszystko poskręcaliśmy, jednak zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że długo na tym nie pojedziemy. W międzyczasie załatwialiśmy nowy cylinder, a na to potrzebne już były dewizy. Kiedyś „poszedł" 1000-voltowy wyłącznik silnika głównego. Czekaliśmy pół roku na dostawę ze Szwecji. Mimo tych różnych perturbacji, w porównaniu z hutą legnicką i głogowską, u nas rzadko dochodziło do awarii, gdyż „Cedynia" była i jest nowoczesnym zakładem, której załoga poczuwa się do odpowiedzialności za swoje miejsce pracy – przekonuje pan Ryszard. – Na początku lat 90. „Cedynia" była oflagowana, formalnie pracownicy strajkowali, nie produkowali, ale w czasie tego przymusowego postoju robili przeglądy wszystkich maszyn.

## To, co po przecinku też ważne

– Kiedy ruszała „Cedynia", niewiele mówiło się o ochronie środowiska. Choć trzeba przyznać, że od początku nie byliśmy uciążliwym zakładem, bo pracowaliśmy na nowoczesnych technologiach. Jednak w latach 90. dowiedziałem się, że w ochronie środowiska wartości po przecinku są bardzo ważne. Zobowiązano nas wówczas do tego, żeby jeszcze bardziej monitorować wszystkie źródła zanieczyszczeń, bo tam, gdzie przetwarza się miedź, one zawsze występują – wyjaśnia.

Kiedy opróżniano zbiornik z wodą poemulsyjną, jej skład nie zawsze odpowiadał normie. Musieli więc poprawić czystość, zmniejszając zawartość metali ciężkich i tłuszczów. Szukali nowej technologii i któregoś roku dyrektor Zygmunt Woźny po powrocie z konferencji w USA oświadczył, że Amerykanie mają ten problem rozwiązany. Zakupili wówczas w USA stosowane tam urządzenie TEB 2000. Początkowo wydawało się, że jest skuteczne. Potem okazało się jednak, że Amerykanie nie mieli problemu z tego typu ściekami, ponieważ ich polityka ochrony środowiska była bardziej liberalna. Obowiązywały też u nich inne normy. Na własną rękę musieli ten proces udoskonalać tak, aby być w zgodzie z polskim prawem. Potem urządzenie się wyeksploatowało i wymagało większego nakładu pracy, ponadto coraz więcej ludzi musiało je ob-

*Kadra żegna dyrektorkę finansową Barbarę Filiczkowską. Od lewej w pierwszym rzędzie: Wiesław Gębal, Piotr Huńczak, Barbara Filiczkowska, Ryszard Kurek, Halina Benetkiewicz-Nowotna. Od lewej w drugim rzędzie: Stanisław Tłuściak, Józef Famulski, Edmund Wróbel, Stanisław Kasprzak, Zdzisław Bortnik, Jan Szpiczakowski, Andrzej Kawecki, Andrzej Borowy, Stanisław Wasiluk.*

sługiwać. Eksploatacja stała się zbyt kosztowna i trzeba było szukać czegoś bardziej nowoczesnego. Rozwiązanie przyszło na kolejnej konferencji.

Dowiedzieliśmy się, że Niemcy zbudowali kocioł, w którym wykorzystali różnicę prężności par zemulgowanych cieczy. Zakupiono więc w Niemczech nowe urządzenie VACUDEST, które funkcjonuje do dzisiaj. Jest skomplikowane, nasycone aparaturę pomiarową. Niestety, woda poprodukcyjna z neutralizacji emulsji, która miała być przeznaczona do ponownego użycia w procesie walcowania, nie nadaje się do tego.

– Chociaż jesteśmy coraz skuteczniejsi, co pewien czas pojawiał się jakiś problem do rozwiązania – stwierdza Ryszard Kurek.

## ▪ Przyjeżdżali nawet nocą

Kierownictwo huty chciało mieć zawsze pracowników pod ręką. Dlatego pełniącym ważne funkcje poza kolejnością montowano telefony, które w owych czasach, były trudno dostępne.

– Pamiętam, że jako pierwsi, a potem przez jakiś czas, jako jedyni, w wieżowcu, w którym mieszkamy, mieliśmy telefon. Założono go nam w 1982 roku, wcześniej niż sąsiadowi, działaczowi partyjnemu z komitetu wojewódzkiego. Z jednej strony była to wielka wygoda, z drugiej w każdej chwili można było się spodziewać telefonu z huty. Przyjeżdżali po męża nawet w nocy. Dzisiaj mamy spokój, zwłaszcza że mąż jest od dwóch lat na emeryturze. Obawiałam się o to, jak wytrzyma bez huty, bo jest pracoholikiem. Ale zajął się remontem mieszkania i ma też dodatkowe zajęcie związane z jego fachem – mówi pani Maria.

– Koledzy poprosili mnie, abym został członkiem komisji egzaminującej elektryków i energetyków, starających się o uprawnienia energetyczne. Nie straciłem więc kontaktu z zawodem. Ale to huta była zakładem, w którym mogłem się zrealizować i technicznie wyżyć – podsumowuje Ryszard Kurek. ■

**Mamy super załogę, fachową i zdyscyplinowaną - w niczym nie odstajemy od Zachodu. Goście z Niemiec podpytują, jak my to robimy, że zakład jest tak dobrze zorganizowany, że jest porządek, że utrzymujemy wysoką jakość produkcji, że używamy najnowocześniejszych narzędzi do projektowania w 3D - czego oni nie mają. Role się odwróciły, teraz zachodni partnerzy uczą się od nas. I to jest moja największa satysfakcja – podkreśla Jerzy Nadolny.**

*Jerzy Nadolny, kierownik działu planowania w HM Legnica, dyrektor ds. ekonomicznych ZUG Lena, prezes Boart Lena, prezes Boart Longyear, prezes i współwłaściciel Mine Master. Pracował w KGHM od 1980 do 2000 roku*

# Międzynarodowo w Wilkowie

To było oczywiste, że po studiach na Politechnice Wrocławskiej, (na Wydziale Organizacji, Informatyki i Zarządzania) Jerzy Nadolny trafił do Huty Miedzi Legnica, której był stypendystą. Prawie cała jego rodzina tam pracowała. Dziadek na portierni, ojciec jako kierowca jeździł zakładowym autobusem a stryj był mistrzem na wydziale przygotowania wsadu.

Po otrzymaniu dyplomu, w kwietniu 1980 roku, zgłosił się do kadr. Zaproponowano mu stanowisko szeregowego urzędnika działu planowania i analiz ekonomicznych. Szybko odnalazł się w tej pracy i w hutniczym środowisku, które nie było mu obce.

Po niespełna dwóch miesiącach dopadł go pobór w kamasze.

– Znalazłem się w jednostce w Koszalinie – wspomina. – Dziwny był to czas; w kraju „sierpniowa gorączka" a w wojsku po staremu - oficer polityczny wciskał nam komunały o pięknym ludowym ustroju. Na jednym ze szkoleń wyrwałem się z pytaniem, co tak naprawdę mamy o tym

wszystkim myśleć, jak pogodzić jedno z drugim. Na to oficer wstał i oświadczył: „Podchorążowie, ja też byłem oszukiwany...". Po czym wyszedł z sali i już więcej się nie pokazał.

## Wyróżniony i nieco przestraszony

Gdy po dziesięciu miesiącach służby wrócił do huty, okazało się, że kierownik działu planowania pan Ryszard Wencki, odchodzi na emeryturę. Panu Jerzemu zaoferowano objęcie schedy

*Pracownicy spółki Boart Lena. Czwarty od lewej Andrzej Czajkowski, czwarty od prawej - Jerzy Nadolny. 1997 rok.*

po szefie. Czuł się i wyróżniony, i lekko przestraszony, ale oferta wydawała się kusząca, więc się zgodził. Dział nie był duży, pracowały w nim średnio 3-4 osoby. Hutą w tym czasie kierował Leszek Zieliński a planowanie podlegało Romanowi Buremu, dyrektorowi ds. ekonomicznych.

– Zajmowałem się planowaniem, rozliczaniem produkcji i różnego rodzaju analizami ekonomicznymi – objaśnia pan Jerzy. – Przyznam, że początkowo przeżyłem trochę stresu, bo jeszcze nie do końca orientowałem się we wszystkich zagadnieniach. Najgorzej było, gdy dzwonił ktoś ważny z dyrekcji, czy kombinatu, zadawał szczegółowe pytania i oczekiwał natychmiastowej odpowiedzi - celował w tym zwłaszcza pan Jacek Cwynar, szef hutnictwa w kombinacie. Zajmując się planowaniem, siłą rzeczy poznałem zakład na wylot. Nawet dzisiaj nie miałbym kłopotu z poruszaniem się po hucie. Praca działu wymuszała również kontakty z kopalniami, choćby z racji rozliczeń za koncentrat, stąd nieobca była mi także znajomość sytuacji gospodarczej innych miedziowych zakładów.

Kiedy w latach 80. zaczęły powstawać samorządy pracownicze, już w pierwszej kadencji Jerzy Nadolny został wiceprzewodniczącym rady pracowniczej w HM Legnica i jednocześnie członkiem samorządu pracowniczego w KGHM.

– Z dzisiejszej pespektywy można sądzić, że to niepotrzebny organ – mówi o swojej pracy w samorządzie – bo firmą powinno zarządzać kompetentne kierownictwo. Ale w PRL przy obsadzaniu wielu stanowisk liczyła się przede wszystkim lojalność wobec partii, a mniej kompetencje. Natomiast rady pracownicze umożliwiały wpływ załogi na niektóre decyzje przez ludzi bez poparcia politycznego, ale posiadających fachową wiedzę.

Jerzy Nadolny nigdy nie należał do żadnej partii. W hucie, obok jego pokoju, miał swoje lokum komitet zakładowy PZPR. Od razu namawiano go do wstąpienia w jej szeregi. Odpowiadał zdecydowanie, że to go nie interesuje, więc dali mu spokój. Nie zaliczał się do walczących z ustrojem, ale miał określone poglądy i był im wierny.

## Duma wielka, ale kondycja marna

Kiedy w 1986 roku odwołano dotychczasowego dyrektora HM Legnica Leszka Zielińskiego, Nadolny znalazł się w komisji konkursowej, która wyłaniała nowego kandydata. Komisja miała swoich faworytów z huty, ale konkurs ustawiono pod Janusza Łyszczarza, etatowego pracownika wydziału ekonomicznego KW PZPR. Była to nominacja partyjna pod płasz-

czykiem konkursu, uważa pan Jerzy. Nie mógł się z tym pogodzić, więc gdy po paru miesiącach nadarzyła się okazja, odszedł do Zakładu Usług Górniczych Lena w Wilkowie na stanowisko dyrektora ds. ekonomicznych. Z jednej strony był to awans, z drugiej - niekoniecznie, gdyż ZUG, w przeciwieństwie do huty, nie zaliczał się do flagowych zakładów kombinatu, działał na obrzeżach firmy. Ale tutejsza załoga nie miała poczucia, że jest mniej ważna - była dumna, że właśnie tu pracuje. Ludzie podkreślali, że „Lena" była kuźnią kadr dla kombinatu. Stąd wywodził się m.in. dyrektor generalny KGHM Mirosław Pawlak, Jan Foligowski - dyrektor ZG Polkowice i wielu innych dyrektorów. Duma była wielka, ale sama kondycja ZUG przedstawiała się dość marnie. To był wielki zakład, posiadał ogromne obiekty i dużo produkował. Łącznie z filią w Nowym Kościele i Upadową koło Leszczyny, zatrudniał około tysiąca osób.

*Zespół pracowników Mine Master podczas wręczania Nagrody Dolnośląski Mistrz Techniki 2006 za samojezdną maszynę wiertniczą wyposażoną w komputerowy system wspomagania procesu wiercenia. Od lewej: Józef Modzelewski, Andrzej Czajkowski, Adam Dumicz, Lesław Ostapów, Wiesław Kazimierczak, Jacek Karliński, Jerzy Nadolny. 2007 rok.*

Na objęcie dyrektorskiego stanowiska potrzebna była zgoda Komitetu Powiatowego PZPR w Złotoryi. Pojechał więc z naczelnym „Leny" Hieronimem Harasimiukiem z wizytą do towarzyszy. Rozmowa przebiegała mniej więcej w ten sposób: Czy należy pan do partii? Nie, nie należę. Czy myślał pan, żeby wstąpić? Nie, nigdy nie myślałem. Jaki jest pana światopogląd? A jakie to ma znaczenie w mojej przyszłej pracy? - zrewanżował się pytaniem. Rozstali się w zgodzie i na tym zakończyły się wzajemne kontakty.

Po zmianach ustrojowych dyrektor Harasimiuk, został odwołany, na jego miejsce Jan Sadecki, dyrektor generalny KGHM, mianował Jerzego Nadolnego. Zaczął się, jak powiada pan Jerzy, bardzo ciekawy, ale i trudny okres w jego pracy zawodowej.

## ▪ Zrzucanie socjalnego balastu

W peerelowskich czasach każde przedsiębiorstwo starało się być samowystarczalne w oparciu o własne zaplecze techniczne. Takim zapleczem dla KGHM był m.in. ZUG Lena. Produkowano tam wszystko to, co było potrzebne kopalniom, również węglowym; od maszyn górniczych po tabor kolejowy (wagony, węglarki, wozy szynowe), narzędzia dla górnictwa, krążniki, unilinki do łączenia zerwanych taśmociągów, po armaturę hydrauliczną i konstrukcje stalowe.

Niemal każdy z zakładów obarczony był potężnym bagażem socjalnym. ZUG musiał utrzymać ponad 700 mieszkań, ośrodek zdrowia i wypłacać różne świadczenia sporej grupie emerytów. Nie był w stanie tego wszystkiego udźwignąć. Do tego produkcja cały czas spadała, bo nagle zmieniły się reguły rynkowe; pojawiła się konkurencja zewnętrzna a tym samym zaczęły się kłopoty ze sprzedażą produktów. ZUG dotknęło widmo nadprodukcji, zakład staczał się po równi pochyłej w kierunku bankructwa.

– Robiliśmy wszystko, by zakład uratować – opowiada pan Jerzy. – Zaczęliśmy od pozbycia się balastu niezwiązanego bezpośrednio

z produkcją. W miarę sprawnie uporaliśmy się z zapleczem socjalnym, np. mieszkania przekazaliśmy miastu i gminie - pomógł KGHM, dopłacając do remontów lokali i budynków. Jednocześnie szukaliśmy możliwości rozwoju.

*Uroczystość wręczania Nagrody Wicemistrza Techniki NOT Zagłębie Miedziowe 2013 za samojezdny wóz wiercący z możliwością monitorowania pracy organu roboczego. Pierwszy od lewej Tadeusz Krzakowski, prezydent Legnicy, obok Jerzy Nadolny, dalej pracownicy firmy: Lesław Ostapów, Lesław Korzystko, Artur Czerkasiewicz, Józef Młyńczak, Ryszard Makuchowski, Mariusz Młyńczak. 2014 rok.*

Wiadomo było, że z dotychczasową jakością naszych wyrobów, z ówczesnymi metodami produkcyjnymi niczego nie zdziałamy. Nawiązałem współpracę z firmą konsultingową z Wrocławia, która przygotowała plan restrukturyzacji zakładu. Równocześnie za przyzwoleniem zarządu KGHM, rozglądałem się za inwestorem zagranicznym - po reformie Balcerowicza ustawa dopuściła udział obcego kapitału. Prowadziłem rozmowy z kilkoma firmami, z jedną z nich (Boart International z RPA) dogadaliśmy się co do możliwości zawiązania spółki joint venture. Ale przedtem należało ZUG zrestrukturyzować, tzn. podzielić na mniejsze, bardziej operatywne jednostki gospodarcze, które dawałyby sobie radę w nowych realiach ekonomicznych.

## ▪ W świetle telewizyjnych kamer

W rezultacie na bazie „Nowego Kościoła" powstała spółka Zakłady Mechaniczne Lena w Wilkowie z siedzibą w Nowym Kościele ze 100 proc. udziałem KGHM - jej prezesem został Julian Ziarno, szef produkcji ZUG. Na drugiej części majątku, w Wilkowie, utworzono joint venture Boart Lena, spółkę z o.o. ukierunkowaną na produkcję maszyn górniczych i narzędzi. Panu Jerzemu właściciele powierzyli funkcję prezesa. Resztę majątku (zbędne budynki i hale), przeznaczono na sprzedaż lub dzierżawę.

Zawiązanie spółki Boart Lena poprzedziły dwa lata uporczywych starań.

– Trwało to tak długo, ponieważ w tym czasie zarządy Polskiej Miedzi zmieniały się jak w kalejdoskopie – wyjaśnia mój rozmówca. – Gdy wszystko uzgodniłem z prezesem Janem Sadeckim, nagle zmiana, więc dokumenty pod pachę i następnemu zarządowi wykładałem od początku nasze plany. Już miałem wszystko dogadane a tu bach! - pojawia się nowy zarząd i znowu objaśnianie i przekonywanie. Byłem już na granicy wytrzymałości, ale jednocześnie zdeterminowany, by doprowadzić sprawę do końca. Ostatecznie spółka z o.o. Boart Lena powstała za kaden-

cji prezesa Piotra Kaczyńskiego i wiceprezesa Krzysztofa Sędzikowskiego. 25 maja 1993 roku, w zarządzie KGHM w Lubinie, składaliśmy podpisy w świetle telewizyjnych kamer. Dziś mogę zdradzić, że była to tylko inscenizacja pod telewizję. Właściwą umowę podpisaliśmy później, po wyjeździe reporterów, gdyż w ostatniej chwili okazało się, że pewne szczegóły należało jeszcze dopracować.

W KGHM wszyscy mocno przeżywali sfinalizowanie umowy. Boart Lena była pierwszą spółką w ramach KGHM Polska Miedź S.A. z autentycznym zagranicznym kapitałem i jedną z pierwszych tego typu na Dolnym Śląsku. 49 proc. udziałów objął w niej KGHM, resztę BK Hydromooi BV w Holandii - spółka należąca do koncernu Boart International.

Poważne ograniczenia w działalności stwarzał niski kapitał początkowy. Zarząd KGHM nie śpieszył się z dofinansowaniem, uważając, że i tak wiele wniósł aportem, m.in. budynki i maszyny. Natomiast Boart zagwarantował głównie swoje technologie i przerzucił do Wilkowa część produkcji z Niemiec, potem z Irlandii. Na początek zatrudniono 124 osoby - prawie wszyscy wywodzili się z ZUG. Wcześniej duża grupa z tego zakładu przeszła do Nowego Kościoła, niektórzy zdecydowali się na odprawy, część wybrała emerytury; nikogo z ZUG nie zwolniono na bruk - zapewnia były dyrektor.

## ▪ Nikt nie mówił po angielsku

W Wilkowie zrobiło się międzynarodowo. Członkiem zarządu z ramienia koncernu był Niemiec. Pan Jerzy chwali sobie tę współpracę, do dziś utrzymują kontakt. Pojawił się też Irlandczyk, żeby wspomóc transfer technologii. Pracując wcześniej w różnych krajach, potrafił rozmawiać w kilku językach, polski też szybko opanował.

– Wiadomo, że językiem biznesowym na świecie jest angielski, a tutaj nikt nie mówił po angielsku – opowiada pan Jerzy. – Podczas negocjacji z Boartem pomagał nam Andrzej Czajkowski (wówczas dyrektor biura handlu zagranicznego PHP Mercus sp. z o.o. a obecnie mój zastępca), który jako jeden z niewielu w KGHM biegle władał angielskim. Ja sam, zanim powstała spółka, za zgodą prezesa Sadeckiego zaliczyłem trzy kursy językowe w Anglii. W tym czasie rozpoczęliśmy również naukę języka dla dużej grupy pracowników. Do zakładu przyjeżdżał nauczyciel i szkolił ich na miejscu. Później niektórych wysłaliśmy do Anglii, by tam szlifowali swoje umiejętności. W końcu przyjęliśmy na etat nauczyciela, który jest z nami - już w naszej prywatnej spółce - do dzisiaj, bo wciąż się uczymy. Na koszt firmy szkolimy także naszych pracowników w Polkowicach, gdzie mamy siedzibę serwisu. Każdy, kto zda egzamin wewnętrzny, otrzymuje specjalny dodatek; za drugi etap (egzamin państwowy) przysługuje kwota odpowiednio większa.

## ▪ Przełamali brak zaufania

Klimat do pracy w spółce joint venture był nadzwyczaj sprzyjający. Koledzy z oddziałów Boarta w innych krajach chętnie pomagali, co było istotne zwłaszcza na początku - stale ktoś od nich do Wilkowa przyjeżdżał. Polacy też często bywali w zakładach Boarta rozsianych po różnych krajach. Żartują sobie teraz z tych lat, gdy raczkowali na międzynarodowym rynku i zachłystywali się możliwością podróżowania. Kiedy ówczesny szef produkcji pierwszy raz pojechał do RPA, po powrocie nie opowiadał o interesach, tylko o egzotyce Afryki, o tym co zobaczył, co przeżył. Dziś wyjazdy spowszedniały, już nikt nie dzieli się wrażeniami, tylko zwyczajnie pisze raport o tym, co załatwił.

– To otwarcie na świat – ocenia po latach pan Jerzy – stało się olbrzymią szansą rozwoju dla nas wszystkich tutaj pracujących. Uczyliśmy się metod zarządzania: raportowania, sporządzania sprawozdań, oceny tego co się dzieje w firmie i na rynkach. Uczestnicząc w spotkaniach międzynarodowych miałem pełny obraz branży w skali światowej. Nie tylko ja jeździłem, coraz większa grupa inżynierów, konstruktorów regularnie bywała na zagranicznych delegacjach, zwłaszcza kiedy wspólnie z firmą z RPA opracowywaliśmy projekty nowych maszyn.

Ale wciąż byli dość biedni. Oszczędzali nawet na delegacjach. Jak trzeba było wysłać dwóch inżynierów (szefa produkcji i głównego konstruktora) do Anglii, pojechali autobusem, bo samoloty były za drogie. Dwaj słusznej postury mężczyźni męczyli się ponad dwadzieścia godzin, siedząc obok siebie w mało komfortowych warunkach. Po powrocie stanowczo oświadczyli, że nigdy więcej nie pojadą autobusem. To była pierwsza i ostatnia zagraniczna delegacja w firmie tym środkiem lokomocji.

*Prezes Mine Master (w środku) podczas Mistrzostw Polski w klasie Omega w Pucku. 2013 rok.*

Kiedy prezesem KGHM został Stanisław Siewierski a wiceprezesem ds. finansowych Katarzyna Muszkat, rozpoczął się okres jeszcze lepszych relacji z szefostwem koncernu. Przełamano obustronny brak zaufania. Prezesi z KGHM wizytowali Boart International w RPA, zapoznali się z jego potencjałem i przekonali się, że warto dofinansować spółkę w Wilkowie. Boart też dołożył trochę gotówki, i wreszcie skończyły się kłopoty z finansami.

## ▪ Od parobka do pana

Jednak największym problemem była zmiana mentalności ludzi. Nikt tu nie zaczynał pracy o godzinie szóstej i nikt nie kończył o czternastej. Tu się zaczynało, kiedy się zaczynało. O szóstej trzeba było stawić się w zakładzie, potem szatnia, pogaduchy, papieros, a dniówka leciała. O trzynastej trzydzieści już nikt nie pracował - wyłączało się maszyny i wszyscy brali się za sprzątanie. W sumie przeciętnie jedna godzina szła na straty. Nieraz na trzeciej zmianie pan Jerzy wpadał do zakładu i zastawał pracownika pogrążonego we śnie. Pod względem dyscypliny zakład w Wilkowie nie był oczywiście wyjątkiem, tak działo się w całej Polsce.

Do tego autobusy z ludźmi przyjeżdżały o różnych porach, nawet po godzinie szóstej, co było normą. Wiele czasu minęło, zanim na pekaesie w Złotoryi zarządowi spółki udało się

wymusić punktualność. Potem PKS zastąpiono prywatnymi przewoźnikami i problem zniknął. Pracownikom umysłowym prezes zmienił czas pracy, z szóstej na ósmą, bo wielu o tak wczesnej porze jeszcze przysypiało. Przymierzał się nawet na wzór Zachodu wprowadzić przerwę na lunch, uruchamiając stołówkę na miejscu, ale nie wypaliło - był opór; bo żłobki, bo przedszkola, szkoła, przyzwyczajenia rodzinne.

– Początkowo, gdy przyjeżdżali nasi szefowie z zagranicy, zarządzaliśmy generalne sprzątanie, a pracownikom wydawaliśmy czystą odzież – przypomina sobie pan Jerzy. – Bo nieraz najadłem się wstydu: przychodzę z gośćmi a pracownicy siedzą w bałaganie i palą papierosy. Po wielu latach udało się nam zmienić stare przyzwyczajenia. Dziś nie przychodzi mi do głowy, by dzwonić do szefa produkcji i uprzedzać, że za chwilę przyprowadzę gości. Wiem, że wszystko będzie OK. Mamy super załogę, fachową i zdyscyplinowaną - w niczym nie odstajemy od Zachodu. Goście z zagranicy podpytują, jak my to robimy, że zakład jest tak dobrze zorganizowany, że jest porządek, że utrzymujemy wysoką jakość produkcji, że używamy najnowocześniejszych narzędzi do projektowania w 3D - czego oni nie mają. No cóż, role się odwróciły, teraz to inni uczą się od nas. Jednym słowem, przeszliśmy drogę od parobka do pana - i to jest chyba największa satysfakcja, jaka mnie spotkała w całej karierze zawodowej.

## ▪ Z Amerykanami szło gorzej

Te pierwsze siedem lat z Boartem, do 2000 roku, pan Jerzy Nadolny uważa za najlepszy okres. Najwięcej się w tym czasie nauczył, współpracownicy również. Chwali szefów z Boarta - byli sympatyczni, przystępni. Dyrektor na Europę - Niemiec pochodzący z Królewca, bronił, jak im coś w Wilkowie nie wychodziło. Kierownictwo z Afryki Płd. też dobrze wspomina. Dziś, prowadząc własny biznes - spółkę Mine Master - ma się na kim wzorować.

– Spodobało się nam – podaje przykład Jerzy Nadolny – że na doroczne spotkania, które odbywały się w różnych częściach świata, tam gdzie Boart miał swoje zakłady, byliśmy zapraszani z żonami. To nie tylko kurtuazja, ale sposób, by z firmą identyfikowała się również rodzina pracownika. Przejęliśmy tego rodzaju zwyczaje, bo to świetna metoda na dobrego, lojalnego pracownika.

Kiedy firma Boart przeniosła się z Afryki do USA i na jej czele stanęli Amerykanie, współpraca nie układała się już tak gładko, gdyż - zdaniem pana Jerzego - patrzyli oni na firmę wyłącznie poprzez dolary. W 2000 roku KGHM pozbył się swoich udziałów. (W ciągu produkcyjnym Polskiej Miedzi zostały tylko kopalnie i huty). Tak więc spółka kierowana przez Jerzego Nadolnego w 100 proc. stała się własnością kapitału zagranicznego. Przyznaje, że był zadowolony z takiego układu, bo nie musiał już służyć dwóm panom. Niekiedy nie wiedział jak pogodzić rozbieżne opinie obu mocodawców, kogo słuchać.

Nadal był prezesem zarządu spółki, ale już pod nazwą Boart Longyear. Kolejne lata przyniosły dalszy rozwój firmy. Rozpoczęto eksport maszyn - przedtem tylko narzędzia miały odbiorców za granicą. Po zakupieniu włoskiej firmy, do Wilkowa przeniesiono produkcję wiertnic powierzchniowych. Nawiązano współpracę z norweską firmą AMV (wiertnice tunelowe) i z duńską Knebel (wiertnice powierzchniowe). W związku z tym drugim kontraktem zatrudniono dwóch Duńczyków. Soren i Niels nie mówili po polsku, więc prezes wprowadził narady produkcyjne w języku angielskim. Miało to dobre strony: znacznie skróciło posiedzenia, bo nikt nie chciał się popisywać swoją angielszczyzną. Wszyscy się streszczali - krótko i na temat.

## ▪ Zagrałem w otwarte karty

Po pięciu kolejnych latach właściciel poinformował, że zmienia swoją strategię i zamierza sprzedać zakład w Wilkowie oraz dwa inne: w RPA i w Australii, zostawiając sobie jedynie w Polsce wydział „włoski", produkujący maszyny powierzchniowe. Prezes Nadolny obawiał się tzw. wrogiego przejęcia - wykupu przez konkurencję z zamiarem zamknięcia zakładu, lub w najlepszym razie zredukowania produkcji do poziomu prostej, czarnej roboty, a załogi do zwykłych wyrobników.

Zarząd usilnie zastanawiał się, co w tej sytuacji robić. Ostatecznie część kierownictwa postanowiła firmę odkupić, ale do tego potrzebne były większe pieniądze. Poszukiwania przyniosły efekt - współpracę zadeklarował inwestor finansowy z Polski i drugi z Niemiec (GHH) - na dodatek posiadał on w swojej palecie produkcyjnej ładowarki i wozy odstawcze, które świetnie uzupełniały ofertę spółki z Wilkowa.

– Znalazłem się w dość niezręcznej sytuacji, ponieważ byłem prezesem sprzedawanej firmy, którą jednocześnie chciałem kupić – mówi pan Jerzy. – Postanowiłem grać w otwarte karty. Spotkałem się ze swoim szefem z Boarta i uprzedziłem go o swoich planach - na szczęście przyjął to ze zrozumieniem. Chętnych było wielu, ale to my, w 2006 roku, wygraliśmy negocjacje, stając się właścicielami spółki, którą nazwaliśmy Mine Master. Zmiana nazwy przysporzyła nam sporo ciężkiej pracy. Wszystkich dotychczasowych i potencjalnych kontrahentów musieliśmy przekonywać, że Mine Master, to ten Boart z Polski. Wielkim wyzwaniem było zbudowanie własnej sieci sprzedaży - przedtem bazowaliśmy na Boarcie, teraz swoje kanały zbytu udostępnił nam partner z Niemiec i jednocześnie poszukiwaliśmy własnych.

## ▪ Nic się nie zmarnowało

Mine Master nie jest firmą dużą, dlatego jej właściciele postawili na kooperację z firmami podobnej wielkości, wspólnie projektując i budując nowe maszyny, m.in. z partnerami z Niemiec, Norwegii, Francji i z USA. Spółka dostarcza maszyny do kopalń rud metali na całym świecie; od Pakistanu, Kazachstanu, Rosji, Estonii, Turcji, Portugalii po RPA, Zimbabwe, Botswanę, Peru i Chile. W ub. roku zdobyła kontrakty na testy maszyn do Australii. Wiele z tych kontaktów zawdzięcza GHH a ostatnio samodzielnie weszła na rynek w Estonii. Jednak największym i najważniejszym partnerem biznesowym jest dla Mine Master KGHM.

– Staramy się być elastyczni i na bieżąco reagować na potrzeby kopalni – deklaruje prezes – dostosowując nasze maszyny do warunków geologicznych, m.in. Głogowa Głębokiego. Np. obecnie testujemy w KGHM kotwiarkę automatyczną, która jest owocem współpracy z J.H Fletcher z USA. Stawiamy na rozwój, mamy w firmie 20 konstruktorów, a większość spośród 230 pracowników to ludzie młodzi. Chociaż i tych z dużym stażem nie brakuje, np. dyrektor produkcji pracował jeszcze w ZG Lena.

Innowacyjność konstruktorów Mine Master doceniła w 2009 roku Kancelaria Prezesa Rady Ministrów przyznając zespołowi pod kierunkiem prof. Eugeniusza Rusińskiego z Politechniki Wrocławskiej pierwszą nagrodę w konkursie na wybitne krajowe osiągnięcia naukowo-techniczne. Członkami zespołu byli: Leszek Ostapów - główny konstruktor w spółce i Andrzej Czajkowski - dyrektor ds. rozwoju.

Zdaniem Jerzego Nadolnego warto jedną istotną rzecz podkreślić. Majątek po ZUG Lena został w pełni zagospodarowany: nic się tu nie zmarnowało i nie popadło w ruinę. W Nowym Kościele działa prywatna spółka, w Wilkowie, w dobrze utrzymanych pokopalnianych obiektach, ulokowało się osiem podmiotów gospodarczych, w tym zagraniczne. Pan Jerzy przypomina sobie, że kiedyś marzyło się mu, aby w Wilkowie, na dawnym majątku ZUG, powołać ekonomiczną strefę przemysłową, jeszcze zanim zaczęto je w Polsce tworzyć. Z czasem na terenie dawnej kopalni takie miejsce powstało, ale niestety bez statusu strefy i przysługujących jej przywilejów.

## ▪ W sportowym duchu

Od 45 lat pasją Jerzego Nadolnego jest żeglarstwo. Mówi, że od razu tak go wciągnęło, że początkowo zastanawiał się nawet, czy nie zająć się tym sportem na poziomie wyczynowym, gdyż na zawodach osiągał niezłe wyniki. Zaczynał w Kunicach, w ośrodku LOK, a dziś jest wicekomandorem dawnego miedziowego klubu Chalkos. Zamiłowanie do żagli zaszczepił również synom. Starszy Krzysztof pracuje w Towarzystwie Funduszy Inwestycyjnych KGHM we Wrocławiu, młodszy Grzegorz w dziale handlowym Mine Master. Obaj ukończyli Uniwersytet Ekonomiczny we Wrocławiu. Krzysztof dokształcał się dodatkowo w Anglii a Grzegorz studiuje jeszcze drugi fakultet na Politechnice Wrocławskiej. Żona Grażyna jest znaną legnicką lekarką internistką. Czynnie nie podziela żeglarskiej pasji męża, ale razem jeżdżą na narty.

– O sportowego ducha dbamy również w firmie – zapewnia prezes Mine Master – organizujemy i dofinansowujemy wspólne wypady, czy to na żagle, czy na narty. To konsoliduje pracowników. Duże nakłady przeznaczamy na ich szkolenie zawodowe, inwestujemy w ich rozwój, dlatego zależy nam na kadrowej stabilności. ■

**W spisanej przez siebie historii tamtych dni wspomina ludzi, którzy pomogli mu w ratowaniu kaplicy. To sprawdzeni przyjaciele: wójt gminy Haniszewski, ksiądz Rączka, ksiądz Strach. Ale i inni, zwykli ludzie: „Pani Marianna Goleńska z Iwin, która broniąc Groty Świętej Barbary płakała przed nią przy dziennikarzach, co jest widoczne i udokumentowane na fotografiach wykonanych przez dziennikarza Gazety Wrocławskiej". Dziennikarz Nowin Jeleniogórskich spointował całe wydarzenie jednym zdaniem: „W Iwinach starsi ludzie płakali jak dzieci, broniąc Groty Świętej Barbary".**

*Edward Michalczyk, budowlaniec-malarz w ZG Konrad i ZG Lubin, działacz górniczej Solidarności, społeczny opiekun Groty Świętej Barbary w Iwinach. Pracował w latach 1980 - 2010*

# Malarz od świętej Barbary

Był 1980 rok. W Polsce gorący sierpień - po Wybrzeżu fala strajków dotarła również na Dolny Śląsk. Edward Michalczyk, wówczas 24-latek z dwudniowym stażem małżeńskim, rozpoczynał pracę w ZG Konrad.

Pięć lat wcześniej podjął swoją pierwszą pracę zawodową. Było to w złotoryjskim Związku Spółek Wodnych. Ale w jego zawodowym życiorysie ważniejsza okazała się data 30 sierpnia 1980 roku. I to wcale nie ze względu na zbieżność z datą podpisania Porozumień Sierpniowych kończących strajki w Stoczni Gdańskiej.

## „Stonką" na wesele

– Ciągle jeździłem po delegacjach. Mało mnie było w domu – wspomina tamten okres Edward Michalczyk. – Wychodziłem do pracy o 5 rano, a wracałem o 18. To było uciążliwe, żadnego życia prywatnego nie było.

W końcu dostał pracę na „Konradzie" w Iwinach. Rozpoczął 2. września, we wtorek. W sobotę, 30. sierpnia, wziął ślub cywilny a w niedzielę – kościelny. Na wesele przyszło ze 200 osób. Nie było czym ich przewieźć z kościoła w Raciborowicach do domu, bo strajki objęły także firmy

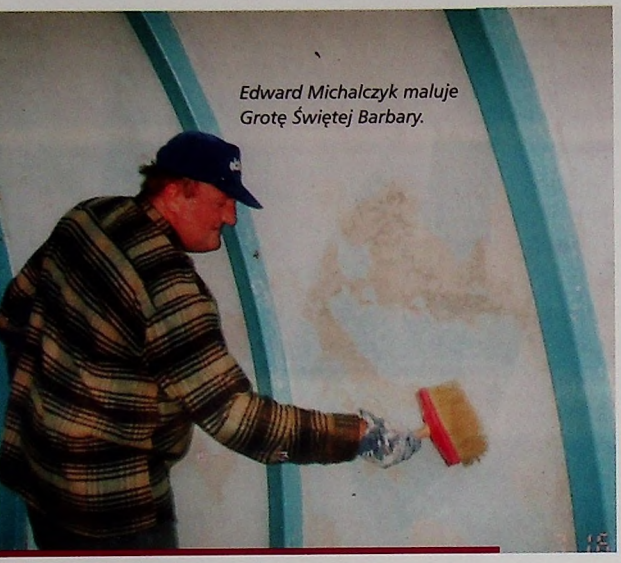

*Edward Michalczyk maluje Grotę Świętej Barbary.*

transportowe. W końcu udało się - weselnicy pojechali zakładową „stonką". A dwa dni później, Michalczyk zjawił się w ZG Konrad.

– W dziale kadr powiedzieli mi, że jest już wielu chętnych. Ale poszedłem na rozmowę do dyrekcji – wspomina ten dzień. – Wytłumaczyłem, że mam dość delegacji i że właśnie wziąłem ślub. Jakoś przekonałem dyrektora personalnego. A może sprawdził opinie o mnie z poprzednich miejsc pracy? Nieskromnie powiem, że te opinie nie były złe...

Początkowo nie mógł się przyzwyczaić: dniówka, a po fajrancie do domu. Tak normalnie. I codziennie o tej samej porze. Ale i tu delegacje też się zdarzały. Głównie do Świnoujścia, do domu wczasowego „Barbarka". Michalczyk w „Konradzie" pracował w wyuczonym przez siebie zawodzie malarza. A „Barbarkę" trzeba było i dwa razy w roku odświeżać, żeby była czysta i lśniąca dla wczasowiczów.

– Fajnie tam było – mówi. – Ale jak mnie skierowali na wczasy również do „Barbarki", to poprosiłem o zmianę miejsca. Pojechaliśmy z żoną do Kołobrzegu.

## ▪ Rolnicy nie narzekali

W brygadzie było kilku malarzy. Naprawiali m.in. szkody górnicze w domach rolników z wiosek położonych wokół „Konrada".

– Jak ktoś miał decyzję o przyznaniu odszkodowania za szkody górnicze, to szła nasza ekipa i robiła, co trzeba – wspomina Michalczyk. – Rolnicy nie narzekali. Dobrze nas przyjmowali. W tych czasach, kiedy brakowało wszelkich materiałów, my mieliśmy wszystko co trzeba: gips, cement, farby. Zazwyczaj zlecano nam tylko na gładko pomalować ściany, ale często robiliśmy więcej niż należało, nawet „wałki" czy inne ozdoby. Dlatego ludzie cieszyli się, kiedy do nich przychodziliśmy.

Rocznie co najmniej kilkunastu domostwom w okolicach Grodźca, Raciborowic czy Sędzimirowa przywracali estetyczny wygląd. Były i poważniejsze szkody niż tylko zarysowane ściany domów. – Zdarzało się, że budynki czy sam grunt częściowo się zapadał. W Grodźcu jeden gospodarz trzymał pszczoły. Pewnego dnia budzi się, a tu nie ma uli! Zrobiło się osuwisko i ule zniknęły.

Malarze z „Konrada" odświeżali również szkołę górniczą w Bolesławcu, przedszkola, podopieczne szkoły, hotele robotnicze, górnicze domy kultury. Całym działem budowlanym na kopalni kierował wówczas Feliks Szkutnik. Około 40. osób mu podlegało: malarze, blacharze, stolarze - wszystkie specjalności budowlane. Potrafili zrobić lub naprawić wszystko: rynny, schody czy podłogi.

Po pierwszym miesiącu pracy Michalczyk zdziwił się nie tylko czasem pracy, ale i zarobkami. Zarabiał blisko dwa razy więcej, a do tego jeszcze dochodziła Karta Górnika, „13", „14" i „barbórka". Nic dziwnego, że już wtedy trudno się było dostać do pracy w „Konradzie", choć w lwinach zaczynał się już schyłek kopalni.

## ▪ Jedyna taka w Polsce

Po trzynastu latach pracy został wybrany na przewodniczącego zakładowej „Solidarności". Z czasem komisja zakładowa przekształciła się w międzyzakładową. Objęła swoim działaniem kolejne firmy pojawiające się w trakcie i po li-

*Uroczystość poświęcenia Groty Świętej Barbary - 26 czerwca 1981 roku.*

kwidacji „Konrada" - Aquakonrad, Zakład Wyrobów Gumowych, Zeco-Bis, kopalnię anhydrytu...

– Zajmowałem się też kołem emerytów i rencistów zrzeszającym członków „Solidarności" – wspomina Michalczyk – organizowałem msze i przez kilkanaście lat wydawałem gazetkę związkową „Głos". Ukazało się 300. numerów „Głosu".

Ale tym, z czym na trwałe związał się Michalczyk, była Grota Świętej Barbary na terenie ZG Konrad. Wraz z innymi pracownikami budował ją w czynie społecznym. Po pracy zostawali dłużej i wznosili niewielką kapliczkę dla patronki górników. Na pomysł wpadł pierwszy przewodniczący „Solidarności" w „Konradzie", Marian Jurczek. Michalczyk wspierał go od samego początku. W burzliwym, 1981 roku, zaprojektował ją Wacław Rospondek. Dla Michalczyka kaplica wciąż jest „najpiękniejszą i największą a także jedyną tego rodzaju grotą w Polsce".

## ▪ Barbórkowa pasja

„My, górnicy Zakładów Górniczych „Konrad", rycerze i zdobywcy podziemnych skarbów naszej ojczyzny w głębokiej wierze w opatrznościową moc naszej i naszych ojców odwiecznej patronki Świętej Barbary, w tych burzliwych, pełnych niepokoju i nadziei na lepsze jutro dniach, składamy ten akt w imieniu Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność" i jego oddanych przyjaciół po wieczne czasy". To treść aktu erekcyjnego, który został złożony w fundamencie groty wzniesionej na cześć górniczej patronki w Iwinach. W kilka miesięcy później, 26. czerwca 1981 roku, tysiące ludzi zebrało się przy Grocie św. Barbary. Uroczystego jej poświęcenia dokonał biskup Adam Dyczkowski.

– Tak wielkich i nieprzebranych tłumów, jakie się wówczas zgromadziły przed Grotą Świętej Barbary, nie zanotowano już nigdy więcej – wspomina Edward Michalczyk. – Do Groty przybyła młoda para – Państwo Pisarscy, którzy akurat tego dnia wzięli ślub i po wyjściu z kościoła udali się w towarzystwie gości weselnych do Groty - składając świętej Barbarze wiązankę kwiatów.

Od tej pory historia Groty potoczyła się niemal tak, jak i historia „Konrada". Z pewnym wyjątkiem. Uniknęła losu zlikwidowanej kopalni, choć i na nią też były zakusy. Stała się elementem

w pejzażu powstałej na jej bazie spółki „Aquakonrad". Do czasu. Bo kiedy i na nową spółkę przyszła kolej, jej likwidator, Marek Grabowski, postanowił usunąć również Grotę. Należała do „pasywów" likwidowanego majątku spółki, których nie dawało się zbilansować z żadnymi aktywami.

Ale od czego jest społeczny opiekun Groty? Edward Michalczyk nie czekał aż przyjadą buldożery i po świętej Barbarze zostanie w Iwinach jedynie wspomnienie.

*9. września 2001 – poczty sztandarowe zmierzające do Groty Świętej Barbary na uroczystość pożegnania kopalni „Konrad".*

– Natychmiast, jak się dowiedziałem o planach likwidatora, podjąłem akcję ratowania Groty Świętej Barbary – mówi po latach. – Użyłem wszelkich dostępnych mi środków, aby nie dopuścić do usunięcia jej z terenu zakładu.

Najpierw z ostrym protestem zwrócił się do likwidatora „Aquakonrad", Marka Grabowskiego. A następnie poprosił o pomoc wójta Warty Bolesławieckiej, Mirosława Haniszewskiego, bo na terenie tej gminy leżą Iwiny, a na ich terenie stoi Grota.

To nie koniec wojny o świętą Barbarę. Michalczyk zaangażował mieszkańców okolicznych miejscowości. O pomoc poprosił dziennikarzy i księży. Nie wszyscy chcieli ratować. Niektórzy wręcz przeciwnie.

## Powstrzymać proboszcza

– Pamiętam, że w moim domu w Raciborowicach Górnych, odwiedził mnie ówczesny proboszcz parafii w Warcie Bolesławieckiej – wspomina opiekun Groty. – Chciał mnie przekonać o celowości likwidacji Groty Świętej Barbary. Ksiądz Jan Olender argumentował, że teren po kopalni „Konrad" może na przykład wykupić jakiś Niemiec czy też świadek Jehowy i że będzie się wówczas chciał pozbyć Groty Świętej Barbary.

O słowach proboszcza Michalczyk poinformował jego przełożonych. A kserokopie listu przekazał mieszkańcom obecnym na mszy w Iwinach. Po tym wszystkim proboszcz Olender został przeniesiony z Iwin do jednej z parafii w okolicach Wałbrzycha.

W obronę Groty Michalczyk zaangażował też Mariana Jurczeka, głównego pomysłodawcę jej wybudowania w 1981 roku na terenie „Konrada" i pierwszego przewodniczącego kopalnianej „Solidarności".

– Wówczas był na emeryturze, już schorowany, ale przyjechał bez wahania – wspomina Michalczyk. – Niestety, zmarł w kilka miesięcy później.

Akcja ratowania Groty nabierała rozpędu.

– Jako naczelny społeczny opiekun Groty Świętej Barbary w Iwinach, będąc zdesperowany a także rozżalony i zdeterminowany aż do granic ludzkiej wytrzymałości planami likwidatora Marka Grabowskiego, zamierzającego usunąć najpiękniejszą górniczą grotę w Polsce z terenu kopalni „Konrad", chciałem też sprowadzić do Iwin ekipę Telewizji Polskiej – przypomina Michalczyk swoje słowa kierowane wówczas do przedstawicieli różnych mediów.

Ale telewizja nie przyjechała do Iwin. W każdym razie nie wtedy i nie dla świętej Barbary. Po prostu - „likwidator ugiął się i odstąpił od swoich wcześniejszych planów".

W spisanej przez siebie historii tamtych dni wspomina ludzi, którzy pomogli mu w ratowaniu kaplicy. To sprawdzeni przyjaciele: wójt gminy Haniszewski, ksiądz Rączka, ksiądz Strach. Ale i inni, zwykli ludzie: „Pani Marianna Goleńska z Iwin, która broniąc Groty Świętej Barbary płakała przed nią przy dziennikarzach, co jest widoczne i udokumentowane na fotografiach wykonanych przez dziennikarza Gazety Wrocławskiej". Dziennikarz Nowin Jeleniogórskich spointował całe wydarzenie jednym zdaniem: „W Iwinach starsi ludzie płakali jak dzieci, broniąc Groty Świętej Barbary".

Michalczyk potrafi wymienić długą listę osób zasłużonych dla obrony Groty. Pamięta o nich, zna ich wszystkich, a kiedy odchodzą „do świętej Barbary", jak mówi, jeśli tylko może, jedzie na pogrzeb.

## ▪ Naczelny społeczny opiekun

Obrona Groty w jego życiu była wydarzeniem, wokół którego rozgrywają się wszystkie inne. Do dziś rozsyła zaproszenia na uroczystości odbywające się przy Grocie. Własnoręcznie wykonuje plakaty i rozwiesza je na słupach ogłoszeniowych w okolicznych wioskach i miastach. Z czasem sam stał się żywą kroniką Groty. Podkreśla, że tytuł naczelnego społecznego opiekuna Groty przyznał mu najpierw przewodniczący Marian Jurczek a następnie tę decyzję potwierdziła komisja zakładowa „Solidarności".

Dziś jego misją nie jest już ratowanie Groty przed unicestwieniem. Na dużych kartkach papieru ręcznie spisuje dzieje kaplicy w Iwinach.

*Marian Jurczek przemawia na pożegnaniu „Konrada".*

*Edward Michalczyk (z lewej), obok dyrektor Adolf Chyra i Stanisław Kupiński, członek zarządu „Solidarności" w „Konradzie".*

Utrwala w nich przede wszystkim pamięć o ludziach, dla których - podobnie jak dla niego - Grota Świętej Barbary była i wciąż jest ważna.

– To jest całe moje życie. Odwiedzam św. Barbarę niemal codziennie, bo to moje ukochane miejsce – mówi Michalczyk.

Od kilku lat wejście do Groty jest zamknięte bramą. Zrobili ją bracia Zdzisław i Józef Łopatowie, górale, którzy wykonywali jakieś roboty na terenie dawnej kopalni. – Rozmawiałem z nimi, a po kilku dniach zaglądam do Groty, a tam jacyś robotnicy coś spawają. To byli ludzie od braci Łopatów. Nie chcieli żadnych pieniędzy, wszystko zrobili za darmo – chwali ich Michalczyk. Jeden z braci pomniejszoną kopię groty wybudował na posesji swojej matki, bo bardzo się jej spodobała, gdy zobaczyła kapliczkę na zdjęciu.

Brama okazała się konieczna, bo wcześniej zdarzyło się, że z Groty zginęła szpada górnicza i młotek górniczy. Szpadę Michalczyk przyniósł z domu, a nowy młotek podarował Krzysztof Tkaczuk, dyrektor ZG Lubin. Szybko wyszło na jaw, że oba przedmioty „wyniósł" z Groty jeden z uczniów Ośrodka Szkolno-Wychowawczego w Iwinach.

– Ukradł też koronę świętej Barbary sądząc, że sprzeda ją na złom – mówi Michalczyk. – Nie wiedział jednak, że jest to gipsowy odlew pomalowany złotolem. Wyjął ze swojego szkolnego plecaka książki i zeszyty, a włożył gipsową koronę. W krzakach przy Grocie znalazłem je podpisane imieniem i nazwiskiem sprawcy.

Do nowej bramy opiekun Groty kupił solidną kłódkę i dorobił do niej osiem kluczy. Jeden pozostawił sobie, a pozostałe rozdał ludziom, którzy sprzątają Grotę i jej otoczenie. Dziś Grota jest już bezpieczna. I nie tylko za sprawą kraty.

– Nikt jej nie zlikwiduje, bo teren pod nią kupiła gmina Warta Bolesławiecka – mówi Michalczyk.

## ▪ Pożegnanie „Konrada"

9. września 2001 roku w Iwinach był datą przełomową. Pracownicy kopalni żegnali się z nią uroczystą mszą świętą. Przyjechali górnicy i związkowcy z Bolesławca, Lubina, Legnicy a nawet z Górnego Śląska. Byli dyrektorzy zakładów „Polskiej Miedzi".

Ale w tym czasie już w „Konradzie" nie było prawie nikogo. Od podjęcia decyzji o likwidacji kopalni trwała nieustanna gonitwa w poszukiwaniu miejsc pracy dla każdego, kto chciał i mógł dalej pracować. Michalczyk wciąż był w tym okresie przewodniczącym zakładowej „Solidarności". Czuł szczególną odpowiedzialność za swoich kolegów z pracy.

– Praktycznie gasiłem światła i odchodziłem z „Konrada" na końcu – wspomina. – Już były zamknięte przyjęcia do pracy w innych zakładach KGHM. Bałem się, że zostanę na lodzie.

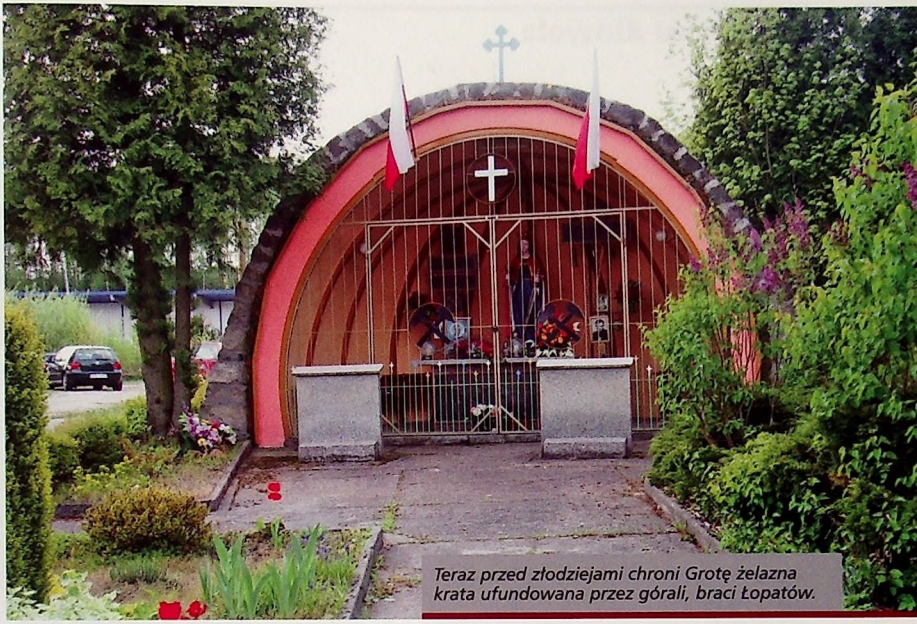

*Teraz przed złodziejami chroni Grotę żelazna krata ufundowana przez górali, braci Łopatów.*

Pomógł mu inny związkowiec, Józef Czyczerski, szef kombinackiej „Solidarności". Umówił Michalczyka na spotkane z prezesem Stanisławem Siewierskim. I tak malarz trafił do oddziału utrzymania ruchu ZG Lubin. Ale nie był jednym z zatrudnionych tam ślusarzy. Był ... malarzem.

– Malowałem im hale, stołówki, wszystko – wspomina. – Wcześniej były tam tylko pobiałkowane ściany. A po mnie zostały kolory.

Półtorej godziny dojeżdżał z Iwin do Lubina, ale i tak najważniejsze było, że miał pracę.

– Dobrze mi się tam pracowało – wspomina z odrobiną żalu. – Aż do marca 2010 roku, kiedy doznałem ciężkiego udaru mózgu. Połowę ciała miałem sparaliżowaną, straciłem wzrok, nie mogłem mówić ani pisać...

Michalczyk nie poddał się. Jak wtedy, kiedy walczył o uratowanie Groty Świętej Barbary, teraz zaczął walczyć o swoje zdrowie. Wspierała go nie tylko żona z synem, ale i koledzy związkowcy. Leczył się, poddawał rehabilitacji w specjalistycznych szpitalach, m.in. dzięki wsparciu Fundacji Polska Miedź. Po pięciu latach może już normalnie chodzić (dziennie pokonuje nawet do 20 km), odzyskał wzrok, na nowo nauczył się pisać. Ale lekarz na komisji tylko uśmiechnął się, kiedy zamiast prośby o przyznanie renty, usłyszał od Michalczyka, że chce wrócić do pracy. Nie zgodził się.

I Michalczyk już nie pracuje. Dogląda Groty Świętej Barbary. Robi albumy z pamiątkowymi zdjęciami, tworzy domowe archiwum.

– Nigdy nie było na to czasu, a tyle się tego uzbierało, że można by napisać nawet więcej niż jedną książkę – mówi Michalczyk. Wierzy, że najważniejsze w życiu są optymizm i nadzieja. – Dlatego – jak mówi – nigdy się nie poddałem. Ani wtedy, kiedy likwidowano „Konrada", ani kiedy chcieli zburzyć Grotę Świętej Barbary, ani nawet wtedy, kiedy groziło mi bezrobocie. I – może najważniejsze – kiedy przez udar stałem się niepełnosprawny.

Pisze ręcznie, kaligrafując na kartkach formatu A4, jakby odrabiał zaległe zadanie domowe. Przyznaje, że to także forma terapii, a przy okazji utrwala cząstkę historii miejsc i zdarzeń, które są mu bliskie.

– Po udarze miałem problemy z pisaniem. Ale to już za mną – mówi Michalczyk. ■

- **brecha (niem. Brechstange)** – drąg stalowy do podważania, uderzania, dźwignia, gruby pręt
- **brykietowanie** – proces polegający na zmieszaniu koncentratu miedzi z ługiem posulfitowym w proporcji 10:1
- **chodnik** – w górnictwie podziemnym wyrobisko korytarzowe prowadzone poziomo lub prawie poziomo (do 5° nachylenia), niemające bezpośredniego wyjścia na powierzchnię ziemi. Drążony jest w złożu i daje urobek będący kopaliną użyteczną
- **czerpnia powietrza** - miejsce czerpania zewnętrznego powietrza dla urządzeń wentylacyjnych lub klimatyzacyjnych
- **cyklon (separator)** – rodzaj odpylacza, urządzenie wykorzystywane do oczyszczania gazów z cząstek stałych (pyłu)
- **diagonala** – wyrobisko podziemne drążone w kierunku pośrednim między rozciągłością a nachyleniem pokładu
- **dymarka** – dawny piec hutniczy, w którym przez redukcję tlenkowych rud żelaza za pomocą węgla drzewnego otrzymywano żelazo w postaci gąbczastej, zawierającej żużel
- **elektrofiltr** (odpylacz elektrostatyczny) – rodzaj odpylacza, w którym usuwanie pyłu z gazu (gazu technologicznego, spalin lub innych gazów odlotowych, powietrza) następuje poprzez wykorzystanie siły elektrostatycznej, działającej na cząstki tego pyłu
- **elektrolit** – powstaje w procesie elektrorafinacji miedzi, kierowany do Oczyszczalni Elektrolitu, gdzie poddaje się go procesowi odmiedziowania
- elektroliza – proces odbywający się wannach wypełnionych roztworem kwasu siarkowego i siarczanu miedzi. W roztworze zanurzane są anody miedziane i podkładki katodowe wykonane z cienkich blach z miedzi elektrolitycznej
- **elektrorafinacja** – proces elektrolizy z rozpuszczalną anodą, wykonaną ze stopu poddawanego rafinacji
- **fedrunek (niem. förderung – wydobycie)** – wydobywanie fragmentów złoża przez oddzielanie ich od jego całości
- **farby epoksydowe** - farby składające się z żywicy epoksydowej (rodzaj żywicy syntetycznej) oraz utwardzacza. Po wymieszaniu obydwu składników powstaje farba o szczególnych właściwościach zabezpieczających przed korozją konstrukcje metalowe oraz posadzki z betonu
- **flotacja** (wzbogacanie flotacyjne) – proces rozdziału rudy na frakcje o zróżnicowanej zawartości składników użytecznych, wykorzystujący różnice zwilżalności ziaren poszczególnych minerałów

- **gazy piecowe** – gazy wytwarzane przy produkcji miedzi, które podlegają odpylaniu. Pyły i szlamy ołowionośne, odbierane w odpylniach, przerabiane są na ołów surowy. Dwutlenek siarki, powstający podczas konwertorowania kamienia miedziowego, po schłodzeniu i odpyleniu w elektrofiltrach, jest przerabiany na kwas siarkowy

- **gazy spalinowe** - gazy odlotowe powstałe w procesie spalania

- **hajer** – w gwarze śląskiej górnik, pracownik fizyczny

- **hełmofon** – część zestawu do piaskowania z wymiennymi szybkami i doprowadzeniem powietrza.

- **kampus** (łac. campus pole, równina), osiedle – obszar na którym znajdują się budynki wraz z otaczającymi je terenami

- **kaszta** (kaszt, stos) – podpora stropu wyrobiska wykonana z okrąglaków, kantówek lub szyn, układanych krzyżowo na sobie

- **kawerna** – pusta przestrzeń w skałach, powstała w wyniku procesów naturalnych ługowania, czyli rozpuszczania składników skalnych

- **kominek awaryjny** – kominek technologiczny, jaki posiada każdy z pieców szybowych, którym w sytuacji zagrożenia można odprowadzać do atmosfery gazy powstałe w procesie technologicznym

- **koncentrat** – produkt wzbogacania niskoprocentowych rud metali (np. cynku, miedzi) lub innych kopalin (np. fosforytów, rud siarki). Uzyskuje się go najczęściej przez hydrauliczne lub pneumatyczne oddzielenie z rozdrobnionego urobku skały płonnej lub przez flotacje

- **konwertor** – zbiornik z blachy stalowej, wyłożony materiałem ogniotrwałym, służący do świeżenia ciekłego wsadu będącego stopem metali lub stopem siarczków metali (kamień), najczęściej stosowany w hutnictwie żelaza (konwertorowy proces) i miedzi

- **kopalnia Upadowa Grodziec** – położona w starym zagłębiu miedziowym, od 1958 roku włączona do ZG Konrad

- **ług posulfitowy** – produkt uboczny w procesie produkcji celulozy na bazie drzew iglastych, powstający podczas procesu roztwarzania drewna na celulozę metodą siarczkową. Stosowany jako lepiszcze koncentratu miedzi w technologii pieców szybowych

- **markownia** – naziemna część kopalni, gdzie przechowywano tzw. marki, indywidualne znaczki górników (przypominające np. numerki z szatni)

- **maszyna flotacyjna** – podstawowe urządzenie do pozyskiwania minerałów użytecznych z rud metali nieżelaznych i innych surowców metodą flotacji

- **miąższość** – grubość warstwy (np. skalnej), kompleksu warstw lub innych struktur geologicznych, mierzona pomiędzy stropem a spągiem

- **obudowa kotwiowa** – obudowa stropu, której zasadniczą częścią są kotwie, czyli stalowe sworznie umocowywane w otworach wywierconych w stropie. Na wystającą ze stropu nagwintowaną część kotwi nasadza się płytę i przykręca ją śrubą

- **ocios, zrąb** – boczna ściana wyrobiska górniczego w skale płonnej lub w kopalinie użytkowej

- **odprężenie górotworu** – zjawisko podobne do tąpnięcia, lecz o słabszym natężeniu i mniejszych skutkach. Między odprężeniem górotworu i tąpnięciem nie ma wyraźnej granicy, a ich rozgraniczenie zostało przyjęte w sposób umowny

- **planszeta** - sztywna podkładka ze sprężystym mechanizmem zaciskowym służącym do przytrzymywania kartek papieru

- **pochylnia** – nachylone pod kątem do 45° wyrobisko korytarzowe usytuowane w złożu, łączące dwa wykonane na różnych poziomach

chodniki, drążone od dołu do góry, z transportem realizowanym z poziomu górnego na dolny

- **podsadzanie** – wypełnianie wyrobisk materiałem płonnym

- **podsadzka** – wypełnianie wyrobiska materiałem, który jest na miejscu lub zostaje dostarczony z zewnątrz.

- **podsadzka piaskowa** – podsadzka wykonana piaskiem doprowadzonym do zrobów za pomocą wody, którą odpompowuje się z powrotem na powierzchnię

- **podsadzka dmuchana** – podsadzka drobnym kamieniem wdmuchiwanym za pomocą sprężonego powietrza

- **przecinka** – krótki chodnik poprzeczny łączący dwa sąsiednie wyrobiska

- **przecinka ścianowa** – chodnik wykonany dla połączenia chodników przyścianowych w celu przygotowania przodku ścianowego

- **Przedsiębiorstwo Budowlano-Montażowe Hutnictwa** – początki przedsiębiorstwa sięgają 1947 roku, w 1959 r. zmieniło nazwę na Przedsiębiorstwo Budowlano Montażowe Kopalń Rud Miedzi (PBMKRM). Po zmianach organizacyjnych w grudniu 1968 r. przekształcono w Przedsiębiorstwo Budowlano-Montażowe Przemysłu Ciężkiego w Lubinie (PBMPC). W 1977 r. przyjęło nową nazwę Przedsiębiorstwo Budowlano - Montażowe Hutnictwa

- **Przedsiębiorstwo Budowy Kopalń Rud w Bolesławcu (PBK, PBKR, PRG, ZBK, ZRG)** – powołano w 1951 r. celem budowy kopalń w starym zagłębiu miedziowym. Wielokrotnie zmieniało swoją nazwę i status organizacyjny. W 1960 w miejsce PBKR w Bolesławcu, powołano Przedsiębiorstwo Budowy Kopalń Rud Miedzi w Lubinie, które zostało generalnym wykonawcą robót górniczych w LGOM. W 1991 r. przedsiębiorstwo przekształcono w oddział KGHM pod nazwą Zakład Budowy Kopalń (ZBK). Dwa lata później powołana została spółka prawa handlowego pod nazwą PeBeKa Sp. z o.o. W styczniu 1997 r. połączono ją z Przedsiębiorstwem Robót Górniczych w Lubinie (PRG), a od 1 stycznia 1999 r., po przekształceniu w spółkę akcyjną, firma funkcjonuje jako Przedsiębiorstwo Budowy Kopalń PeBeKa S.A.

- **przenośnik zgrzebłowy** – urządzenie transportowe typu przesuwającego, w którym przymocowane do łańcucha (łańcuchów) elementy poprzeczne - zgrzebła przesuwają urobek w sposób ciągły w określone miejsce

- **przodek** – końcowa część wyrobiska, w którym odbywa się eksploatacja złoża

- **rafinacja** – oczyszczanie substancji (np. tłuszczów, benzyn) w celu nadania im odpowiednich właściwości, np. pozbawienia zabarwienia, poprawienia zapachu, zwiększenia trwałości. Rafinacja może odbyć się za pomocą metod fizycznych (destylacja, ekstrakcja) lub chemicznych (działanie kwasami, zasadami)

- **rewersja wentylacji kopalni** – zamierzona zmiana kierunku wszystkich prądów powietrznych w kopalni

- **rozcinka** – prowadzenie wyrobisk korytarzowych przygotowujących pole do wybierania kopaliny

- **skruber** – odpylacz mokry w postaci wysokiej kolumny, w którym rozpylana woda zwilża zawarte w gazach cząstki ciała stałego i powoduje ich opadanie, może być z wypełnieniem lub bez

- **SOLINOX** – instalacja uruchomiona w 1994 roku do oczyszczania z dwutlenku siarki gazów powstających w procesie produkcji miedzi. Dzięki niej huta została w 2001 roku skreślona z listy 80 największych trucicieli środowiska

- **spąg** – dolna powierzchnia warstwy skalnej, pokładu lub wyrobiska

- **spągowanie (in. pobierka)** – wgłębianie się w spąg lub wybieranie węgla albo skał ze spągu

- **stropnice płytowe** – okładziny obudowy kotwiowej stosowane do poprzecznej i wzdłużnej obudowy stropów oraz ociosów wyrobisk górniczych

- **szachciak** – gumowane, nieprzemakalne ubranie robocze

- **sztolnia** – wyrobisko korytarzowe o małym przekroju poprzecznym, drążone w górotworze ze zbocza góry, poziomo lub pod niewielkim wzniosem w głąb góry do złóż kopaliny użytecznej

- **sztygar (niem. steiger)** – nazwa stanowiska kierowniczego w górnictwie. Sztygar zajmuje się dozorem technicznym, a także częściowo administruje pracę górników

- **szyb** – wyrobisko górnicze pionowe lub pochyłe o nachyleniu powyżej 45° o przekroju poprzecznym powyżej 4 m kw. i znacznej głębokości, prowadzące z powierzchni terenu do położonego w głębi ziemi złoża kopaliny użytecznej lub łączące wyrobiska poziome pod ziemią i nie mające ujścia na powierzchnię (szyb ślepy)

- **szybik** – rodzaj wyrobiska górniczego, swoją budową przypomina szyb, jednak nie łączy wyrobisk podziemnych z powierzchnią, lecz poszczególne poziomy kopalni ze sobą

- **szychta** – zmiana robocza

- **szychtówka (szychtownia)** – kontrolka pracy, książka ewidencyjna dniówek

- **szychtownik** – dziennik

- **system komorowo-filarowy** – sposób wybierania złoża jednym frontem eksploatacyjnym, składającym się z szeregu równoległych przodków komorowych łączonych pasami, między którymi pozostawiane są filary technologiczne dla zapewnienia stateczności stropu w przestrzeni roboczej

- **system ubierkowy** - (ścianowy) sposób wybierania złoża przodkami (ścianami) znacznej szerokości, postępujących frontalnie na określoną długość wybiegu ściany, przy czym likwidacja przestrzeni wybranej następuje w ślad za przemieszczającym się przodkiem

- **tąpnięcie** – dynamiczne rozładowanie energii potencjalnej sprężystości skał, połączone z wyrzuceniem materiału skalnego do wyrobiska lub zniszczeniem jego obudowy

- **sztechry** – przebijaki do dysz piecowych

- **tiksotropia (pamięć cieczy)** - właściwość niektórych rodzajów płynów, w których występuje zależność lepkości od czasu działania sił ścinających, np. niektóre płyny tiksotropowe mogą stać się przez pewien czas mniej lepkie, gdy podda się je intensywnemu mieszaniu. Po pewnym czasie ponownie „zastygają", tzn. zwiększają swoją lepkość do normalnej wartości

- **upadowa** – wyrobisko korytarzowe usytuowane w złożu, nachylone do 45°, łączące dwa wykonane na różnych poziomach chodniki - drążone po upadzie (od góry do dołu), z transportem realizowanym z poziomu dolnego na górny

- **uskok** – struktura tektoniczna powstała w wyniku rozerwania mas skalnych i przemieszczenia ich wzdłuż powstałej powierzchni (lub wąskiej strefy zniszczenia), zwanej powierzchnią uskoku (lub strefą uskokową)

- **wrębiarka** – maszyna górnicza, wykonująca wręby w złożu, składa się z głowicy z wrębnikiem, silnika (elektrycznego lub pneumatycznego) i ciągnika

- **wręboładowarka** – maszyna górnicza wykonująca wrąb w caliźnie i ładująca urobek na znajdujący się obok przenośnik

- **wykrot** - zagłębienie w ziemi, także drzewo wyrwane z korzeniami przez wiatr

- **wyrobisko** – przestrzeń powstała w wyniku robót górniczych. Można podzielić stosując różne kryteria: na wyrobiska pionowe (szyby, szybiki), poziome (chodniki, upadowe, ściany, komory, zabierki) oraz wyrobisko korytarzowe – wyrobisko o dużej długości

- **Zakłady Wzbogacania Rud (ZWR)** – Oddział KGHM Polska Miedź S.A, którego zadaniem jest wzbogacenie rud wydobywanych w oddziałach górniczych, czyli trzech kopalniach. Składa się z trzech rejonów, zlokalizowanych przy szybach wydobywczych kopalń: Lubin, Polkowice-Sieroszowice i Rudna

- **ZG Konrad w Iwinach** – zlokalizowane na południowy wschód od Bolesławca. Składały się z trzech rejonów eksploatacyjnych: „Konrad", „Upadowa Grodziec" i „Lubichów". Działalność zakończyły z końcem 1989 r.

- **ZG Lena w Wilkowie** – znajdowały się w synklinie złotoryjskiej na południowy wschód od Złotoryi. Pod koniec II wojny światowej uległy zatopieniu. Już w 1948 roku, rozpoczęto prace nad odwodnieniem i uruchomieniem kopalni. Eksploatację rozpoczęto w 1950 r. a zakończono w grudniu 1973 r. z powodu wyczerpania złóż

- **zabiór** – ilość urobku, która zostaje oddzielona od calizny przy zastosowaniu określonego sposobu urabiania

- **zawał** – niezamierzone, grawitacyjne przemieszczenie się mas skalnych lub kopaliny ze stropu albo ociosu w stopniu powodującym niemożność przywrócenia pierwotnej funkcji wyrobiska w czasie krótszym niż 8 godzin

- **zawiesia linowe** – najpopularniejsze ze stosowanych w przemyśle zawiesi dźwignicowych, wykonywane z elastycznych, ocynkowanych lin stalowych charakteryzują się uniwersalnością, trwałością i dużym zakresem dopuszczalnych obciążeń

- **zwora** – część mechanizmu posuwu ładowarki

**Właśnie tutaj, w 1957 roku, zdarzyło się coś, co zmieniło nasz region - był nim pierwszy otwór wiertniczy, w którego rdzeniu pojawiła się miedź – mówił podczas uroczystości odsłonięcia tego swoistego pomnika Wojciech Kędzia, wiceprezes zarządu KGHM.**

# WITA **I UPAMIĘTNIA**

Od grudnia ub. roku wjeżdżających do Sieroszowic wita instalacja upamiętniająca odkrycie rudy miedzi. To właśnie w tej miejscowości 23 marca 1957 roku z odwiertu uzyskano materiał potwierdzający tezę dra Jana Wyżykowskiego o znajdującym się tu złożu tej niezwykle ważnej dla polskiej gospodarki kopaliny.

Zaprojektowany przez wrocławskiego rzeźbiarza Janusza Kucharskiego, symbolizuje wieżę wiertniczą i kopalnianą. Konstrukcję uzupełnia tablica autorstwa tego samego artysty z wizerunkami osób, które przeprowadziły ten historyczny odwiert. Rzeźbę usytuowano przy autobusowym przystanku a pod jego wiatą umieszczono trzy tablice informujące o dziejach i znaczeniu odkrycia Jana Wyżykowskiego oraz potencjale produkcyjnym i kierunkach rozwoju KGHM, firmy wydobywającej i przetwarzającej rudę miedzi. I to właśnie KGHM jest fundatorem tego oryginalnego elementu małej architektury Sieroszowic.

– Pomnik przypomina o wielkim odkrywcy. Przede wszystkim chcieliśmy upamiętnić historię tej ziemi, bo przecież właśnie tutaj, w 1957 roku, zdarzyło się coś, co zmieniło nasz region - był nim pierwszy otwór wiertniczy, w którego rdzeniu pojawiła się miedź – mówił podczas uroczystości odsłonięcia Wojciech Kędzia, wiceprezes zarządu KGHM.

*W gablotach pod wiatą przystankową można dowiedzieć się m.in. o historii odkrycia złóż rud miedzi.*

*Odsłonięcie pomnika odbyło się w uroczystej oprawie.*

*Teren wokół artystycznej instalacji został estetycznie zagospodarowany.*

***

O Sieroszowicach, wsi położonej w gminie Radwanice, zrobiło się głośno, gdy geolodzy prowadzący prace wiertnicze pod nadzorem doktora Jana Wyżykowskiego, natrafili na złoże rudy miedzi. Pamięć o tym wydarzeniu w Sieroszowicach jest bardzo żywo kultywowana. We wsi działa Towarzystwo Przyjaciół im. Jana Wyżykowskiego, którego celem jest integrowanie i aktywizowanie mieszkańców wokół tego ważnego wydarzenia, jak i rozpowszechnianie wiedzy na ten temat. We wsi powstał obelisk upamiętniający zasługi Wyżykowskiego, a także Izba Pamięci pełniąca funkcję ekomuzeum. Tutaj każdego roku odbywają się uroczystości związane z odkryciem złóż miedzi.

FUNDACJA
KGHM
POLSKA MIEDŹ

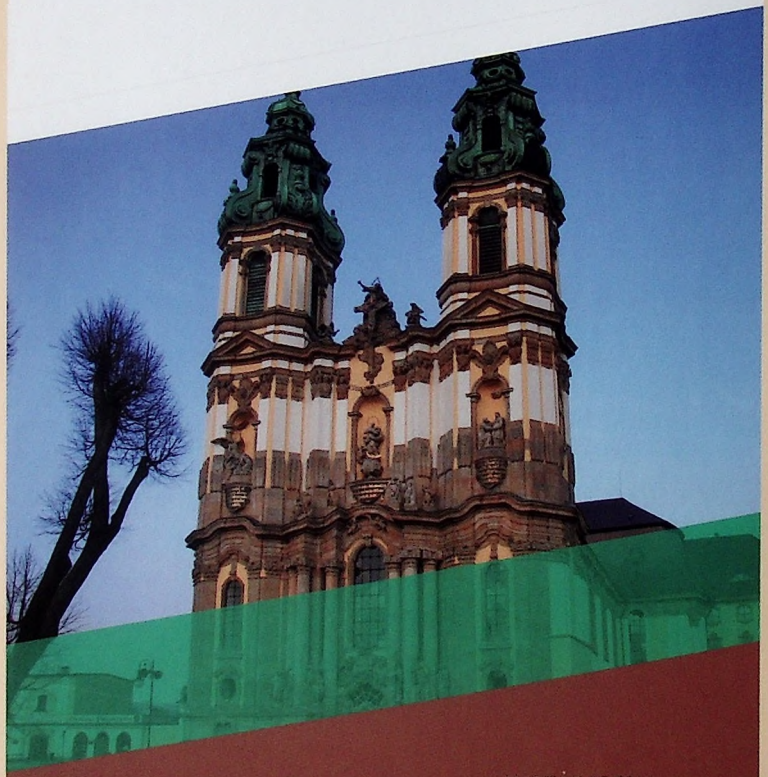

wspieramy
kulturę
i tradycje

www.fundacjakghm.pl